ROZMOWA „DO RZECZY”

Mariusz Kamiński o kupnie Pegasusa: To był nasz obowiązek

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 12/570 18–24 MARCA 2024
CENA 11,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Czy Polska jest dziś bliżej czy dalej od wojny? – analizuje Lech Mażewski

KTO ODPOWIADA ZA PRZEGRANĄ PIS – JACEK KURSKI CZY MATEUSZ MATYSZKOWICZ?

Jak powstaje ukraińska „lista wrogów Ukrainy”

TOKARCZUK ZAMIAST SIENKIEWICZA?

Krzysztof Masłoń mocno o nowej liście lektur

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829
9 772299 850000 12 >
Nakład: 52 000 egzemplarzy

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

ZIEMKIEWICZ KONTRA SEMKA – POLSKA DMOWSKIEGO CZY PIŁSUDSKIEGO?

Krew na pierwszych stronach gazet – Najbardziej ponure epizody z dziejów konfliktów politycznych II RP

Emigracyjne polskie piekiełko – W kraju trwały jeszcze walki, nie wszyscy skapitulowali, a emigracyjni politycy nad Sekwaną już szli ze sobą na noże

Biało-czerwony „Nautilus" – Juliusz Verne chciał, aby kapitan Nemo był Polakiem, powstańcem styczniowym, mszczącym się na rosyjskich statkach

Zaginiona eskadra – Sowieci bardzo skutecznie postarali się, aby zapomniano o największej polskiej produkcji filmowej II RP sławiącej zwycięstwo Polaków nad bolszewikami

Niewolna Liberia – Wyzwoleni Amerykanoliberyjczycy pogardzali tubylczą ludnością i na ponad 100 lat pozbawili ją wszelkich praw

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 948c8be978

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

O co grają globaliści

Niemal w tym samym czasie miały miejsce w USA dwie wizyty przywódców państw Europy Środkowej: z Donaldem Trumpem, byłym prezydentem i republikańskim kandydatem na prezydenta USA, spotkał się premier Węgier Viktor Orbán, z obecnym prezydentem USA Joe Bidenem spotkali się polski prezydent Andrzej Duda i premier Donald Tusk. Trudno lepiej pokazać, na czym polega różnica pozycji Warszawy i Budapesztu.

Po rozmowach w Mar-a-Lago, prywatnej rezydencji Trumpa na Florydzie, stwierdził on, że „nie ma mądrzejszego i lepszego przywódcy niż Viktor Orbán. On jest fantastyczny". Nawet biorąc pod uwagę pewną retoryczną przesadę, trudno nie dostrzec, że to w Orbánie kandydat republikanów upatruje swojego głównego partnera w Europie. Podobnie komplementował byłego prezydenta USA premier Węgier, dodając, że jego wybór jest jedynym sposobem na zakończenie wojny na Ukrainie. Powiedział też, jak to się ma stać: po prostu pod przywództwem Trumpa USA wstrzyma pomoc militarną dla Kijowa, co oznacza wstrzymanie działań wojennych i konieczność kompromisu.

Dla Orbána kluczowy podział geopolityczny to różnica między globalistami, a więc zwolennikami rządu światowego, i suwerenistami, czyli obrońcami znaczenia i roli niepodległych państw. Dlatego premier Węgier stawia na Trumpa, widząc w nim szansę nie tylko na zatrzymanie wojny, lecz także na ochronienie się przed jej koniecznymi konsekwencjami. Być może najważniejszą jest dążenie do dalszej centralizacji Unii, choćby przez wspólny dług wojenny. Dla Budapesztu jest jasne, że im dłużej trwa wojna, tym presja na jednolitość i centralizację Unii rośnie.

Kilka dni później z Bidenem widzieli się Andrzej Duda i Donald Tusk. Ten drugi zapewnił prezydenta USA, że „Polska teraz jest stabilną demokracją", co chcąc nie chcąc, samą swoją obecnością potwierdzał Andrzej Duda. Może się to wydawać nieco groteskowe, biorąc pod uwagę nieustanne łamanie reguł prawa przez Tuska, ale – jak wiele razy pisałem – reprezentuje on interesy amerykańskich demokratów i eurokratów, dlatego trudno się dziwić, że go chwalą. Tusk realizuje plany globalistów i w Waszyngtonie Bidena był jak u siebie.

Jeśli coś dziwi, to zadowolenie prezydenta Dudy, który w USA pojawił się na przyczepkę i musiał pogodzić się z miejscem w szeregu. Musiał, bo cała jego wcześniejsza polityka, tak jak polityka PiS, opierała się na zasadzie braku alternatywy. Świat dzieli się na dobro i zło, po stronie zła jest Moskwa. Dąży ona do podbojów i odbudowy imperium, a jedyną szansą na przeżycie jest pomoc z Ameryki, bez której Polska natychmiast zginie. Dlatego nie ma sensu kalkulować i zastanawiać się, trzeba błagać o pomoc i kwitować wszystko, co się otrzyma. Kto będzie się zastanawiał nad kosztami, skoro chodzi o egzystencjalne zagrożenie? I skoro przegrana Ukrainy (nie trzeba jej definiować) oznacza katastrofę Polski?

Z takiej perspektywy patrząc, wspólnej dla PiS i PO, wszystko inne staje się względne. Wszystkie karty trzeba stawiać na demokratów, bo tylko oni pozwolą na przeżycie. Podejście to nie jest wynikiem racjonalnej refleksji – czy zagrożenie rosyjskie jest tak bezpośrednie, czy faktycznie Rosja dąży do ataku na NATO, czy nie istnieją inne, alternatywne tłumaczenia obecnej wojny – ale histerii. Dlatego przyznane Polsce amerykańskie kredyty na uzbrojenia stają się dziejowym sukcesem Polski. Biały Dom nawet nie ukrywa, o co chodzi: „USA udzielą Polsce 2 mld dol. pożyczki m.in. na zakup 96 amerykańskich śmigłowców AH-64E Apache. Będzie to wzmocnieniem dla amerykańskiego przemysłu zbrojeniowego". Propagandzie przerażenia – lada moment Rosja nas napadnie – towarzyszy propaganda chwały, którą najlepiej wyraził bliski Donaldowi Tuskowi polityk KO, Roman Giertych, gdy z radością obwieścił, że pierwszy raz od 400 lat Polska może zaatakować Moskwę.

Wybory prezydenckie w USA odbędą się w listopadzie. Ogromną przewagę w sondażach ma obecnie Donald Trump. Większość Amerykanów ma dość polityki wspierania Ukrainy i obwinia o nią Joe Bidena. Ten znalazł się w trudnej sytuacji. Nie może przecież ot tak przyznać się do fiaska, bo to ostatecznie pogrzebałoby jego szanse na reelekcję. Może natomiast zagrać va banque i podnieść stawkę, znajdując chętnych do zaognienia konfliktu na Ukrainie. Jeśli do listopada nic się nie zmieni, to demokraci przegrają. Tylko gwałtowny zwrot sytuacji – np. spowodowany pojawieniem się na Ukrainie wojsk niektórych państw NATO – mógłby zmienić nastroje Amerykanów. To ryzykowne, ale tonący brzytwy się chwyta.

Czy o to toczy się obecna gra, w której to bierze udział Donald Tusk, a w której to polskiemu prezydentowi i jego formacji politycznej przypadła wdzięczna rola statystów? I czy to nie przed tym ostrzegają Trump i Orbán? ©℗

eprasa.pl 948c8be978

TEMAT TYGODNIA

12 KRZYSZTOF MASŁOŃ
POTOP I POKOT
Ile polskości w literaturze?

KRAJ

18 ROZMOWA Z MARIUSZEM KAMIŃSKIM
KWESTIA GODNOŚCI
Za chwilę możemy obudzić się w zupełnie innej Europie

21 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
NOMINOWANI

24 PIOTR SEMKA
LEKKIE ZATRUCIE POPCORNEM

26 JAN FIEDORCZUK
TUSK ZJADA PRZYSTAWKI

28 JERZY KARWELIS
ODPUSZCZONA SAMORZĄDNOŚĆ

30 RAFAŁ DUDKIEWICZ
EFEKT ZŁEGO EKRANU

34 ZUZANNA DĄBROWSKA
SPRZEDAWCY MARZEŃ

KULTURA

36 PIOTR GOCIEK
FIKCJE I FAKTY
Oscar za najlepszy scenariusz adaptowany

NIE PRZEGAP

38 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

44 LECH MAŻEWSKI
CZY JESTEŚMY BLIŻEJ WOJNY Z ROSJĄ?
Rozmowy w Waszyngtonie

46 WOJCIECH GOLONKA
EMERYTURA „KSIĘŻNEJ CIEMNOŚCI"

48 TADEUSZ KOPTA
BYĆ ALBO NIE BYĆ DLA MIESZKAŃCÓW MIAST

50 ŁUKASZ WARZECHA
NIECZYSTE ZAGRANIA Z CZYSTYMI STREFAMI

52 PAWEŁ CHMIELEWSKI
TRIUMF LUTRA

HISTORIA

54 GRZEGORZ MAJCHRZAK
„SMUTNI PANOWIE" NA TROPIE WYBUCHU W ROTUNDZIE
Śledztwo esbeków

58 TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT
64 POLA DO ZŁOTA

ŚWIAT

60 ROZMOWA Z GEORGE'EM SIMIONEM
NIE CHCEMY KRÓLOWEJ VON DER LEYEN
UE zmierza w stronę nowego totalitaryzmu

64 AGNIESZKA GOLAŃSKA-BAULT
DZIECIOBÓJSTWO WOLNOŚCIĄ KONSTYTUCYJNĄ

66 ROZMOWA Z PROF. MICHAŁEM LUBINĄ
CHIŃSKI IMPERIALIZM I AMERYKAŃSKI CYNIZM

70 MACIEJ PIECZYŃSKI
LISTA „WROGÓW UKRAINY"

EKONOMIA

72 TOMASZ CUKIERNIK
KARY ZA CIEPŁO
Niedorzeczności systemu ETS

FELIETONY:

SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), GMYZ, GOCIEK (7) , KOWALCZUK (9), ŻEBROWSKI, KOPER (57), PRZYBYLSKI (63), GABRYEL, WARZECHA (75), KOMUDA (77), POSPIESZALSKI, KARWELIS (79), JASTRZĘBOWSKI, WIEROMIEJCZYK (80), KUCHARCZYK (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl 948c8be978

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Łukasz Czarnecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Gabriel Michalik, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Dariusz Wieromiejczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Łukasz Żygadło**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Aleksandra Szmigiel/REPORTER, Biblioteka Narodowa**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki, a.borzecki@pmpg.pl, +48 500 112 424

DRUK: **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl
Garmond: tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumerataprasy@poczyta.pl, www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl
Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829 Nakład: 52 000 egzemplarzy

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.
© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Podziękowanie

Dzięki wielkie za pisanie działu historia na stronie DoRzeczy.pl.

Bardzo potrzebna akcja, bo lewica nie śpi i też edukuje młodzież na nowo. Na przykład na jednej bardzo popularnej stronie można wyczytać wiele artykułów na temat polskiej złej przeszłości, mających wywołać kompleksy u nas, Polaków. Że pańszczyzna to było niewolnictwo i trwała aż do drugiej wojny światowej. Że służba była traktowana przez polską arystokrację jak niewolnicy itp. [...].

Ewa Skotnicka

NEKROLOG

Z ogromnym bólem, lecz z sercami pełnymi miłości i wdzięczności zawiadamiamy, że 9 marca 2024 r., przeżywszy 86 lat, odszedł od nas na zawsze nasz ukochany Mąż, Tata, Dziadek. Jego życie było odzwierciedleniem wartości, które cenił najbardziej: prawości, pracowitości i niezłomności w obronie tego, co dobre i słuszne. Był On ostoją dla najbliższych, podporą dla przyjaciół, wsparciem dla potrzebujących.

ŚP.

Jan Horoszczak

Msza Święta odbędzie się 18 marca 2024 r. o godz. 14.40 w kościele św. Boromeusza na cmentarzu Stare Powązki w Warszawie, przy ul. Powązkowskiej 14.

Bezpośrednio po Mszy nastąpi odprowadzenie do grobu.

NEKROLOG

„Kto we mnie wierzy, choćby i umarł, będzie żył".

Panu Marcinowi Sławeckiemu

wyrazy głębokiego współczucia z powodu śmierci

Ojca

składa

Zbigniew Ziobro
Poseł na Sejm RP

eprasa.pl 948c8be978

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Ostrożny wybór, oby trafny

Polscy biskupi, przystępując do wskazania nowego przewodniczącego Episkopatu i jego zastępcy, mieli ograniczony wybór. Jak obliczali znawcy przepisów kościelnych, formalnie w puli było 39 kandydatów, ale liczyło się tylko siedmiu: arcybiskup metropolita białostocki Józef Guzdek, arcybiskup metropolita gdański Tadeusza Wojda, arcybiskup metropolita gnieźnieński Wojciech Polak, arcybiskup metropolita katowicki Adrian Galwas, arcybiskup metropolita łódzki kard. Grzegorz Ryś, arcybiskup metropolita warmiński Józef Górzyński i wreszcie arcybiskup metropolita wrocławski Józef Kupny.

Wiadomo było, że biskupi szukają kandydata środka, dlatego stosunkowo małe szanse miał lider postępowców kard. Grzegorz Ryś, który notabene, jak mówią kuluarowe plotki, myśli raczej o jakimś stanowisku w Stolicy Apostolskiej. Małe szanse miał też abp Adrian Galbas, który stosunkowo niedawno objął swoją archidiecezję. Tak naprawdę na placu boju pozostawało dwóch centrowców: abp Wojda i abp Guzdek, a z drugiej strony prymas Polski metropolita gnieźnieński abp Wojciech Polak. Ten ostatni był najbardziej strawny dla mediów liberalnych, które ceniły go za deklaracje gotowości przyjęcia emigrantów w Polsce. Takie deklaracje oczywiście nie były niczym dziwnym, ale abp. Polakowi zaszkodził dosyć neurotyczny ton, z jakim wyrażał swoje emocje. „Jeśli ja usłyszę, że w Gnieźnie odbywa się jakaś manifestacja antyuchodźcza i że na to wybierają się moi księża, to mówię krótko: każdy, który tam pójdzie, będzie suspendowany". Taki popis retoryczny w wywiadzie dla „Tygodnika Powszechnego" skłonił wielu biskupów do pewnego dystansu wobec prymasa.

W rezultacie biskupi wybrali na przewodniczącego KEP abp. Tadeusza Wojdę. Jego zastępcą wybrany został abp Józef Kupny. Trzeba szczerze powiedzieć, że obaj nominaci nie dali się poznać w ostatnich latach z wyrazistych wystąpień. Konserwatywna część opinii publicznej przyjmuje ich wybór z ulgą, na zasadzie mniejszego zła. Tyle że nowy sekretarz i jego zastępca staną teraz przed zadaniem dorównania wysokim standardom moralnym, które wyznaczył abp Stanisław Gądecki, który nie wahał się w sposób zdecydowany zabierać głosu w obliczu niepokojących tendencji w czasie ostatnich synodów, nie wahał się udzielić braterskiego napomnienia biskupom niemieckim wobec niepokojących tendencji tamtejszej „drogi synodalnej".

Postępowi katolicy reagują na wybór abp. Wojdy gniewnymi tyradami o „samozaoraniu się" polskiego Kościoła. To od abp. Wojdy i jego zastępcy zależeć będzie, czy te niechętne prognozy staną się samosprawdzającą się przepowiednią.

Ale też nie powinniśmy popełniać innego błędu. Żywić przekonania, że nominacja nowego sekretarza KEP może zadecydować o wszystkim. Tak nie jest. To, w którym kierunku pójdzie polski Kościół, zależeć będzie od odwagi i determinacji wszystkich wiernych.

Nie ma co na siłę wygładzać obrazu, który maluje się przed naszymi oczami. Kościołowi polskiemu brak silnych osobowości i wybory na szefa KEP były tego stanu rzeczy dobitną ilustracją. ©℗

FOT. SPACEX

KOSMICZNY SUKCES SPACEX

Najbogatszy człowiek świata Elon Musk miał w zeszłym tygodniu spory powód do radości. 14 marca należąca do jego spółki SpaceX megarakieta Starship, najpotężniejszy jak dotąd pojazd kosmiczny w historii, z powodzeniem wystartowała z bazy w Teksasie. I chociaż rakieta nie wylądowała, a wkrótce po starcie utracono z nią kontakt, to zrealizowała większość celów misji. To ważny sukces prywatnej firmy, która chce wynosić ładunki na orbitę. ***(jap)***

eprasa.pl 948c8be978

Uwaga, przepowiadamy przyszłość! W tym celu ujawnimy słowa Złego Donalda z Sopotu, wypowiedziane na pewnym wewnętrznym spotkaniu wierchuszki swej partii. Otóż Tusk zapowiedział swoim najbliższym współpracownikom, że pierwszą kadencję zamierza poświęcić jedynie na niszczenie PiS, żeby nie został kamień na kamieniu i partia ta nigdy już niczego nie wygrała. Elementem tej kampanii ma być pełny zakaz zatrudniania gdziekolwiek ludzi, którzy dostali jakąkolwiek pracę za rządów PiS.

Tymczasem portal Złonet doniósł, że Zły Donald z Sopotu miał strofować ludzi wewnątrz partii, żeby się nie kłócili, bo inaczej PiS wróci do władzy i wszystkich pozamyka. Jak widać, przecieki się uzupełniają – PiS trzeba zniszczyć, żeby nikogo nie pozamykał. To zamyka sprawę.

Oczywiście krwawe zamiary Złego Donalda z Sopotu źle wróżą przyszłym karierom ambasadorów, których chce wespół z Radkiem hurtowo odwoływać. Wśród zapowiedzianych dymisji jest jedno ciekawe nazwisko – Piotr Skwieciński. Ambasador w Armenii. I nie są to niestety doniesienia Radia Erywań. Pikanterii całej sprawie dodaje to, że Skwieciński poprzednio został usunięty z placówki w Moskwie. Z tą jednak różnicą, że usuwał go Władimir Putin.

Nie jest to zresztą jedyny przypadek harmonii warszawsko-moskiewskej. Na przykład z neo-TVP wyleciał długoletni korespondent w Moskwie Tomasz Jędruchów. Tak, zgadaliście – z Rosji też wydalił go Putin.

Jak mawiał Lejzorek Rojtszwaniec – jak zwalniają, to będą przyjmować. I tak z placówki w Lizbonie ma powrócić Joanna Pilecka. A na placówkę trafić ma Roman Kuźniar. Nas to nawet bawi. Platforma zapewniała, że odwoływani będą ambasadorzy, którzy nie znają języka kraju urzędowania. A Pilecka akurat zna, podobnie jak siedem innych języków. Kuźniara natomiast nikt nigdy nie słyszał mówiącego językiem Vasco da Gamy.

Skoro już o tym, co kto mówi. Były premier, obecny eurodep oraz nieustająco komunista (bo komunistą nigdy się nie przestaje być) Leszek Miller skomentował w interesujący sposób wizytę prezydenta Andrzeja Sebastiana oraz Złego Donalda z Sopotu w USA u wujka Joe. Cytujemy: „Prezydent USA dobrze wie, jaka jest marka obydwu panów". No, Tuska to Volkswagen. A Dudy?

Z frontu samorządowego. Na układanie list kandydatów na radnych narzekają rozmaite Kluby „Gazety Polskiej", skarżąc się, że centrala na Nowogrodzkiej wycina ich kandydatów. A przecież w trudnych czasach to właśnie Kluby „GP" są najwierniejsze z wiernych i robią kampanie w terenie. Zapytaliśmy na Nowogrodzkiej. Usłyszeliśmy dwie rzeczy: jedną oczywistą i jedną ciekawą. Oczywista: tylu PiS-owców jest teraz bez pracy, że każde miejsce na listach jest bezcenne. Ciekawa: centrala uważa, że ambicje Klubów „GP" sięgają tworzenia osobnej partii, więc patrzą podejrzliwie.

Skoro o miejscach pracy: wiemy z dobrego źródła, że od grudnia spływają do prezesa Instytutu Pamięci Narodowej setki obszernych CV. Jak wiadomo, na prawicy wszyscy interesują się historią i uważają, że mają na tym polu kompetencje. Uważają też, że IPN utrzyma się dłużej niż inne odbijane przez PeŁo bastiony, więc tam trzeba szukać roboty.

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Z frontu europejskiego. Szok i przerażenie wśród europosłów PiS wywołały wieści o kandydowaniu Jacka Kury-Kurskiego. Uważają, że gdzie by kandydował i nieważne z którego miejsca, to i tak zabierze komuś mandat. Może i prawda, ale pamiętamy czasy, kiedy Kurze się walka o europarlament nie udała. Ot, rok 2014. Nawet płyty DVD z „Nocną zmianą" dodawane do konserwatywnych tygodników nie pomogły.

Zamówiona m.in. przez Krystynę Pawłowicz Msza w intencji Krajowej Rady Sądownictwa się nie odbyła. Prawnicy zgromadzeni w warszawskim kościele św. Andrzeja Boboli zostali przywitani przez ojczulka jezuitę, który im oświadczył, że mogą się pomodlić indywidualnie przy grobie męczennika. Ech. Z tym jezuitami jest coś nie tak. Najpierw papież Franciszek, a teraz takie rzeczy.

Na koniec obyczajówka. To, co do tej pory wiemy o aferze w Collegium Humanum, to ledwie wierzchołek góry lodowej. Śledztwo CBA rzeczywiście zaczęło się od podejrzeń o korupcję. Jednak – jak się okazuje – nie chodziło tylko o łapówki w formie pieniężnej. Również w naturze. Jak by tu powiedzieć… A gdyby tak się okazało, że działała tam wpływowa homoseksualna siatka wykorzystująca seksualnie młodych chłopców?

A gdyby w skład tej siatki wchodzili nie tylko przedstawiciele uczelni? A ochronę zapewniali jej politycy oraz hierarchowie kościelni o nietypowych skłonnościach? Szczególne powody do niepokoju może mieć jeden z polityków Platformy, którego skłonności są, co prawda, w środowisku tajemnicą poliszynela, ale się jeszcze, jak to się mówi w homożargonie, nie wyautował. Podobnie strach padł na część Episkopatu. ©℗

eprasa.pl 948c8be978

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Wybuchowe Collegium

Nic tak nie śmieszy, jak widok, że ktoś sam wpada w dołek, który kopał pod innym. Na sprawę Collegium Humanum media tuskowe rzuciły się „na pewniaka" w przekonaniu, że podrzucono im kolejny sposób do zdezawuowania, ośmieszenia i poniżenia PiS. Przekonanie nie było irracjonalne. Lewa Alma Mater niejakiego Pawła Cz. dawała czy raczej sprzedawała dyplomy MBA na podobnej zasadzie, jak niegdyś sławna wyższa szkoła marksizmu przy KC PZPR: działacz zapisywał się na studia w piątek, a świadectwo ich ukończenia odbierał już w poniedziałek. Oczywiście tak zdolni byli tylko działacze najwyżsi rangą, niektórzy musieli „studiować" całymi tygodniami. Powody, dla których dyplomów pana Cz. pożądano, też były podobne: tak jak dyplom z marksizmu wymagany był do ubiegania się o stanowiska w nomenklaturze, tak MBA wymagane jest (właściwie nie wiadomo dlaczego) do zasiadania w radach i zarządach spółek Skarbu Państwa.

A kto przez ostatnie osiem lat wyjadał te konfitury, której partii nominaci – wiadomo. Dlatego wydawało się prorządowym mediom, że ta afera to sam miodzio. Przegapili tylko jeden drobiazg: że oprócz spółek Skarbu Państwa konfitury są także w samorządach, a w samorządach wielkich miast to nawet jeszcze większe. A w większych miastach, poza jednym Zamościem, od lat rządzą ludzie Ukochanego Przywódcy. No i sprawa się rypła: najpierw wyszło, że pan Sutryk i że Wrocław, potem że od absolwentów „Kolegium Tumanum" roi się na listach koalicji w Warszawie i innych metropoliach…

Wtedy pojawiła się narracja nowa: o ile „pisowscy nominaci" są przestępcami i oszustami, o tyle działacze PO i jej „stronnictw sojuszniczych" – ofiarami. Zaufali Pawłowi Cz., zapłacili normalnie za studia, nie kontrolowali oczywiście ich toku, no bo kto by… Wszystko w dobrej wierze. A on ich oszukał i zdobyty w trudzie dyplom okazał się lewizną!

Pozostaje jeszcze wyjaśnić szampańskie stosunki utrzymywane z Pawłem Cz. przez prominentnych działaczy koalicji… Ale coś na pewno się wymyśli. ©℗

MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Rozum na balustradzie

Konfederacja z właściwym sobie animuszem ogłosiła wzmożenie kampanii na rzecz dostępności marihuany, bo „każdy dorosły człowiek może robić wszystko dopóty, dopóki nie narusza wolności drugiego człowieka". A zakaz marihuany to „skandal, antywolność, totalitaryzm". Żeby ocenić te rozbuchane deklaracje, warto na chwilę odłożyć na bok pojęciowe cepy („wolność", „totalitaryzm" itp.) i rozważyć elementarne dystynkcje pomiędzy brakiem zakazu, dopuszczalnością i wreszcie – należnym prawem.

Rzecz dozwolona zakazana nie jest, ale zakazana być może. Sam brak zakazu może wynikać z tego, że ochrona przed danym działaniem nie leży w możliwościach państwa, albo z tego, że państwo nie uważa tego w danym momencie za wymóg dobra wspólnego. Prawo jest czymś zasadniczo innym. Nie dotyczy tylko tego, co państwo (i poprzez nie społeczeństwo) dopuszcza, ale stanowi to, co państwo musi zapewnić i chronić. Wynika ze sprawiedliwości, jest częścią dobra wspólnego.

Najlepiej to zrozumieć na przykładzie prawa do życia. Z faktu bezradności społeczeństwa wobec samobójstw nie wynika, że są one „prawem". Są tragedią, a państwo chroni życie samobójcy przynajmniej w ten sposób, że zobowiązuje wszystkich do ratowania każdego, kto na swoje życie się targnął (por. art. 162/1 k.k.). Zaniechanie możliwego ratunku to przestępstwo, tak właśnie polskie prawo potwierdza normy naszej cywilizacji.

Ale skoro każdy „ma prawo" ze swym życiem robić, co chce, nawet się go pozbyć? W takim razie Rzeczpospolita (pod sankcją oskarżenia o „totalniactwo") powinna gwarantować to „prawo". W myśl takiego założenia obowiązkiem policjanta widzącego zdesperowanego człowieka na balustradzie mostu nie jest ratowanie nieszczęśnika, ale pilnowanie, by nikt nie przeszkodził mu rzucić się w przepaść. Ku takiemu końcowi cywilizacji już maszerujemy, przy akompaniamencie wolnościowościowych okrzyków „dorosłych" (jak twierdzą) polityków. ©℗

eprasa.pl 948c8be978

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Festiwal Antysemityzmu

David Parenzo jest bardzo popularnym, lewicowym dziennikarzem. Zawsze wspiera i usprawiedliwia agresywną, skrajną lewicę, z ekscesami włącznie. Przy czym nie znosi poprawności politycznej, ma imponujące poczucie humoru i przeklina na antenie. Współprowadzi prowokacyjny kultowy program radiowy „Zanzara" (komar).

8 marca w związku z Dniem Kobiet zaproszony został przez jedno ze zrzeszeń studenckich największego uniwersytetu w Europie „La Sapienza" w Rzymie na spotkanie poświęcone dyskryminacji kobiet (współorganizował dziennik „Corriere della Sera"). Naturalnie Parenzo jest zdeklarowanym feministą.

Gdy zabierał się do wystąpienia, nagle na sali wykwitły flagi palestyńskie i rozległy się wrzaski aktywistów kolektywów studenckich: „Syjonista!", „Faszysta!", „Wynocha" i wiele obelg niespecjalnie nadających się do druku. Parenzo wyjął telefon i zaczął oszołomów filmować. Dzięki temu Włosi mogli obejrzeć odrażający spektakl w wieczornych dziennikach telewizyjnych. Jakaś totalnie rozhisteryzowana dzierlatka, z paszczą wykrzywioną grymasem nienawiści, wywrzaskiwała propalestyńskie hasła i brednie, że Parenzo wykorzystuje imprezę do proizraelskiej propagandy, choć nie zdołał powiedzieć słowa.

Dlaczego to wszystko? Z jednego, jedynego powodu: Parenzo, modelowy progresista, jest Żydem. I jako taki, w oczach studiujących na „La Sapienza" kretynów, jest odpowiedzialny za działania armii izraelskiej w Strefie Gazy. Atmosfera była tak napięta, że wezwano policję i Parenzo w eskorcie antyterrorystów mógł bezpiecznie opuścić uniwersytet.

Dodajmy, że kobiety, które 8 marca domagały się wyrazów solidarności z Żydówkami zgwałconymi i zamordowanymi przez zbirów Hamasu, wyganiano z wieców i pochodów.

To wszystko dzieje się w kraju, w którym w 1938 r. ogłoszono ustawy rasowe. Również wtedy wyganiano Żydów z uniwersytetów i z życia publicznego. Co haniebne, poza małą grupką intelektualistów nikt nie protestował. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl 948c8be978

GWIAZDOBZDUR

ZUZANNA DĄBROWSKA

DZIADERKA KONTRA DZIADERS

Odkładając prace Sejmu w sprawie aborcji na okres po wyborach, Szymon Hołownia mocno podpadł elitom. Na tyle mocno, że nagle z „gigachada" przeistoczył się w „PiS-owskiego dziadersa". Tak przynajmniej uważa Monika Olejnik, która wystąpiła w obronie „praw kobiet". – Kobiety od lat są skazane na walkę o prawo do własnego ciała. Politycy ciągle pragną o nas decydować, zamiast nas w pełni uszanować. Do tego Kościół w połączeniu z polityką nie jest dobrym rozwiązaniem – stwierdziła dziennikarka TVN24 w rozmowie z portalem Pudelek. – Kiedyś Maria Kaczyńska, żona prezydenta Lecha Kaczyńskiego, powiedziała stop i podpisała się pod moim apelem, żeby przestano grzebać w ustawie aborcyjnej. Chwilę później dyrektor Rydzyk bezczelnie obraził Marię Kaczyńską, ale nie wszyscy politycy PiS mieli wówczas odwagę bronić pani prezydentowej – wspomniała Olejnik. Następnie, zapominając o kobiecej solidarności, przystąpiła do ataku na te kobiety, które wydają się mieć inne poglądy. – Niestety, żona obecnego prezydenta milczy nawet w sprawie pigułki „dzień po". A inna kobieta zaprzyjaźniona z władzą PiS – Julia Przyłębska i jej Trybunał ograniczyli prawa kobiet do aborcji – żali się prezenterka. – Marszałek Hołownia powinien sobie odpowiedzieć na pytanie, czy chce kontynuować narrację polityków poprzedniej władzy. Kobiety mówią głośno – oczekujemy szacunku, dość dziadersów – stwierdza Olejnik. Za komentarz niech posłużą liczby – Szymon Hołownia lat 47, Monika Olejnik lat 67. I kto tu jest dziadersem?

FOT. VIPHOTO/EAST NEWS

ZBYT INTELIGENTNA

Krystyna Janda przyszła się wypłakać do TVP Info. Aktorka nie dostaje bowiem propozycji ról, które spełniałyby jej ambicje. – Nie dostaję żadnych propozycji, żadnych. Przyszło całe nowe pokolenie reżyserów, ja ich nie interesuję – stwierdziła. – Ja dostaję propozycje, żeby być albo matką narkomana, albo złodzieja, albo takiego kogoś. A nie ma filmów o inteligencji. A ja jestem inteligentką na ekranie – przekonuje Janda. Następnie krótko i dosadnie podsumowała polską kinematografię: „Nasze kino: – k.... i złodziej". Kontynuując temat niewdzięcznego pokolenia młodych reżyserów, Krystyna Janda powiedziała: „Oni mówią, że się mnie boją, ale to nieprawda, bo ja jestem akurat osobą do współpracy idealną". – Przecież nie jestem kretynką. Kurczę, jak mówi, co chce, to ja mu to zrobię – podkreśliła. No chyba że ktoś chce, żeby zagrała matkę narkomana. To wtedy „nie zrobi".

WIELKI ZAWÓD

Wielkie zmiany w życiu Roxie Węgiel. Nie dość, że artystka zakończyła współpracę z agencją, która do niedawna odpowiadała za organizację jej koncertów, to jeszcze przekazała, iż w najbliższej przyszłości fani nie zobaczą jej na występach plenerowych. „Od mojej ostatniej trasy klubowej minęło kilka lat, w tym roku nie zagram koncertów plenerowych, bo mam na siebie inny pomysł, który przemyślałam przez cały 2023 r. Jako profesjonalna artystka wiem, jak chcę prowadzić moją karierę, i cieszę się, że wspierają mnie profesjonaliści" – napisała w instagramowym oświadczeniu. Następnie przyznała, że rozstała się z muzykami, którzy do niedawna towarzyszyli jej na scenie. „[...] Nie zmienia to faktu, że spędziłam ze Squadem cudowne chwile, bardzo szanuję ich jako artystów i ludzi. Niemniej jednak muzycznie potrzebowałam zmian" – zaznacza. Okazuje się, że Roxie w dość chłodnych relacjach rozstała się również z dotychczasowym menedżerem, Mateuszem Kucharczykiem. Węgiel zarzuca mu „wprowadzenie ogromnego chaosu" i twierdzi, że ich współpraca powinna zakończyć się już wcześniej. „Mateusz, spędziliśmy ze sobą kawał czasu, nie sądziłam, że tak zakończymy naszą współpracę... Dziękuję ci za cały ten czas, niemniej jednak jestem zawiedziona [...]. Piszę o tym tutaj, bo zupełnie nie mogę się z Tobą skontaktować prywatnie, to, co zrobiłeś przekroczyło wszelkie granice. Jestem zawiedziona" – podsumowała. Co zrobił Mateusz? To wie chyba tylko Roxie.

NIKT NIE PYTAŁ

Wieści z Ju Es Ej. Caroline Derpienski, czyli Karolina z Białegostoku, celebrytka znana wyłącznie z tego, że jest znana (i ma dużo starszego ukochanego), zrecenzowała nowy dom Agaty i Piotra Rubików. Para z dwoma nastoletnimi córkami w ubiegłym roku wyemigrowała do Miami, by spełniać swój amerykański sen. W końcu udało im się kupić nieruchomość, którą dotychczas tylko wynajmowali. Dzięki dokładnym relacjom na Instagramie wiemy, że mieszkanie o powierzchni 44 mkw. kosztowało ich 1,4 mln dol., czyli ponad 5 mln zł. I tu postanowiła wtrącić się Derpienski. „Z całym szacunkiem, ale 44 metry dla czterech osób i psa? To powinno być nielegalne. I jak trzeba być bezmyślnym, aby sprzedawać duży dom w Polsce, aby na siłę kupić budę psią 44-metrową, byle tylko uchodzić za indiańskiego majamczyka?" – podsumowała królowa dolarsów i kiczu. Caroline, ale kto pytał? ©℗

eprasa.pl 948c8be978

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, widzieliśmy ostatnio, iż w Internecie bardzo popularne są wyniki badania, według którego Polacy najbardziej lubią Amerykanów, Włochów, Czechosłowaków. Z kolei najmniej lubią Rosjan, Białorusinów oraz osoby narodowości romskiej.

Przede wszystkim jak to jest możliwe, że w XXI w. w środku Europy pojawiają się takie badania? Dlaczego ktoś czerpie przyjemność z podkreślania podziałów narodowościowych, które nie były modne już w średniowieczu, iż wtedy, jak pamiętamy z historii, ludzie dzielili się na poddanych papieża i poddanych cesarza – nikt się nie przejmował jakimiś kwestiami narodowymi czy językowymi.

A teraz proszę – po co to wszystko? Iżby siać nienawiść? Poza tym dlaczego takie pytanie zadano Polakom, których przecież nikt nie lubi i którzy mają odwieczny kompleks Ameryki? Może raczej byłoby warto zapytać: „Jak myślisz, kto nie lubi Polaków i dlaczego?”.

I powiemy wam, iż z racji naszego socjologicznego wykształcenia bardzo chętnie byśmy przeanalizowali wyniki takiego badania oraz przygotowali raport z wnioskami, które sprowadziłyby się w sumie do jednego punktu: Polaków nikt nie lubi, bo tak xD.

Zresztą jak mają nas lubić inni, jak my się nie lubimy sami, i to nawet – co przyznajemy z bólem serca – w uśmiechniętej koalicji? A to Żukowska każe osobie marszałkowskiej Hołowni wypier...ać, a to jakieś inne brzydkie komentarze.

Nawet jeśli wybrany głosami kobiet Hołownia okazał się dla nich wielkim rozczarowaniem, to powinny pamiętać, iż konieczne jest dalsze poparcie dla jego osoby, gdyż w innym wypadku nigdy porządnie nie odsuniemy PiS od władzy.

Dlatego też mamy nadzieję, że ta nasza opozycyjna koalicja się w końcu ogarnie i przestanie zachowywać się w taki sposób, iż Kaczafi pewnie w zaciszu swojego gabinetu złowieszczo głaszcze kota, zaciera ręce i szykuje się do powrotu do władzy.

Oczekujemy więcej zgody, więcej uśmiechu, więcej wyrozumiałości wobec siebie nawzajem oraz wyłączenia Twittera niektórym osobom poselskim.

W ogóle to nie możemy wyjść ze zdumienia, iż 80 proc. Polaków popiera ponoć protesty rolników. Jakoś nam się to składa w całość: na PiS głosowało z 30 proc., z 50 proc. Polaków mieszka na wsi, więc i odsetek wychodzi całkiem wysoki.

Szkoda tylko, że pozostałe 20 proc. – na które składają się 60 proc. wyborców opozycji oraz większe pół mieszkańców tego kraju, którzy żyją w miastach – musi być zakładnikami tej hałaśliwej mniejszości. Może niektórzy lubią mieszkać w Warszawie czy Krakowie i jednocześnie być zmuszonymi, aby oglądać traktory na ulicach. My się na to nie chcemy zgadzać.

To jest naprawdę straszna uciążliwość, a w dodatku nie wiadomo, czy się nie będzie niebawem znów powtarzać, iż z rolnikami to jak z beneficjentami „500+” i innych programów socjalnych – dasz im palec, to będą chcieli całą rękę. Najechali nam stolicę traktorami, więc pewnie niedługo pojawią się jakieś kombajny, glebogryzarki czy – nie wiemy, co tam jest teraz w modzie – mobilne kurniki. A poparcie będzie rosło, bo wiadomo, iż nic tak nie cieszy, jak krzywda miastowego. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Koktajl na pobudzenie

No, chyba nieźle wyszło. Jak myślisz, Andrzej?
Tak, tylko, Donald, dlaczego on do ciebie mówił cały czas „Wołodia”, a do mnie „Leszek”? Chyba cię nie pomylił z Putinem?

Chciałbyś, co?
Nie, serio, tylko tak z ciekawości pytam. Nie zrobię o tym konferencji prasowej.

Radek ma swoje źródła i się dowiedział, że za wcześnie go naszprycowali.
Ale jak to?

Dają mu jakiś taki koktajl na pobudzenie i przywrócenie pamięci.
No, pobudzony to był! Przecież nawet zaczął na biurku tańczyć. Dobrze, że dziennikarzy nie było.

Tak, ale pobudzenie znika później, a najpierw pamięć. On myślał, że jestem Zełenskim.
A ja?

Dla niego prezydent z Polski to – no wiesz kto. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Wybrali Hamas, popierali Hamas, napawali się zbrodnią Hamasu. Reszta to skutek”.

TOMASZ LIS, publicysta, w portalu X o Palestyńczykach z Gazy

eprasa.pl 948c8be978

Olga Tokarczuk i jej „Księgi Jakubowe"
FOT. BEATA ZAWRZEL/REPORTER

eprasa.pl 948c8be978

Potop i pokot

Krzysztof Masłoń

Więcej Tokarczuk, mniej Sienkiewicza – banner z takim hasłem mógłby wisieć na gmachu Ministerstwa Edukacji Narodowej, odkąd o tym, czego uczy się w polskich szkołach, decydują pani Nowacka i jej zastępczynie – Mucha i Lubnauer – wsparte koalicyjnym ludowcem Kiepurą

Slogan, który przytaczam, nie byłby nawet całkowicie pozbawiony sensu, mamy tu bowiem do czynienia z uznanymi twórcami, noblistami, tyle że z dwóch różnych epok, w tym jednej dawno minionej, jako że autora „Trylogii" zwykło się traktować jako pisarza XIX-wiecznego, przypisując go do pozytywizmu.

Uczeń ma rozumieć współczesny świat, a literatura winna mu w tym pomóc – domagają się sternicy naszej oświaty i dlatego do lektur szkolnych trafić mają utwory powstałe w wieku XXI czy w końcu wieku XX, a nie w czasach zamierzchłych, do tego napisane językiem sprawiającym uczniom trudności z jego zrozumieniem. A i traktujące o aktualnych ważnych problemach dla młodych obywateli Uśmiechniętej Polski, a nie o wojnach, zaborach czy powstaniach.

Sęk w tym, że najbardziej znaczącym dziełem Olgi Tokarczuk są „Księgi Jakubowe". Ta „historia Jakuba Franka – tak opowiadała jej autorka w »Książkach. Magazynie do czytania« – jest tak zdumiewająca, że trudno uwierzyć, iż naprawdę się zdarzyła. Mówiąc w wielkim skrócie, opowiada o tym, jak spora grupa Żydów z Podola, wyznawców XVII-wiecznego kabalisty i rabina Szabtaja Cwi uważającego się za mesjasza, przeszła z wielką pompą na katolicyzm pod wodzą swego przywódcy, kupca Jakuba Franka, przedtem zaś przez jakiś czas wyznawała islam".

Bohater „Ksiąg Jakubowych" pojawia się na Podolu w połowie XVIII stulecia i wtedy też rozgrywa się akcja powieści, w Rzeczypospolitej przedrozbiorowej. Komu i do czego służyć ma dziś ta historia tajemniczego przybysza ze Smyrny, który dla jednych Żydów okazał się zbawcą, a dla drugich heretykiem? Otóż – jak się dowiadujemy – „Księgi…" zostały spisane „Mądrym dla Memoryału, Kompatriotom dla Refleksji, Laikom dla Nauki, Melancholikom zaś dla Rozrywki".

A co mają z taką lekturą, dajmy na to, z obowiązkową, uczynić uczniowie? Nic, „Księgi Jakubowe" są bowiem wyjątkowo opasłym tomiszczem i nie ma takiej siły, która zmusiłaby

eprasa.pl 948c8be978

przeciętnego licealistę do przebrnięcia przez jego meandry, choć rzecz cała to, jak ponoć orzekł szwedzki pisarz Per Wastberg, „tysiącstronicowy cud". Możliwe, w ojczyźnie noblistki, podatnej wprawdzie na nadprzyrodzone, uznana została jednak raczej za „cud mniemany".

Ale np. literaturoznawca Przemysław Czapliński stwierdził, że obraz Rzeczypospolitej Obojga Narodów jest w powieści Olgi Tokarczuk daleki od „wyidealizowanej wersji" znanej czytelnikom „Trylogii". I to akurat jest prawda, tylko „Księgi Jakubowe" z historią mają niewiele wspólnego, ośmielałbym się nawet zasugerować, że znacznie mniej niż „Ogniem i mieczem", „Potop" i „Pan Wołodyjowski". A już nazwanie sztandarowego dzieła noblistki „rewersem »Trylogii«" jest niedźwiedzią przysługą wyświadczoną pisarce. Już taki jeden „rewers" był w Polsce przerabiany – w epoce stalinowskiej, kiedy wydawano u nas i natrętnie zachwalano „Radę perejasławską" Natana Rybaka z Polakami obsadzonymi w rolach czarnych charakterów.

Tymczasem atakowanie pisarstwa Sienkiewicza bywało niebezpieczne. Maria Dąbrowska w „Dziennikach" opowiedziała o przebiegu zebrania Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich w styczniu 1951 r., na którym ówczesny dyrektor domu wydawniczego Książka, wysokiego szczebla partyjny aparatczyk, „wygłosił bezczelny paszkwil na »Trylogię« Sienkiewicza, przypisując temu dziełu rzeczy, których w nim nie ma, jak np. apoteozę ucisku chłopów czy ucisku narodowościowego. I postawił jednocześnie też »Trylogię« jako wzór doskonałości artystycznej, popadając w sprzeczność z własną tezą głoszącą, że dzieło fałszywe ideowo nie może być dobre artystycznie".

W WIĘZIENIU PŁCI

„Księgi Jakubowe" to oczywiście wierzchołek twórczości naszej noblistki, ale do szkolnych wymagań przykroić można i inne jej powieści czy liczne opowiadania, z których jak dotąd polska oświata korzystała w stopniu umiarkowanym, zadowalając się obrazem stanu wojennego (znów historia!), który przedstawia jej „Profesor Andrews w Warszawie". A przecież z powodzeniem sięgnąć można choćby po jedno z „Opowiadań bizarnych", dajmy na to po „Przetwory", których 50-letni bohater żyjący z renty swej mamusi spędza czas, oddając się „swemu ulubionemu zajęciu: opróżnianiu kolejnych puszek piwa i śledzeniu dwóch grup mężczyzn przebranych w kolorowe koszulki i przemieszczających się w pogoni za piłką z jednej połowy boiska na drugą". Po śmierci rodzicielki zakąsza popijanie piwa skwapliwie przygotowywanymi przez nią i gromadzonymi w piwnicy wiktuałami, aż w końcu zatruwa się marynowanymi grzybkami i na tym kończy się żywot tego bohatera naszych czasów.

„Księgi Jakubowe" z historią mają niewiele wspólnego, znacznie mniej niż „Ogniem i mieczem", „Potop" i „Pan Wołodyjowski". A już nazwanie sztandarowego dzieła noblistki „rewersem »Trylogii«" jest niedźwiedzią przysługą wyświadczoną pisarce

Opowiadań bizarnych (od francuskiego słowa „bizarre" – dziwnych, niezwykłych, a i śmiesznych) jest więcej, można więc wybierać w nich do woli, a mamy przecież w zanadrzu całkiem nowy, bo zaledwie sprzed dwu lat, „Empuzjon" (w podtytule: „horror przyrodoleczniczy") tak wspaniale korespondujący z „Czarodziejską górą" Tomasza Manna, tyle że nieznaną dziatwie szkolnej; mamy też „Annę In w grobowcach świata", interpretującą mit o sumeryjskiej bogini, a wreszcie zawsze sięgnąć można po jakże obrazowo zatytułowany utwór „Prowadź swój pług przez kości umarłych", tak wspaniale zekranizowany jako „Pokot" przez mistrzowski duet naszej kinematografii: Agnieszkę Holland i Kasię Adamik.

W rezerwie pozostaje „E.E.", powieść o nastolatce przejawiającej zdolności parapsychiczne, w której, jak nauczyciel się uprze, uczniowie znajdą odniesienia do zaczytanego przez ich rodziców „Harry'ego Pottera", a już całkiem zdesperowany polonista, omawiając twórczość innego, o zgrozo, pozytywisty – Bolesława Prusa, powinien posłużyć się innym jeszcze dziełem, no niech będzie, że dziełkiem naszej jakże niesłusznie niedocenianej przez polską szkołę noblistki, zatytułowanym „Lalka i perła".

A o czym naprawdę są książki autorki „Ksiąg Jakubowych"? Jakiś czas temu Kinga Dunin orzekła: „Uważnie przeczytane powieści Tokarczuk są w istocie radykalnym projektem głębokiej przebudowy naszej zbiorowej tożsamości. Delikatnie, nie atakując wprost, dokonuje w nich absolutnego demontażu bytów w rodzaju Polaka-katolika, ukazując jednocześnie alternatywę.

Podobnie poczyna sobie Olga z innymi uklepanymi przez tradycję wymiarami naszej tożsamości – płcią, tożsamością seksualną. Bohaterki jej książek bez względu na to, czy są samotne czy zakorzenione w rodzinnych związkach, są przede wszystkim ludźmi, a nie marionetkami odgrywającymi role płciowe. Nie występując w konwencjonalnym teatrzyku romansów i pogoni za wielką miłością, miewają za to seksualność we wszystkich możliwych odcieniach. Olga jest też mistrzynią w opisywaniu rozmaitych możliwych relacji międzyludzkich, które nie mieszczą się w schematach, nie dadzą nazwać się jednym słowem – miłość, seks, małżeństwo, rodzicielstwo. Również płeć nie jest ostatecznym więzieniem, o czym przekonuje nas historia mnicha Paschalisa, który zapragnął być kobietą, oraz świętej Katarzyny, która zamieniła się w mężczyznę (»Dom dzienny, dom nocny«). Sumeryjska Innana w pięknie przepisanym micie (»Anna In w grobowcach świata«) przypomina natomiast wszystkim, którzy są gotowi usłyszeć, że wciąż naczelną regułą naszego świata pozostaje androcentryzm, że kiedyś, w dalekiej przeszłości, świat został kobietom odebrany. A jednocześnie, że nie musi tak być zawsze".

Tak, Drogie Siostry, tak nie będzie na pewno i w tym pomogą starannie dobrane lektury szkolne. Z utworami Olgi Tokarczuk na czele, choć niedaleki będę od prawdy, twierdząc, że donośniejszym echem niż wszystkie

eprasa.pl 948c8be978

książki naszej noblistki razem wzięte odbiły się jak dotąd jej słowa wygłoszone przed kamerą telewizyjną po otrzymaniu Nagrody Nike (dostała ją dwukrotnie). A stwierdziła wtedy, że „wymyśliliśmy historię Polski jako kraju tolerancyjnego, otwartego, jako kraju, który nie splamił się niczym złym w stosunku do swoich mniejszości. Tymczasem robiliśmy straszne rzeczy jako kolonizatorzy, większość narodowa, która tłumiła mniejszość jako właściciele niewolników czy mordercy Żydów".

KŁÓCIM SIĘ I BIJEM

Sienkiewiczowski „Potop" został – na razie! – uratowany od zagłady jako powieść, w której nie dochodzą tak silnie do głosu nuty nacjonalistyczne, ponoć dyskwalifikujące inną część „Trylogii", a mianowicie „Ogniem i mieczem". Dlatego warto przy okazji powtórzyć za Pawłem Jasienicą słowa, które napisał jeszcze przed Październikiem 1956 r., a miały one wtedy inną wagę: „Powieść »Ogniem i mieczem« przedstawia polskie wojny na Ukrainie. Autor jej wysławia tych polityków i działaczy, którzy nie mieli historycznej racji. To prawda. Ale w książce jego nawet ze świecą i w biały dzień nie znajdziesz ani cienia rasizmu, czyli najgorszej, najgroźniejszej, najbardziej nowoczesnej odmiany nacjonalizmu. Tej, która przejawiała naówczas tendencję zwyżkową, miała wkrótce ustroić Europę w różnokolorowe koszule i doprowadzić do tępienia całych narodów […].

Jesteśmy za pan brat z postaciami z »Ogniem i mieczem«, dobrze nam w ich towarzystwie i nikomu z polskich czytelników do głowy nawet nie przychodzi, że Grodzicki, Zaćwilichowski, semenowie, z którymi Skrzetuski jeździł na Sicz, Podbipięta, Kurcewiczowie, dragoni Wołodyjowskiego, wojewoda Kisiel i tylu innych to wcale nie Polacy. Nie czujemy w nich »krwi obcej«. Autor rozmaicie dzieli między nich swoje sympatie, nigdy jednak nie czyni tego wedle nacjonalistycznych kryteriów".

Jasienica w tamtym czasie wcale nie był postacią marmurową, ale w ocenie prozy Sienkiewicza pozostawał, w zasadzie, bezkompromisowy. Nadto ją cenił, by nad jej wyjątkowością na tle całej literatury polskiej nie przechodzić do porządku dziennego.

Furt jednak czyni się z niego – także z uwagi na jego narodowe sympatie polityczne – dewota i ksenofoba. Przypisuje się pisarzowi zoologiczną wręcz nienawiść do Kozaczyzny, że wyznawców Mahometa w tym miejscu pomińmy. W nieskończoność cytowane jest zakończenie „Ogniem i mieczem" o tym, że: „Nienawiść wrosła w serca i zatruła krew pobratymczą […]", kompletnie zaś pomijane to, co powiedziane zostało w „Panu Wołodyjowskim", m.in. ustami sławnego łucznika, pana Muszalskiego, a na co zwrócił uwagę Tadeusz Bujnicki: „Był Nalewajko i Łoboda, była chmielnicczyzna, a teraz jest Dorosz; ziemia z krwi nie osycha, kłócim się i bijem, a przecie Bóg posiał w serca nasze jakoweś semina miłości, jeno że one jakoby w płonnej glebie leżą i dopiero gdy je łzy a krew podleje, dopiero pod uciskiem i pod kańczugiem pogańskim, dopiero w tatarskiej niewoli niespodziane wydają frukta".

Tatarską niewolę łatwo można zamienić na rosyjską i nieoczekiwanie słowa pana Muszalskiego nabierają aktualnego waloru. Tyle że zaraz po tej głębokiej refleksji pada w powieści, komiczne w swojej wymowie, zdanie obudzonego nagle ze snu Zagłoby: „Cham chamem!". I cóż, z kim tutaj identyfikuje się autor? A może nie przypisujmy mu poglądów, które głoszą jego bohaterowie, i ci pierwszo-, i ci drugorzędni?

A że np. kazanie natchnionego ks. Kamińskiego błagającego Boga o obrońcę ojczyzny, „pogromcę sprośnego Mahometa", wstrząsające jest w swej wymowie i dzisiaj, to już inna sprawa. Jeśli zaś komuś wizja kościołów zamienionych na meczety, w których „Koran śpiewać będą tam, gdzieśmy dotychczas Ewangelię śpiewali", wydaje się anachroniczna, to znaczy, że nic nie rozumie ani z naszej przeszłości, ani teraźniejszości.

PLICA POLONICA

Można się obruszyć na takie stawianie sprawy, bo przecież zupełnie inne jest dziś znaczenie literatury, nawet tej najwyższych lotów, ale warto przywołać słowa Stanisława Cata-Mackiewicza, który w „Europie in flagranti" pisał: „Stosunek dziecka do religii kształtuje się na pacierzu, stosunek dziecka do Polski – na Sienkiewiczu. Popularność powieści Sienkiewicza dzieci, u ludu, u żołnierzy była tak duża, że można go nazwać wielkim polonizatorem".

Była… W 1974 r. Adam Kersten, sam miłośnik Sienkiewicza, zaryzykował twierdzenie, że zbliża się moment, w którym „Trylogia" stanie się dla polskich czytelników tym, czym dla Francuzów są „Trzej muszkieterowie" Aleksandra Dumasa. Nie przewidział tego, że współcześnie osobnicy mieniący się literaturoznawcami jawnie okazywać będą pierwszemu polskiemu nobliście pogardę.

Tego pierwszego z naszych literackich noblistów noblistka ostatnia również nie darzy szczególną estymą, co ostatecznie dałoby się jakoś wytłumaczyć, dlaczego jednak – powiedzmy, że dowcipnie – zmienia nazwę finałowej części trylogii na „Oberst Wołodyjowski", tego, dalibóg nie pojmuję, także ze względu na dobrze znany stosunek autora owego „Obersta" do naszych zachodnich sąsiadów, czego dowiódł choćby w „Bartku Zwycięzcy", że „Krzyżaków" nie wspomnę.

No ale skoro ktoś był polonizatorem, to mu się tego nie zapomni. A grzechy polskości są wymowne. Na przykład taka kołtuneria, jakże finezyjnie ujęta przez pisarkę: „Moje dredy wzbudzają tu [w Holandii – przyp. K.M.] wiele sympatii, zwłaszcza wśród czarnych. Co i rusz

Sienkiewiczowski „Potop" został – na razie! – uratowany od zagłady jako powieść, w której nie dochodzą tak silnie do głosu nuty nacjonalistyczne, ponoć dyskwalifikujące inną część „Trylogii", a mianowicie „Ogniem i mieczem"

eprasa.pl 948c8be978

ktoś zaczepia mnie z uśmiechem i zagaduje, czy mam męża z Afryki. Z uśmiechem tłumaczę, że dredloki wcale nie są wynalazkiem rastamanów i Afrykanów. I powołuję się na pojęcie »kołtuna polskiego«, dokładnie opisanego w relacjach podróżników odwiedzających nasz kraj w XVII w. Kołtun był wtedy zjawiskiem tak powszechnym, że wszędzie w Europie określano go łacińską nazwą plica polonica i kojarzono z Polską. W pewnym sensie możemy być dumni, że wprowadziliśmy ten rodzaj uczesania do Europy. Powinno się dodać plica polonica do listy naszych wynalazków obok nafty, pierogów i wódki".

Czego się zresztą spodziewać po Polakach, którzy – jak to celnie ujął wybitny znawca tematu, Donald Tusk – „chleją, biją swoje kobiety i dzieci". Kiedyś robili to, widać, przy lampach naftowych, a Sienkiewicz nie pomijał wprawdzie tego smutnego tematu, ale jednak bardziej pasjonowały go wojny z Kozakami czy ze Szwedami. Też był z niego kołtun nie lada.

Z kołtunerią, jak wiadomo, idzie w parze religianctwo: „Polski katolicyzm. Szczególna odmiana katolicyzmu, którą cechuje silne powiązanie z tożsamością narodową oraz poczuciem misji – powiada Olga Tokarczuk – a także ze szczególnie rozwiniętym kultem Maryjnym. Według Kościoła Matka Boska jest nieodwołalną i jedyną Królową Polski. Z tego punktu widzenia ustrój Polski można zaliczyć do monarchii. Przynależność do Kościoła katolickiego deklaruje w Polsce 95,8 proc. populacji dorosłych (w Hiszpanii 94,1 proc., a we Włoszech – 97,1 proc.; roczniki nie podają, jaki procent bierze rzeczywisty udział w praktykach religijnych). Taki stan rzeczy trwa od zakończenia wojny światowej, kiedy na skutek wojny i posunięć geopolitycznych […] Polska przestała być krajem wielokulturowym i wieloetnicznym". Można domniemywać, że katolików przed wojną szukało się ze świecą.

STRACHY I UPIORY

Po wykastrowaniu „W pustyni i w puszczy" i wyrzuceniu „Janka Muzykanta" ostał się jednak w lekturach „Potop", co oczywiście już wzbudziło oburzenie postępowej części nauczycielstwa polskiego.

Zresztą, jak wiadomo, nowe władze Ministerstwa Edukacji Narodowej wypowiedziały wojnę nie tylko Sienkiewiczowi. Kto wie, czy nie za bardziej szkodliwego uważają Adama Mickiewicza, prawem kaduka nazywanego największym polskim poetą?

I tu gorliwe kontynuatorki dzieła polonistycznych inkwizytorów z lat stalinowskich, nieusatysfakcjonowane zapewne w pełni po usunięciu ze spisów lektur „Konrada Wallenroda" z „Powrotem taty" pospołu i sprowadzeniu „Pana Tadeusza" do rangi nieco dłuższej czytanki, mogą posłużyć się opinią Olgi Tokarczuk o „Dziadach", utworze – jak się okazuje – wyjątkowo szkodliwym ze względu na jady, które sączy w dusze naszej dziatwy niezdeprawowanej jeszcze wrażymi dziełami Norwidów, Krasińskich i Mickiewiczów.

„»Dziady« to powstały w latach 1820–1832 (z przerwami) i składający się z kilku części amorficzny dramat, w którego części III (tzw. Dziady drezdeńskie) idee odkupienia win i wyzwolenia powiązane są z koniecznością ofiary i cierpień. Dziwny, niepokojący i otwarty na interpretacje wpisywał się w mroczną tradycję mesjanistyczną, która kazała rozumieć polityczne niepowodzenia Polaków jako część boskiego planu zbawienia przez ból. Sam naród miał pozostawać pod szczególną boską opieką – na mesjanizm Mickiewicza nałoży się później pojęcie »misji« i przekonanie o moralnym posłannictwie narodu polskiego mającego odrodzić Europę.

[…] na emigracji, głównie we Francji, umacniała się idea Polski jako Chrystusa narodów, idea silnie zakorzeniona w judeochrześcijaństwie. Wyrosła na gruncie starotestamentowej wiary w nadejście zbawiciela i była rodzajem historiodycei, wyjaśniającej przyczyny zła i nadającej sens cierpieniu. Mesjanizm polski początkowo indywidualny, ewoluuje z czasem ku zbiorowemu, a losy narodu są postrzegane jako identyczne z losami Chrystusa. Stąd przekonanie o zbawczej roli cierpienia i konieczności poddania mu się. Dla Polaków niemal od początku słowo »naród« wiązało się więc ze śmiercią, stratą, ofiarą, wygnaniem i bólem".

Jakie z tego płyną wnioski? Otóż, „jedna z teorii psychologicznych mówi – powiada Olga Tokarczuk, z wykształcenia psycholog właśnie – że w sytuacji wielkiej traumy, zarówno tej indywidualnej, jak i zbiorowej, następuje abaissement du niveau mental – obniżenie poziomu świadomości. Słabną racjonalne mechanizmy obronne, intelekt ustępuje miejsca mrokom zbiorowej psychiki. Wyłażą cienie, a pokryte pajęczyną dawne strachy i upiory powracają uporczywie jak kompulsje i niewyleczone obsesje. Przerażony umysł próbuje doszukać się sensu, daje się uwodzić i podpuszczać. Odgrzebuje stare interpretacje, oddaje się w niewolę wdrukowanym poglądom, rezygnuje z refleksji. Słabnie jego zdolność do przeciwstawiania się perswazji i manipulacji".

Tak właśnie działo się, zdaniem autorki „Momentu niedźwiedzia", z naszym narodem po katastrofie smoleńskiej, co napełniło ją głębokim smutkiem. A może gdyby w młodości nie był ten naród otumaniony mesjanistycznymi miazmatami, zachowałby się inaczej, racjonalniej, jak przystaje Europejczykom wieku XXI. Zatem na co tu czekać?

I tylko jeszcze jedno. W 1902 r. w Paryżu pojedynkowało się dwóch polskich studentów. Poróżniła ich ocena Sienkiewicza. Śmierć poniósł obrońca pisarza. Czy ktoś by zaryzykował tak wiele dla Olgi Tokarczuk?

Nowe władze Ministerstwa Edukacji Narodowej wypowiedziały wojnę nie tylko Sienkiewiczowi. Kto wie, czy nie za bardziej szkodliwego uważają Adama Mickiewicza, prawem kaduka nazywanego największym polskim poetą?

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 948c8be978

Rafał Patyra wraz z zespołem zapraszają codziennie na najszybsze w Polsce informacje ze świata polityki, kultury, sportu i rozrywki. Prawdziwy polski ekspres w Telewizji Republika.

REPUBLIKA

EXPRESS REPUBLIKI

codziennie
16:55

RepublikaTV @RepublikaTV Telewizja Republika @RepublikaTV

Telewizję Republika oglądać można drogą satelitarną, przez sieci kablowe oraz w lokalnych multipleksach naziemnych MUX w: Katowicach, Warszawie, Trójmieście, Wrocławiu, Częstochowie, Tomaszowie Mazowieckim, Jeleniej Górze, na Śląsku i w części woj. opolskiego i małopolskiego. Aktualna lista MUX dostępna jest na serwisie www.tvrepublika.pl – gdzie także obejrzysz TV Republika na żywo. Wszystkie programy znajdziesz na kanale YouTube: @Telewizja_Republika.

eprasa.pl 948c8be978

Z Mariuszem Kamińskim, ministrem koordynatorem służb specjalnych w latach 2015–2023, ministrem spraw wewnętrznych w rządach premiera Mateusza Morawieckiego, politykiem PiS

rozmawia Ryszard Gromadzki

Kwestia godności

FOT. ANDRZEJ HULIMKA/REPORTER

RYSZARD GROMADZKI: Ilu posłów liczy aktualnie Sejm RP?

MARIUSZ KAMIŃSKI: To zależy od perspektywy. Z naszej perspektywy 261 posłów. Z perspektywy pana Hołowni – 259. Jak by liczyć, skład Sejmu jest niekonstytucyjny.

Jaki wobec tego jest pana status w Sejmie?

Jestem posłem, ale ten status jest w wyniku bezprawnych działań Hołowni w praktyce nie do zrealizowania. Podjęto decyzje o fizycznym niewpuszczeniu mnie i posła Wąsika do Sejmu, a nadto wygaszono nasze karty poselskie. Stało się to wbrew wyrokowi Sądu Najwyższego, który anulował decyzję Hołowni o wygaszeniu naszych mandatów. W moim wypadku, jak wiadomo, Hołownia zwrócił się do Państwowej Komisji Wyborczej z zapytaniem, kto był następny na liście, i taką odpowiedź uzyskał. Dlatego Sejm liczy aktualnie 261 posłów, gdyż osoba, do której się zwrócono, przyjęła mandat. Z kolei w wypadku posła Wąsika nawet nie wystąpił do PKW. Nie wystąpił z prostego powodu, ponieważ jedyną odpowiedzią, którą uzyskał w jego sprawie ze strony Izby Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych Sądu Najwyższego było postanowienie o anulowaniu jego decyzji o wygaszeniu mandatu posła Wąsika. Tym samym Hołownia sam przyznaje, że Sejm liczy obecnie 259 posłów. To bezprecedensowa sytuacja, sprzeczna z konstytucją. Artykuł 96 konstytucji mówi, że Sejm składa się z 460 posłów. Hołownia, w wyniku swoich bezprawnych i nieudolnych działań, doprowadził do tego, że Sejm obraduje w niekonstytucyjnym składzie.

Ten stan może rodzić daleko idące skutki prawne...

Oczywiście. Dlatego prezydent każdą ustawę przyjętą przez Sejm w tym składzie kieruje do Trybunału Konstytucyjnego, aby ten w trybie następczym wypowiedział się, czy taka ustawa była w legalny sposób przyjęta przez parlament. Ponadto Hołownia, manipulując naszymi odwołaniami od jego decyzji, kierując je do niewłaściwej izby Sądu Najwyższego i doprowadzając do sytuacji, w której Sejm składa się z niekonstytucyjnej liczby posłów, łamie prawo, co będzie podstawą do bardzo poważnych

eprasa.pl 948c8be978

postępowań karnych prowadzonych przeciwko niemu.

Co dalej? Będzie pan kandydował do Parlamentu Europejskiego?

Otrzymałem taką propozycję. Od momentu przejęcia władzy przez „koalicję 13 grudnia" jestem celem represji i czarnej propagandy, która ma doprowadzić do wyeliminowania mnie z życia politycznego. Jestem zdeterminowany, żeby w nim dalej uczestniczyć i działać na rzecz dobra publicznego. Uważam, że sytuacja w kraju jest skrajnie niepokojąca. Mamy do czynienia z ostentacyjnym łamaniem prawa w wielu obszarach życia publicznego przez rząd „koalicji 13 grudnia". Praktyka rządzenia gabinetu Tuska wpisuje się w bardzo złowieszczy sposób w datę, która wiąże się z jednym z najczarniejszych wydarzeń w naszej historii.

Zgodzi się pan, że to błędy popełnione przez PiS, zwłaszcza podczas drugiej kadencji, poniekąd utorowały drogę do władzy koalicji pod przywództwem Tuska?

Jest faktem, że do każdej władzy przyczepiają się ludzie i środowiska, którzy chcą czerpać z profitów władzy. Uważam, że pierwsza kadencja naszych rządów była bardzo dobra. Chodzi zarówno o efekty naszych działań, jak i zaangażowanie ministrów, posłów. Ludzie poczuli się znów dumni z Polski, potraktowani poważnie.

Druga kadencja była już gorsza. Dysponowaliśmy minimalną większością. To powodowało, że nie pozbywaliśmy się stanowczo i szybko ludzi, którzy nie powinni być w PiS. Nie potrafiliśmy pożegnać się z ludźmi, którzy na to zasługiwali. Dodajmy do tego syndrom „tłustych kotów". Na szczęście nie zdominowało to obrazu PiS. Jestem przekonany, że Prawo i Sprawiedliwość pozostaje jedynym ugrupowaniem, wokół którego można budować realny opór wobec zmian, które są wprowadzane przez „koalicję 13 grudnia". Wracając do pańskiego pytania, niewątpliwie destrukcyjne tendencje w PiS były wyczuwalne. Jednak w perspektywie politycznej czy moralnej nigdy nie doszło do załamania naszej formacji.

Czy w czasie drugiej kadencji rządów PiS nie oddaliśmy Unii Europejskiej bez walki kluczowej połaci polskiej suwerenności? Mam na myśli zgodę premiera Morawieckiego na forsowaną przez Brukselę formułę „pieniądze za praworządność" czy nieszczęsny Zielony Ład, który – o czym było wiadomo – okazuje się przekleństwem dla Polski. Czy nie negocjowaliśmy za miękko?

> **Sprawa Pegasusa sprowadza się do tego, czy polskie służby specjalne powinny mieć dostęp do nowoczesnych technologii**

Moim zdaniem tak. Nasi negocjatorzy byli łudzeni, że poprzez nasze działania napłyną należne nam środki, chociażby w ramach KPO. Wywołało to u nich fałszywe poczucie, że jest to realne. Według mnie nie było to realne. Prawdziwym celem establishmentu brukselskiego było doprowadzenie poprzez szantaż finansowy do radykalnych zmian politycznych w naszym kraju. Elity unijne dążą bez ogródek do budowy państwa europejskiego, stąd postulowane zmiany w traktatach unijnych, których celem jest zredukowanie do minimum zakresu suwerenności państw członkowskich.

Jesteśmy w krytycznym momencie tego procesu?

Dokładnie tak. To trzeba sobie powiedzieć wprost. Przyjęło się, że wybory do Parlamentu Europejskiego w Polsce postrzegane były jako mniej ważne. W efekcie frekwencja była zawsze poniżej oczekiwań. Tym razem stawka jest wyjątkowa wysoka. W Polsce i w Europie konieczna jest wielka mobilizacja społeczna, żeby powstrzymać proces centralizacji Unii Europejskiej. My, Polacy, nie zdążyliśmy się jeszcze nacieszyć wolnością, a znów chce nam się ją odebrać. Dziś ktoś, kto na europejskich salonach przyznaje się do tego, że jest patriotą, natychmiast naraża się na przylepienie mu etykiety nacjonalisty, ksenofoba czy faszysty. Widać, że w całej Europie budzą się ruchy suwerennościowe.

A nie ma pan wrażenia, że już kolejny raz spodziewamy się w Europie konserwatywnej „wiosny ludów", a skończy się jak zawsze, czyli drugą kadencją Ursuli von der Leyen i jeszcze większym lewicowym zamordyzmem...

Zawsze jest niepewność. Rzeczywiście wielokrotnie spodziewaliśmy się tej konserwatywnej fali w Europie. Jednak obecnie sprawy w Unii Europejskiej idą tak daleko, że społeczny opór wobec nich jest czymś absolutnie niezbędnym. Za chwilę możemy obudzić się w zupełnie innej Europie, a tym samym w zupełnie innej Polsce. Obecny kurs realizowany przez Unię prowadzi wprost do realnej utraty suwerenności przez Polskę jako państwa. Wydaje się, że to zagrożenie dostrzega coraz więcej ludzi w Europie. Sondaże, które publikowane są w różnych krajach, potwierdzają, że jest szansa na pojawienie się szerokiego ruchu, który zatamuje ten federacyjny, centralistyczny kierunek w Unii Europejskiej.

Wróćmy do spraw krajowych. W Sejmie działa komisja śledcza badająca sprawę nielegalnej inwigilacji za pomocą systemu Pegasus. Służby, które pan nadzorował, oskarżane są o bezprawne wykorzystywanie Pegasusa do walki politycznej.

Zamierzam stawić się przed komisją, żeby pokazać opinii publicznej skalę manipulacji, z którą mamy do czynienia w tej sprawie. Chcę pokazać, że to polityczny spektakl wyreżyserowany przez Platformę Obywatelską. W istocie sprawa Pegasusa sprowadza się do tego, czy polskie służby specjalne mogą korzystać, czy powinny mieć dostęp do nowoczesnych technologii. W 2015 r., kiedy objąłem funkcję koordynatora służb specjalnych, mieliśmy do czynienia z sytuacją, że każdy przestępca mający dostęp do szyfrowanego komunikatora internetowego mógł mieć poczucie całkowitej bezkarności. Dzięki decyzji o zakupie Pegasusa udało się wykryć ogromną liczbę przestępstw gospodarczych, np. związanych z przestępczością VAT-owską. Udaremnić wrogie działania wymierzone w bezpieczeństwo państwa, zidentyfikować szpiegów.

Może pan z czystym sumieniem powiedzieć, że Pegasus nigdy nie był wykorzystywany przez służby, którymi pan kierował, do nielegalnych działań, takich jak inwigilacja polityków opozycji czy dziennikarzy?

Takie działania nigdy nie miały miejsca. Trzeba powiedzieć, że system Pegasus jest oferowany przez jego izraelskiego producenta wyłącznie rządom. Tylko służby rządowe mogą

eprasa.pl 948c8be978

nabyć ten program, wyłącznie za zgodą właściwego departamentu ministerstwa obrony Izraela. W tej chwili korzystają z niego służby kilkudziesięciu państw świata. Nabycie przez Centralne Biuro Antykorupcyjne tego programu było jego obowiązkiem. Obowiązkiem z punktu widzenia państwa i obywateli. Zdecydowana większość jego zastosowań operacyjnych nie dotyczyła osób pełniących funkcje publiczne. Z Pegasusa korzystała polska policja w sprawach związanych z przestępczością zorganizowaną, handlem narkotykami, morderstwami czy porwaniami. Jak już wspomniałem, program wykorzystywany był do zwalczania zagrożeń związanych z bezpieczeństwem państwa, w tym zagrożenia terrorystycznego czy działalności szpiegowskiej. To wszystko sprawy o fundamentalnym znaczeniu dla państwa. Grupa osób, wobec której stosowane były techniki operacyjne możliwe dzięki użyciu systemu Pegasus, to m.in. byli Rosjanie i Białorusini przebywający na terenie Polski jeszcze przed wybuchem pełnoskalowej wojny na Ukrainie, kiedy nasze kontrwywiady cywilny i wojskowy sprawdzały, czy nie prowadzą oni u nas jakiejś wrogiej, szpiegowskiej działalności. Intrygi Platformy Obywatelskiej wokół Pegasusa w postaci pseudokomisji śledczej doprowadzą do sytuacji, w której polskie służby w najgroźniejszych sytuacjach staną się całkowicie bezradne.

Pegasus był wykorzystywany do inwigilowania polityków PiS? Przedstawiciele rządzącej koalicji twierdzą, że tak, a media co rusz publikują nowe listy podsłuchiwanych polityków Prawa i Sprawiedliwości.

To klasyczna intryga polityczna. Proszę zwrócić uwagę, że kiedy prezydent zwołał radę gabinetową, nagle w mediach pojawiła się informacja, że być może pan prezydent był inwigilowany Pegasusem. Padają nazwiska premierów i innych czołowych polityków PiS. Wszystko to są rzeczy całkowicie wyssane z palca. Celem tej intrygi jest próba dezintegracji naszego obozu, zasianie nieufności. Jeśli któreś z mediów opublikowałoby autentyczną listę osób objętych działaniem Pegasusa, to znalazłyby się na niej nazwiska rosyjskich i białoruskich szpiegów. To są prawdziwe „ofiary" Pegasusa.

Tego typu działania są uważane przez organizacje międzynarodowe za tortury

W jaki sposób opisałby pan doświadczenie związane z osadzeniem w więzieniu w Radomiu? Na filmie, który pojawił się w sieci po przewiezienia pana do radomskiego więzienia, słychać wulgarnie złorzeczących więźniów...

Ten film był fejkiem. On był nagrany w innym więzieniu, kilka lat wcześniej. Byłem całkowicie izolowany. W celi 24 godziny na dobę byłem inwigilowany przez kamery. Kiedy wychodziłem na korytarz, wszystkie cele były zamknięte, tak że nie miałem żadnego kontaktu z innymi więźniami. Na początku przy każdym wyjściu z celi usiłowano zakładać mi kajdanki, ale powiedziałem, że absolutnie się na to nie zgadzam, że są to metody nieakceptowalne, niezależnie od zapisów ich regulaminu. Być może jest to regulamin obowiązujący groźnych bandytów, ale nie więźniów politycznych. Odmówiłem zakładania kajdanek i ciągłego rewidowania przy każdym wyjściu z celi. Cały czas toczyłem walkę o zachowanie godności. Jestem przekonany, że mi się to udało.

W więzieniu podjął pan głodówkę protestacyjną. Czy podczas przymusowego karmienia stosowano wobec pana przemoc?

Tak. To rzecz niebywała, bo miała miejsce ostatniego dnia mojego pobytu w więzieniu. Wcześniej zostałem przewieziony do szpitala zewnętrznego, bo wyniki badań były chwilowo niekorzystne. Ale w szpitalu sytuacja została całkowicie ustabilizowana. Nie istniało żadne zagrożenie dla mojego życia. Ostatniego dnia mojego pobytu w więzieniu w celi pojawił się sędzia. Jak się okazało, kolejny aktywista Iustitii. Przypomnę, że to członkowie tego stowarzyszenia na różnych etapach naszego procesu występowali w składach orzekających. Ów sędzia oznajmił mi, że podjął decyzję o moim przymusowym dokarmianiu. Odpowiedziałem mu, że nie zgadzam się z taką decyzją sądu, a głodówka jest formą protestu, który zamierzam kontynuować. Poinformowałem go, że nie ma żadnego zagrożenia dla mojego życia. I że mam prawo narażać swoje zdrowie w imię wyższych wartości, którymi są moja wolność i godność. Zapytałem go, czy zdaje sobie sprawę, że przymusowe dokarmianie oznacza podanie sondy przez nos? Odpowiedział, że nie interesuje go, w jaki sposób to dokarmianie się odbywa. Chwilę później zostałem wprowadzony przez grupę strażników do innego pomieszczenia. Tam przypięto mi ręce i nogi pasami.

Stawiał pan opór?

Uznałem, że nie będę przepychał się ze strażnikami. Powiedziałem im, że to przymus. Lekarz, który podjął się tego działania, usiłował kilkakrotnie włożyć mi sondę do przegrody nosowej. W trakcie tych nieudanych prób zapytał mnie, czy kiedykolwiek miałem złamany nos. Potwierdziłem, że tak, ponieważ w dzieciństwie doznałem złamania nosa, w następstwie czego mam skrzywioną przegrodę. W tym momencie natychmiast wciągnął mi do przełyku mniej więcej półmetrową sondę i w ten sposób doszło do przymusowego dokarmiania Fizycznie był to bardzo duży ból. Tak jak powiedziałem: nie było żadnego uzasadnienia dla takich działań w postaci zagrożenia życia.

Czyli ta szykana została podjęta wobec pana z premedytacją?

Tak.

Wiem, że podjął pan działania w tej sprawie, jednak sąd w Lublinie umorzył postępowanie.

Sąd moje odwołanie odrzucił z powodów formalnych, argumentując, że jestem już na wolności, w związku z tym nie będzie już merytorycznie zajmował się tą sprawą. Jestem w kontakcie z ekspertami od praw człowieka, którzy widzą wiele analogii występujących w takich sytuacjach na świecie. Tego typu działania są uważane przez organizacje międzynarodowe za tortury, więc będę jeszcze analizował tę sprawę i nie wykluczam, że będzie ona miała dalsze konsekwencje w kontekście tego, żeby w przyszłości prawa innych więźniów politycznych, oby ich nie było, ale widząc, co wyprawia „reżim 13 grudnia", nie można tego wykluczyć, żeby ich prawa były honorowane.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 948c8be978

Sławomir Mentzen i Krzysztof Bosak

FOT. PIOTR NOWAK/PAP

Nominowani

Rafał A. Ziemkiewicz

Jakakolwiek była przyczyna namaszczenia przez Ursulę von der Leyen partii Mentzena i Bosaka na głównego wroga UE w Polsce, nie ulega wątpliwości, że nastąpiło to w dobrej dla nich chwili

Ursula von der Leyen, przemawiając na zjeździe Europejskiej Partii Ludowej w Bukareszcie, wskazała konkretnych, śmiertelnych wrogów Unii Europejskiej, demokracji i swojej formacji. Wśród „populistycznych" partii zachodnioeuropejskich, takich jak francuski Front Narodowy, hiszpański VOX i niemiecka AfD, wymieniła polską Konfederację. Wydaje się to pewnym zaskoczeniem. Przecież tym „zagrożeniem dla demokracji", przeciwko któremu von der Leyen jeszcze niedawno posyłała do boju Donalda Tuska, było zawsze dla eurokratów Prawo i Sprawiedliwość. Tym razem zaś von der Leyen w ogóle o nim nie wspomniała.

Jak to rozumieć? Czy przewodnicza KE doceniła w ten sposób, że wprawdzie partia Jarosława Kaczyńskiego jest „grupie trzymającej UE" obca kulturowo i nieakceptowalna ze względu na swą prawicową tożsamość, ale jednak konkretnymi decyzjami podejmowanymi podczas ośmioletnich rządów zasłużyła na uznanie za formację lojalną wobec Wspólnoty i „państwa europejskiego", w które jest ona obecnie, pod przewodem EPL, przekształcana? Czy też może jest przekonana, że PiS został już przez jej partyjnego wysłannika przetrącony i pokonany raz na zawsze i czas skupić się na walce z nowym, „wschodzącym" zagrożeniem?

POCAŁUNEK WROGA

Jakakolwiek była przyczyna namaszczenia partii Mentzena i Bosaka na głównego wroga UE w Polsce, nie ulega wątpliwości, że nastąpiło to w dobrej dla nich chwili. Liderzy partii zresztą umieli

eprasa.pl 948c8be978

podchwycić okazję, wylewnie, acz oczywiście ironicznie dziękując przewodniczącej, że doceniła ich antyunijne starania i nawet zdołała przy tym nie poprzekręcać nazwisk (skądinąd akurat – zgódźmy się – niebędących dla Niemki wyzwaniem na miarę „Grzegorza Brzęczyszczykiewicza"). Takie wskazanie ze strony wroga bywa bezcenne, wiedzą o tym dobrze zwłaszcza współtworzący Konfederację narodowcy – gdyby „Gazeta Wyborcza" nie uruchomiła swego czasu z wykorzystaniem wszystkich posiadanych wpływów nagonki na Marsz Niepodległości, próbując go zablokować, a przynajmniej uczynić obiektem powszechnego potępienia, ta sztandarowa dla ruchu manifestacja, teraz gromadząca co roku ponad 100 tys. uczestników, zapewne pozostałaby do dziś niszową imprezą grupki narodowych radykałów. Zabawne zresztą, że takim brakiem zdolności przewidywania wykazało się właśnie środowisko Adama Michnika, które samo swoje znaczenie zawdzięcza w ogromnym stopniu analogicznemu „nominowaniu" na głównych wrogów partii przez gen. Moczara, który, skupiając propagandowe ataki na tej właśnie grupie, chciał zdezawuować marcowe manifestacje studenckie jako dzieło rozpuszczonego potomstwa żydowskich stalinistów.

Wydaje się mało prawdopodobne, by von der Leyen orientowała się na tyle dobrze w polskich realiach politycznych, że sama z siebie wybrała akurat Konfederację na „polski AfD" i obiekt ataku. Czy została do tego zainspirowana przez obóz „odzyskujący nas dla Europy"? Pobrzmiewa to oczywiście teorią spiskową, ale skierowanie uwagi na Konfederację i wykreowanie jej właśnie na opozycję wobec PO i jej pacynek zapewne uważa się w tym obozie za korzystne.

Tak może być, pod warunkiem że twarzą Konfederacji pozostanie Grzegorz Braun. Jego happeningowy atak z gaśnicą na chanukowy świecznik w Sejmie stał się wiralem za sprawą niezliczonych memów, parodystycznej piosenki mającej na YouTube miliony odtworzeń i licznych nawiązań w mediach społecznościowych. Braun wszedł do popkulturowej mediosfery jako postać tyleż popularna, co groteskowa, symbol żydofobicznych i wszelkich innych obsesji. Połączenie krytyki państwa unijnego przedstawianiem współczesnej Polski jako „niemiecko-rosyjskiego kondominium pod żydowskim zarządem powierniczym", przekierowywanie krytyki bezprawia, które wykonuje dla Tuska Adam Bodnar, na demaskowanie tego ostatniego jako z pochodzenia Ukraińca, otwarcie prorosyjskie manifestacje w rodzaju opuszczania sali sejmowej podczas głosowania potępiających reżim Putina rezolucji, opowieści o podziemnych bunkrach, które mają być w tajemnicy zbudowane w ramach CPK etc. – to wszystko czyni Brauna opozycjonistą bardzo dla władzy wygodnym, na podobnej zasadzie, jak przed 2015 r. wygodny był Korwin-Mikke, gwarantujący, że w najgłębiej nawet słuszną krytykę systemu zawsze wplecie coś horrendalnego, co szerszej publiczności nie pozwoli traktować całej narracji poważnie.

Jeśli jednak rzeczywiście ktoś, kierując się takim wyrachowaniem, zainspirował przewodniczącą KE do werbalnego ataku na Konfederację, to nieco się przeliczył. Wszyscy zakładali, że Mentzen i Bosak nie mają innego wyjścia niż tkwić w sojuszu, który od momentu chanukowej chryi staje się dla nich coraz bardziej niewygodny; jeśli bowiem Braun z innymi posłami swojej Konfederacji Korony Polskiej odejdzie, to stracą klub parlamentarny, a na to przecież nie mogą sobie pozwolić. Dynamika zdarzeń ostatnich miesięcy sprawia jednak, że ta kalkulacja wydaje się nie sprawdzać.

PROBLEM BRAUNA ROZWIĄŻE BRAUN?

Braun bowiem, najwyraźniej poczuwszy wiatr popularności w żaglach, postawił Mentzena i Bosaka przed faktem dokonanym, wchodząc w Warszawie do komitetu honorowego Korwin-Mikkego, startującego przeciwko popieranemu przez partię Przemysławowi Wiplerowi. Tym samym potwierdził krążące od pewnego czasu domniemania, że prędzej czy później zmieni barwy klubowe, dołączając do nowego projektu Korwin-Mikkego i Stanisława Michalkiewicza, którego inauguracją ma być start do Parlamentu Europejskiego. Do tego ruchu jest Braun zresztą już od pewnego czasu zachęcany przez sporą grupę najtwardszych, radykalnych zwolenników, związanych z projektem Konfederacji u jego zarania i obciążających winą za rozczarowujący wynik wyborów rozwodnienie dawnego, twardego przekazu z czasów Korwin-Mikkego próbami wkupienia się w łaski centrowego elektoratu. Środowisko „Najwyższego Czasu!" czy popularny w radykalnej niszy prof. Adam Wielomski jako głównego winnego wskazują tu Przemysława Wiplera, który miał stać za Mentzenem i za odsunięciem od kampanii wyborczej historycznego lidera.

Konfederacja nie była może jedyną siłą polityczną, która odrzucała narzucane przez Berlin i Brukselę zmiany i przestrzegała przed skutkami budowy „państwa europejskiego" – ale to ona właśnie ma największe szanse, by skonsumować rozczarowanie Unią

Jednakże trapiona praktycznie już przesądzonym rozłamem Konfederacja dostaje akurat prezent od losu w postaci ogólnoeuropejskiego kryzysu wywołanego Zielonym Ładem i szerokim otwarciem Europy na produkty ukraińskie. Jedna sondażowa jaskółka nie dowodzi jeszcze oczywiście niczego, ale warto odnotować ubiegłotygodniowe badanie panelu Ariadna, przełamujące dotychczasowy, utrzymujący się od lat trend. Od lat w badaniach na pytanie: „Czy popierasz członkostwo Polski w UE?" odpowiedzi „tak" udzielało ponad 80 proc. a „nie" – poniżej 10. Tym razem 20 proc. opowiedziało się za wyjściem z UE, a kolejne 20 proc. wybrało łagodniejsze sformułowanie – za „rozważeniem" dalszego członkostwa.

W innym ciekawym sondażu, pracowni United Surveys, na pytanie: „Kto ponosi winę za kłopoty rolników?" (wolno w nim było zakreślić więcej niż jedną odpowiedź), najwięcej uczestników wskazało na Unię Europejską, ale niemal równa liczna – pomiędzy 45 proc.

eprasa.pl 948c8be978

a 50 proc. – na byłą i obecną władzę. PiS, odmawiający jakichkolwiek rozliczeń za swą ośmioletnią uległość wobec Unii, „kamienie milowe", „piątkę dla zwierząt", gołosłownie zapewniający, że „zawsze był przeciwko Zielonemu Ładowi" – choć wystarczy kilka kliknięć, by znaleźć wypowiedzi liderów partii i inne dowody, że bynajmniej tak nie było – zwyczajnie nie jest w stanie skorzystać na rozczarowaniu kluczowej dla niego grupy wyborców. Tym bardziej nie są do tego zdolne partie współtworzące rząd Tuska.

Konfederacja nie była może jedyną siłą polityczną, która konsekwentnie i jednoznacznie odrzucała narzucane przez Berlin i Brukselę zmiany i przestrzegała przed skutkami budowy „państwa europejskiego" – ale to ona właśnie ma największe szanse, by skonsumować rozczarowanie Unią. Suwerenna Polska mówiła mniej więcej to samo, ale zawsze można jej zarzucić, że tylko mówiła, pozostając lojalnym członkiem Zjednoczonej Prawicy, oddającej „państwu europejskiemu" kolejne pola w zamian za marchewkę na kiju, którą stanowiła obietnica „odblokowania funduszy". Na dodatek w sprawę wdał się ślepy los, eliminując z aktywności politycznej jej lidera, którego, jak zwykle, nie bardzo jest kim zastąpić.

WYJŚCIE Z KRÓTKICH SPODENEK

Odbudowywana przez Korwin-Mikkego na eurowybory partia nieprzejednanych, do której prawie już na pewno dołączy Braun, przebijając Konfederację w radykalnej retoryce i żądaniach, może paradoksalnie poprawić sytuację ugrupowania, które swą wyborczą szansę zaprzepaściło – odpychając właśnie nadmiernym radykalizmem w zapowiedziach, owym obiecywaniem „przewrócenia stolika", czyli odsunięcia od władzy – z kilkunastoprocentowym w szczycie popularności poparciem – jednocześnie i PiS, i PO. Na tle duetu Korwin-Mikke/Braun Bosak z Mentzenem i Wiplerem mogą łatwo w oczach opinii publicznej spoważnieć, wyjść z „krótkich spodenek" będących wizerunkowym przekleństwem formacji. Na podobnej zasadzie, acz na mniejszą skalę, może pomóc nowa partia Niepodległość Roberta Bąkiewicza, która jeśli zdoła się przebić do opinii publicznej, to zapewne tylko wskutek straszenia nią przez „tefałeny" jako grupą radykalnych troglodytów.

Kolejne decyzje eurokratów, podejmowane w szczycie europejskich protestów, wydają się wręcz prowokacyjne: z uporem dawnych starców z Kremla upierają się oni, że panaceum na wszelkie problemy jest więcej tego samego, więcej restrykcji klimatycznych, więcej centralizacji władzy w UE, więcej obciążeń parapodatkowych i więcej podporządkowania mniejszych krajów większym. To wyznacza polityczną przyszłość – także Polski. Tak jak trzeba było rządów Leszka Millera, by Polacy odrzucili postkomunistów, tak rządy arcyeuropejskiego Tuska najprawdopodobniej zakończą złudzenia większości Polaków wobec członkostwa w UE. Kto na tym skorzysta politycznie i czy Konfederacja zdoła wyciągnąć zyski z „nominacji" von der Leyen, to ciekawe pytania, ale ważniejsze od nich jest to, że skorzysta na tym Polska.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

Od czerwonych sztandarów do tęczowych flag

Najnowsza książka, kontynuacja cyklu prof. Wojciecha Roszkowskiego

Premiera

Cena det. 89 zł

Cena det. 69 zł

Cena det. 89 zł

Dla czytelników tygodnika „Do Rzeczy" 25% taniej!*

*Rabat naliczany jest od podanej ceny detalicznej.

ZADZWOŃ: tel.: 12/260 32 90, 12/254 56 19, e-mail: dystrybucja@bialykruk.pl, www.bialykruk.pl
Przy zamówieniu powyżej 200 zł koszty przesyłki (17 zł) ponosi wydawnictwo.
Wydawnictwo Biały Kruk, ul. Szwedzka 38, 30-324 Kraków

304 str., 16,5 x 23,5 cm, twarda oprawa
Cena det. 79 zł

eprasa.pl 948c8be978

FOT. RADEK PIETRUSZKA/PAP

Lekkie zatrucie popcornem

Piotr Semka

Dopiero z perspektywy ostatniej kampanii medialnej dezawuującej Hołownię widać, jak czysto zadaniowe było hołubienie w roli marszałka Sejmu niegdysiejszego gwiazdora TVN

Ostatnie dwa tygodnie były bolesną nauczką dla Szymona Hołowni. Z jednej strony Lewica, a z drugiej strony Donald Tusk dali mu bolesny prztyczek w nos. Chodziło oczywiście o podjętą przez marszałka Sejmu próbę przesunięcia sejmowej debaty w sprawie zmian w ustawie aborcyjnej na okres po kampanii wyborczej do samorządu.

Sam Hołownia zapewne nie spodziewał się, że taki manewr wywoła aż takie poruszenie medialno-polityczne. Ale Lewica, która od dłuższego czasu znajduje się w politycznej defensywie, uznała, że czas dać nauczkę Hołowni, tak aby nie śmiał traktować problemu aborcyjnego w sposób instrumentalny. Z okazji skorzystał też Donald Tusk, który przyjął pozę najwierniejszego zwolennika aborcji na żądanie i pokazał, jak łatwo odwrócić i wyśmiać wizerunek domniemanego cudownego dziecka polskiej polityki.

PRZESTAWIANIE WAJCHY

Dopiero z perspektywy ostatniej kampanii medialnej dezawuującej Hołownię widać, jak czysto zadaniowe było hołubienie w roli marszałka Sejmu niegdysiejszego gwiazdora TVN. Tylko dla upokorzenia przegranego PiS Hołownia był wynoszony pod niebiosa jako dowcipny, a także zdecydowany szef niższej izby parlamentu. Zaspokajał on w ten sposób żądzę elektoratu odwetu, który dla słuchania kwiecistych reprymend Hołowni wobec Jarosława Kaczyńskiego czy Marka Suskiego gotowy był nawet kupować bilety na specjalne seanse sejmowych relacji w kinach. Hołownia uznał, że jest już mianowany raz na zawsze na jedną z najpopularniejszych postaci w państwie, i zakładał, że dojedzie na tym polityczno-medialnym wehikule aż do wyborów prezydenckich.

Mógł tak myśleć, tym bardziej że okazał się dla Donalda Tuska stosunkowo wygodnym partnerem koalicyjnym. W pakiecie politycznych fantów dla Polski 2050 marszałkostwo było jedną z głównych nagród, podczas gdy pozostałe posady – w postaci Ministerstwa do spraw Społeczeństwa Obywatelskiego dla Agnieszki Buczyńskiej, Ministerstwa Klimatu i Środowiska dla Pauliny Hennig-Kloski czy Ministerstwa Funduszy i Polityki Regionalnej dla Katarzyny Pełczyńskiej-Nałęcz – nie były specjalnie atrakcyjne. Oczywiście dochodziły do tego rozmaite stanowiska w spółkach Skarbu Państwa czy mediach publicznych, ale można było odnieść wrażenie, że głównym beneficjentem udziału Polski 2050 w koalicji jest sam Szymon Hołownia.

Lewica zastrzygła uszami na próby żonglowania projektami ustaw aborcyjnych, trafnie rozpoznając słabe punkty postawy Hołowni. Marszałek Sejmu – pewny swej mocnej pozycji – sugerował, że jego zamiarem jest doprowadzenie do wskrzeszenia dawnego kompromisu aborcyjnego przy jednoczesnym zepchnięciu postulatu aborcji na życzenie do 12. tygodnia na bliżej niesprecyzowaną przyszłość. Skoro jednak Hołownia nie miał dość odwagi, aby bronić swego stanowiska, to liderzy Nowej Lewicy zrozumieli, że wypadną znacznie korzystniej, jeśli przedstawią się jako bezkompromisowi ideowcy.

Właśnie dlatego Włodzimierz Czarzasty postanowił rozbić używany dotąd przez Trzecią Drogę argument, że nowa koalicja powinna trzymać się z dala od sporów światopoglądowych. Lider Nowej Lewicy ogłosił: „To nie jest dyskusja światopoglądowa. To jest sprawa przyrodzonego prawa kobiet do samodzielnego decydowania w swoich sprawach. W tej sprawie nie ma trzeciej drogi". Używając odniesienia do Trzeciej Drogi, Czarzasty postanowił przy okazji zaczepić PSL i jej lidera, Władysława Kosiniaka-Kamysza. I znów mógł zrobić to z tym większą pewnością siebie, że lider ludowców nie wsparł specjalnie aktywnie obszczekiwanego przez Lewicę Hołowni.

Poza tym Lewica zwróciła uwagę, że Hołownię zaatakowali rozmaici tzw. eksperci, wspierający linię proaborcyjną. Przykładowo na portalu Wirtualnej Polski prof. Małgorzata Molęda-Zdziech grzmiała oskarżycielskim tonem: „To jest koniec wizerunku Hołowni jako polityka nowej generacji, który chciał [doprowadzić do] zmiany na scenie politycznej i dotrzymuje słowa. Pokazał swoją prawdziwą twarz".

Oburzeni na Hołownię dziennikarze dotarli nawet do Marcina Prokopa – medialnego brata bliźniaka Hołowni z epoki występów w TVN. Portal Pomponik donosił: „Prokop nie chce dłużej bronić Hołowni. Nie ukrywa wątpliwości w sprawie nowej kariery dawnego kolegi".

Nic dziwnego, że wobec tak spektakularnego wygnania marszałka Sejmu

eprasa.pl 948c8be978

z medialnego raju posłanki Nowej Lewicy uznały, że mogą iść na całość. Gdy Hołownia uspokajał na X: „Trzeba spokoju i cierpliwości, żeby walcząc o dobro, nie wprowadzać więcej zła", Anna Maria Żukowska odwinęła się ostro. Walnęła na odlew: „Wypie.dalaj z tym spokojem".

Tak wulgarna riposta wywołała krytykę, ale tylko w stosunkowo ograniczonej skali. Pewna siebie Żukowska tłumaczyła się, że ma prawo do ostrego języka, bo „reprezentuje kobiety, które mają dosyć czekania". Politycy Lewicy anonimowo deklarowali, że szefowa ich klubu parlamentarnego miała usłyszeć jakąś reprymendę, ale stanowisko szefa klubu zachowała.

Wizerunek Hołowni ucierpiał w sposób spektakularny. Okazało się, że cały jego rzekomy prestiż marszałkowski można w każdej chwili przekreślić, gdy staje na drodze obozowi postępu.

I wreszcie swoje trzy grosze dorzucił do całej awantury Donald Tusk. Niczym tatuś wypowiadający się o niegrzecznych dzieciach zadeklarował, że będzie robił wszystko, by Hołownia i Kosiniak-Kamysz w tych sprawach „nie przeszkadzali". Lider Platformy pokazał w wyraźny sposób, że gdy trzeba, nie będzie liczył się z koalicjantami z Trzeciej Drogi. A ci, jak się okazało, nie ośmielili się zdobyć na jakąkolwiek ripostę wobec premiera.

Prestiżowe kłopoty Hołowni nałożyły się w czasie na dwie wizerunkowe porażki Polski 2050. W Gdańsku miejscowe media wytknęły, że nowy nabytek tej partii, były poseł Konfederacji Artur Dziambor, objął funkcję szefa marketingu w spółce Skarbu Państwa – Port Gdański. Jak się domyślano, byłemu konfederacie podał rękę nowy prezes Portu Gdańskiego, którym został Krzysztof Zbigniew Kaczmarek, były wspólnik biznesowy męża Magdaleny Sroki, posłanki Trzeciej Drogi. Dziennikarze z lubością przypomnieli tyrady Dziambora z epoki Konfederacji, gdy sypał gromami na spółki Skarbu Państwa jako „koryto, o które bije się każda władza".

Równie dolegliwe dla Polski 2050 było ujawnienie w mediach nagrań, na których Adam Gomoła, młody poseł Polski 2050 z Opola, mówił, że za odpowiednią sumę jest w stanie umieścić chętnych na listach Trzeciej Drogi do sejmiku samorządowego. Przy okazji ujawniono, że na liście znalazł się także brat Gomoły – Jarosław. Bardzo ciekawą okolicznością całej afery było to, że w Opolu spekulowano, iż taśmy ujawniła w ramach zemsty opolska PSL, która miała w ten sposób zemścić się na młodym pośle za zbytnie rozpychanie się w lokalnej koalicji Trzeciej Drogi. Jeśli to prawda, to rzucałoby to ciekawe światło na wzajemne relacje ludzi Hołowni i działaczy PSL, którzy sobie specjalnie nie ufają.

Te dwie afery doskonale pokazują naturalny problem, który będzie prześladował Polskę 2050. Jest to ugrupowanie połączone jedynie osobą lidera, do którego na zasadzie niemal łapanki brano osoby, które nie potrafiły się utrzymać w dotychczasowych partiach. Ludzie tacy bardzo często nie mają doświadczenia w polityce i wchodzą w wątpliwe polityczne praktyki. W tym kontekście przypominają się kontrowersje wobec ustawy wiatrakowej i posłanki Hennig-Kloski. Partie tworzone „z niczego" zawsze ciągną za sobą podejrzenia o podległość lobbystom lub chęć jak najszybszego rozepchania się w lokalnej polityce. A Szymon Hołownia zajęty gwiazdorzeniem w Sejmie nie miał w ostatnim czasie wiele czasu do odwiedzania i przeglądania lokalnych kadr.

NA KRUCHYM LODZIE

W wypadku Hołowni wszystkie jego obecne kłopoty można zdefiniować określeniem z psychologii – załamanie się życiowego scenariusza. Hołownia zamiast wejść do rządu i zabłysnąć w którymś z ministerstw, wybrał drogę na skróty. Zmonetyzował politycznie swoje wsparcie dla Donalda Tuska w postaci stanowiska marszałka Sejmu, które miało być wygodną trampoliną do wymarzonej prezydentury w 2025 r. Zapomniał, że w polityce niczego nie dostaje się za darmo. Owszem, Polska 2025 bardzo przydała się Platformie przy odsunięciu PiS od władzy, ale na dłuższą metę Tuskowi nie zależy na dalszym budowaniu prezydenckich szans Hołowni. Tym bardziej że coraz więcej wskazuje na to, iż ambitny gdańszczanin sam może mieć ochotę na zdobycie pałacu przy Krakowskim Przedmieściu.

Skoro liczni politycy Platformy podejrzewają Tuska, że marząc o prezydenturze, już teraz osłabia pozycję Rafała Trzaskowskiego jako niewygodnego konkurenta, to jeszcze mniej skrupułów będzie miał Tusk wobec Hołowni. Lider PO ma tym łatwiejszą robotę, że Polska 2050 ma niezwykle słabą tożsamość polityczną. Ani na serio nie wciela w życie taktyki bycia rzeczywistą trzecią siłą, bo w praktyce akceptuje w niemal 100 proc. odwet Platformy, ani nie potrafi wykreować żadnego realnego programu bycia siłą centrowo-konserwatywną. Niby sprzeciwia się aborcji na żądanie, ale nie potrafi wejść w żaden wyrazisty spór z lewicą.

Niby obóz Trzeciej Drogi ma w swych szeregach konserwatywnych uciekinierów z obozu Prawa i Sprawiedliwości, ale nawet przy najlepszym słuchu nie jest łatwo usłyszeć ich głos. Kreowani na potencjalnych kreatorów nowej prawicy Kazimierz Ujazdowski, Marek Biernacki czy Paweł Zalewski nie byli specjalnie aktywni w czasie ostatniego festiwalu ataków Nowej Lewicy na Hołownię. Hasło referendum w sprawie aborcji, którym próbował kokietować opinię publiczną Hołownia, także nie jest specjalnie nośne. Dla katolików poważnie traktujących swoją wiarę kwestia ludzkiego życia nie nadaje się do poddawania jej werdyktowi opinii publicznej. A Lewica także z powodów pryncypialnych nie zgadza się, by aborcję – jako rzekome prawo człowieka czy, ściślej rzecz biorąc, kobiety – rozstrzygać na podstawie głosowania.

Na dodatek obóz postępu jest niemile zaskoczony niedawną porażką sił postępu w referendum w Irlandii, w której wyborcy odrzucili propozycję zmiany treści dwóch artykułów konstytucji, które mówią o zasadniczej dla społeczeństwa roli rodziny i obowiązkach domowych kobiet. Aż 67,7 proc. Irlandczyków, przy bardzo wysokiej frekwencji, uznało, że należy obronić zapis konstytucyjny o tym, że „państwo uznaje rodzinę za naturalną, pierwotną i podstawową komórkę społeczną".

Jeśli Hołownia budował swoje rachuby polityczne na nadziei pozyskania mitycznego elektoratu centrowego, to przy okazji ostatniego sporu, w którym został dotkliwie poturbowany, mógł odkryć, że mityczni centrowcy ograniczają się do paru publicystów symetrystów. Dlatego jedynym publicystą, który zdecydował się bronić Hołowni przed atakami Nowej Lewicy, był Tomasz Terlikowski, którego głos już dawno przestał być uważnie słuchany wśród elektoratu katolickiego.

Jeden – i to dość kontrowersyjny – obrońca to niewiele jak na polityka, który jeszcze parę miesięcy temu mógł snuć wizję triumfalnego marszu po najwyższe stanowiska w państwie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 948c8be978

Tusk zjada przystawki

Jan Fiedorczuk

Donald Tusk wystawił Lewicę do wiatru, Szymona Hołownię wsadził na minę, a najbrudniejsze działania pozostawił do wykonania partyjnym „zderzakom", które w razie konieczności wymieni na nowe. Mimo 66 lat na karku szef rządu pozostaje politykiem z krwi i kości, którego interesuje jedno – pełnia władzy

FOT. ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER

Donald Tusk przywykł do roli hegemona na lewicowo-liberalnej stronie sceny politycznej. Konkurenci ani z innych partii, ani z samej PO nie stanowili dla niego żadnego zagrożenia, a jego pozycja niemal od dwóch dekad wydawała się niepodważalna. Tymczasem wynik październikowych wyborów był jasny – jeżeli lider KO chce rządzić, to musi zrobić więcej miejsca dla polityków z Lewicy, PSL oraz Polski 2050.

Pierwsze tygodnie swoich rządów Tusk podporządkował zatem dwóm celom – depisyzacji państwa oraz umocnieniu własnej pozycji w koalicji.

ZJADANIE LEWICY

O próbie sił, która nieustannie odbywa się w rządzącej koalicji, najlepiej świadczą negocjacje między KO a Lewicą na temat wspólnego startu w wyborach samorządowych, które niespodziewanie zostały zerwane przez Donalda Tuska. Obie partie wszak od dłuższego czasu toczyły rozmowy na temat wspólnych list w nadchodzących wyborach, a w pewnym momencie – jeżeli wierzyć politykom Lewicy – ponoć sam Tusk zaczął naciskać na zawiązanie sojuszu, licząc, że dzięki temu uda się mu prześcignąć Prawo i Sprawiedliwość. Na ostatniej prostej premier jednak zerwał rozmowy, o czym Włodzimierz Czarzasty dowiedział się przez telefon. Fakt, że telefon został podobno wykonany ledwie na godzinę przed tym, jak Tusk na konferencji ogłosił, że KO idzie samodzielnie do wyborów, pokazuje, że relacje między koalicjantami pozostawiają wiele do życzenia. Decyzja Tuska była zapewne spowodowana ostatnimi sondażami, z których wynika, że KO ma szanse samodzielnie prześcignąć PiS, ale nawet gdyby tak się nie stało, to Tusk i tak zyskuje coś cennego – spycha koalicjanta do defensywy, który po wyborczej porażce będzie jeszcze bardziej zależny od KO. W Sejmie centrolew utrzyma większość bez względu na rozkład głosów w sejmikach, a ewentualne zwasalizowanie Lewicy w parlamencie jest warte utraty tych kilku procent w samorządach.

Również jako uderzenie w Lewicę należy traktować ideologiczną ofensywę Koalicji Obywatelskiej. Jednym z pierwszych tematów, które poruszył nowy rząd po utworzeniu, był przecież Fundusz Kościelny – temat od lat należący do „evergreenów" lewicowych partii. Niedługo potem Tusk wystąpił na konferencji prasowej, osobiście dając twarz liberalizacji dostępu do tabletki wczesnoporonnej ellaOne (preparat po zmianie prawa ma być dostępny od 15. roku życia). Jednocześnie jednak Koalicja Obywatelska zamierza wnieść do Sejmu projekt liberalizujący samą aborcję, dzięki czemu z jednej strony Tusk sprawdzi, czy Trzecia Droga wytrzyma presję, a z drugiej nie pozwoli Lewicy przejąć inicjatywy na polu ideologicznej ofensywy. Jeszcze przecież przed kampanią wyborczą lider KO jasno dał do zrozumienia, że każdy, kto nie popiera aborcji do 12. tygodnia „na życzenie", nie ma czego szukać w jego partii. Ponadto premier wyraźnie sygnalizował, że poprze wprowadzenie związków partnerskich. Co więcej, wydaje się, że Tusk odrobił lekcję z ostatnich lat i nie ma najmniejszego zamiaru ruszać socjalnych projektów wprowadzonych przez Prawo i Sprawiedliwość. Te wszystkie inicjatywy świadczą nie tylko o skręcie w lewo samej Koalicji Obywatelskiej, lecz także – co logiczne w tej sytuacji – o chęci przejęcia elektoratu Czarzastego i Zandberga.

eprasa.pl 948c8be978

Dla formacji złożonej z pozostałości SLD, Wiosny oraz Razem, która będzie poobijana po wyborach samorządowych, kolejne miesiące mogą być bardzo trudne. Podczas wyborów do europarlamentu dla Lewicy wyzwaniem może okazać się nawet przekroczenie progu wyborczego. Tak naprawdę obserwujemy zatem wielki proces wasalizacji Lewicy, którego finałem ma być zmuszenie Zandberga, Biedronia i Czarzastego, by poszli w ślady Nowoczesnej, która przetrwała tylko dlatego, że została wchłonięta przez PO.

Odrzucenie wspólnego startu z Lewicą w wyborach samorządowych jest uderzeniem zarówno w konkurencję zewnętrzną, jak i wewnątrz partii – Rafała Trzaskowskiego. Prezydent stolicy naciskał ponoć na wspólny start obu formacji, gdyż dzięki temu pozbyłby się lewicowego kontrkandydata w warszawskim wyścigu. Niezły wynik kandydatki Lewicy, wicemarszałek Senatu Magdaleny Biejat, mógłby na tyle osłabić pozycję Trzaskowskiego, że być może konieczna byłaby druga tura, a to oznaczałoby już wizerunkową klęskę kandydata KO. Być może na tyle dotkliwą, że Donald Tusk jednak zdecydowałby się na samodzielny start w wyborach prezydenckich w 2025 r. Zwłaszcza że triumfalny powrót Tuska na fotel premiera dowiódł wyborcom KO, że Trzaskowski nie jest żadnym zbawcą ani ostatnią nadzieją anty-PiS. Prezydentura może jawić się Tuskowi jako zwieńczenie kariery politycznej. Byłaby to na pewno bardziej prestiżowa i wygodna funkcja niż rola premiera. W dodatku ze względu na jego metrykę wybory w 2025 r. będą zapewne ostatnią szansą Tuska na zdobycie prezydentury.

HOŁOWNIA SUPERSTAR

Nieco inaczej wyglądają relacje premiera z Trzecią Drogą. Szymon Hołownia zaliczył w pierwszych tygodniach funkcjonowania nowego parlamentu spory wzrost popularności, notując w niektórych sondażach rekordowe wyniki. Polityk okazał się niezwykle zdolnym showmanem, wykorzystując funkcję marszałka Sejmu do promocji własnej osoby, a zarazem wyrastając na pozycję kolejnego konkurenta Tuska.

W ostatnich tygodniach głośnym echem odbiła się sprawa córki europoseł Polski 2050 Róży Thun, która została zatrudniona w Centralnym Ośrodku Informatyki, podlegającym Ministerstwu Cyfryzacji, ale po interwencji Donalda Tuska musiała pożegnać się z pracą. Oczywiście premier w ten sposób chciał się zemścić za odejście Thun z Platformy Obywatelskiej w 2021 r., ale jednocześnie pokazał koalicjantowi miejsce w szeregu. Szef KO tym ruchem dał do zrozumienia, że Hołownia może brylować w Sejmie, bić rekordy popularności w sondażach zaufania, ale realne decyzje zapadają w kancelarii premiera.

To właśnie dlatego, aby nie pozwolić koalicjantowi na zbytnią emancypację, Tusk postawił Hołownię w centrum sporu o Mariusza Kamińskiego oraz Macieja Wąsika. Kwestia mandatów obu polityków jest o wiele bardziej złożona, niż prezentuje to rząd, a marszałek Sejmu, przekazując pismo odwoławcze obu posłów do Izby Pracy Sądu Najwyższego zamiast do Izby Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych, wyszedł z funkcji bezstronnego „pośrednika", stając się aktywną stroną sporu. Kolejne tygodnie tego sporu, podważanie prezydenckiego ułaskawienia z 2015 r. itd., to wszystko stopniowo spychało Hołownię w narożnik radykalnego anty-PiS, z którego już może nie być ucieczki na umiarkowaną pozycję „trzeciej drogi" między PiS a PO.

Kilka lat temu Jarosław Gowin w rozmowie z „Dziennikiem Gazetą Prawną" stwierdził, że ze względów na partyjną układankę musiał popierać również te reformy autorstwa PiS, z którymi się nie zgadzał. – Głosowałem, ale się nie cieszyłem – stwierdził ówczesny wicepremier. W rzeczywistości od chwili poparcia reformy sądownictwa dla Gowina de facto była już zamknięta droga powrotna do salonu III RP. Polityk musiał trwać przy Kaczyńskim albo odejść z polityki. Teraz obserwujemy podobny proces „gowinizacji" współpracowników Donalda Tuska. Premierowi zależy, aby zarówno Trzecia Droga oraz Lewica, jak i sami politycy KO nie mieli dokąd odejść i musieli iść za nim w ogień.

W BIAŁYCH RĘKAWICZKACH

Taką próbą „gowinizacji" Hołowni było właśnie postawienie go w centrum sporu o mandaty Kamińskiego i Wąsika. Ten mechanizm Tusk stosuje jednak również wobec swoich najbliższych współpracowników – Bartłomieja Sienkiewicza oraz przede wszystkim Adama Bodnara. Minister sprawiedliwości pozyskany spoza partii pozostawał do pewnego stopnia wolnym elektronem, teraz jednak został rzucony na pierwszą linię frontu i de facto daje twarz bezprawnym działaniom rządu.

W styczniu portal DoRzeczy.pl opublikował nagranie z próby przejęcia Prokuratury Krajowej przez ministra sprawiedliwości Adama Bodnara, gdzie doszło do znamiennej sceny: minister sprawiedliwości nie potrafił uzasadnić, na jakiej podstawie próbuje usunąć ze stanowiska prokuratora krajowego Dariusza Barskiego. Natomiast, gdy został pouczony o odpowiedzialności karnej za swoje działania, próbował przerzucić odpowiedzialność na premiera, twierdząc, że to Tusk odpowiada za całą sytuację. Tymczasem sam szef rządu dosłownie dzień wcześniej w wywiadzie udzielonym TVN24, Polsatowi i TVP umywał ręce od wszelkich poczynań Bodnara. Słuchając, jak Tusk opowiada, że musi być „jakiś formalny, poważny powód, dla którego prokurator generalny uznał, że pan Barski nie jest prokuratorem krajowym", można było odnieść wrażenie, że premier nawet za bardzo nie orientuje się w całej sprawie. Tusk w rzeczonym wywiadzie wyraźnie podkreślił, że Adam Bodnar „jest niezależny" i działa autonomicznie, co w rzeczywistości oznaczało mniej więcej: „Adam, radź sobie, ja mam czyste ręce".

Komentując z kolei bezprawne działania ministra Sienkiewicza, Rafał Trzaskowski stwierdził, że „pewnych decyzji nie da się zrobić w białych rękawiczkach". A jednak Donald Tusk pokazuje, że jak najbardziej potrafi tego dokonać. W Polsce co chwila wybucha jakiś kryzys, ale sam premier cały czas ma czyste ręce. Podgryza Lewicę, Hołownię wrzuca na minę, a z ministrów Sienkiewicza i Bodnara czyni „zderzaki", które biorą na siebie odpowiedzialność za bezprawne zmiany w państwie – sam jednak działa w rękawiczkach. Depisyzacja państwa, chaos prawny oraz powolne wasalizowanie koalicjantów świadczą o tym, że mimo 66 lat na karku Tusk pozostaje politykiem z krwi i kości, któremu zależy przede wszystkim na pełni władzy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 948c8be978

FOT. ADOBE STOCK

Odpuszczona samorządność

Jerzy Karwelis

Wybory samorządowe dla partii są tylko pogłębionymi badaniami społecznymi

Ostatnio pojawił się kolejny nowotwór językowy pt. „O czym są te wybory?". Mieliśmy tego wylew przed najświeższą sejmową elekcją, wykazywał on, że jest to proces wyjątkowy, że nie chodzi tylko o samo liczenie, ale o dalekosiężne efekty takowego, czyli co z tego wyniknie. Teraz zbliżają się szybkimi krokami w trójpolówce sprintu wyborczego wybory drugie, czyli samorządowe. I fenomenem polskiej sceny politycznej jest… kompletna cisza wyborcza. Pora więc wyjaśnić źródła tego milczenia oraz ciszy tej konsekwencje na przyszłość. Czyli popatrzmy – „o czym jest ta cisza wyborcza?".

Aby zbadać ten fenomen, trzeba wyjaśnić systemowy moment prokurujący taką flautę. Każdy z podmiotów sceny politycznej ma obecnie swoje powody czy przyczyny tego bezruchu, ale rezultat jest ten sam – płaska powierzchnia kampanijnych zdarzeń, tu już nawet wektory wiatrów się nie znoszą. Po prostu nie wieje. Czemu? Ano temu, że właściwie to nigdy w samorządówce nie wiało. No, może z wyjątkiem pierwszych wyborów do samorządu, kiedy społeczeństwo mogło wreszcie wybrać, jak chciało, bez kuglarstwa pookrągłostołowych „niekonfrontacyjnych wyborów". Były jeszcze wtedy duże zasoby obywatelskiej inicjatywy, jeszcze „chciało się chcieć", gdyż istniały spore zasoby niezepsutych jeszcze ideowych działaczy, którzy się nie załapali na sejmowe rozdania. Było więc na kogo głosować i naród przetrzepał skórę komunistom, choć frekwencja 42,27 proc. „pierwszych naprawdę wolnych wyborów" nie wzbudza do dziś zachwytu.

SAMORZĄD III RP

Mieliśmy potem powolne upolitycznianie samorządu. Partie III RP zaczęły traktować go jako biuro pośrednictwa pracy dla swych struktur. Polityczny pacjent poszedł za pieniądzem, gdyż – głównie unijna – polityka regionalna zaczęła promować, również finansowo, struktury subpaństwowe. Karierę rozpoczęły sejmiki wojewódzkie, zaopatrzone w kompetencje redystrybucji regionalnych środków unijnych w programach spójności. Towarzyszyła temu propaganda polityczna, która nie tylko uzasadniała upartyjnienie samorządu, lecz także wpierała suwerenowi, że prawdziwym rezultatem wyników wyborów do samorządu są wyniki do wojewódzkich sejmików, najeżone partyjnymi kandydatami. Równolegle trwało uplemiennianie polskiej polityki, które odpychało wyborców od kompetencyjnych ocen kandydatów, zmuszało zaś do emocjonalnych reakcji, które objawiały się głosowaniem na partyjną flagę, nie na jakość pretendenta. A to zbrodnia na samorządzie, bo zarówno wola naczelników partii, jak i przestawienie lojalności przedstawicieli z lokalnych na partyjne interesy zeszła na sam dół organizacyjnej drabiny społecznej.

DWA PLEMIONA I TRZECIE MALUTKIE

Aby wyjaśnić fenomen cichej kampanii samorządowej, trzeba pochylić się nad motywacjami jej interesariuszy. Po pierwsze – rządzący. Nie pora się tu zagłębiać w niuanse wewnętrzne koalicji 13 grudnia – wyeliminowanie Lewicy przez PO czy niesnaski w układaniu list sejmowych koalicjantów, które nie przekładają się na lokalne realia, są jednak elementami pobocznymi. Ważny tu jest Tusk i ważne jego przeświadczenie, że samorządy pójdą w jego ręce „siłą rozpędu", nadaną i utrzymującą się po wyborach parlamentarnych. To rozleniwia tę partię, gdyż lokalsi będą głosowali na brand – jak widać, coraz bardziej zwycięski. Układanie list nie ma żadnego jakościowego efektu u suwerena, służy więc już tylko do rozwiązywania wewnętrznych problemów i układów w samej PO. Odbyły się jakieś resztówkowe (tak jak w innych partiach) otwarciowe konferencje, po których lud partyjny… wcale nie ruszył w kraj. Jak widać, nie musiał.

Z PiS to inna sprawa. Ten nigdy nie bawił się za bardzo w samorządy. Nie dziwota – wszak to partia o dużych

eprasa.pl 948c8be978

ciągotach centralistycznych, nieufna za swoim wodzem wobec „dyfuzji" władzy na niekontrolowalne gremia. Tym bardziej dzisiaj – po przegranych wyborach. Program samorządowy PiS, jak zresztą wszystkich innych partii, jest w sumie programem politycznym dla kraju. Wielu tłumaczy obecne PiS-owskie milczenie samorządowe poczuciem przegranej, które indukuje szeregi nie tylko już działaczy. Pewną część racji mogą mieć jednak ci, którzy uważają, że PiS „oszczędza" tym razem brakującą kasę na dla nich ważniejsze wybory – do europarlamentu. Gdyby tak było, byłby to taktyczny błąd, gdyż to właśnie druga przegrana z rzędu może wyznaczyć tej partii stały trend spadkowy, aż do negatywnego odbicia się na wyborach do Brukseli.

Jest jeszcze trzeci gracz – bezpartyjni samorządowcy. Specjalnie napisano tu nie wielką literą, gdyż nie chodzi tu o konkretną formację, ale o zjawisko pozapartyjnych ruchów samorządowych. Te – ku zaskoczeniu pewnie wielu – od początku wygrywają wybory samorządowe, z tym że na poziomie niższym niż upolitycznione i grzane medialnie wybory do sejmików wojewódzkich. W gminach, mniej w powiatach, rządzą komitety lokalnych wyborców, silne na tyle, że to do nich przyklejają się miejscowi partyjni, chowając na czas wyborów swe legitymacje.

W czasie ostatnich wyborów odbył się eksperyment pójścia o piętro wyżej, gdy Bezpartyjni Samorządowcy (tym razem wielką literą) zebrali niezależnych w jeden komitet ogólnopolski, który powalczył o sejmiki. Udało się na Dolnym Śląsku być niepomijalnym języczkiem u wagi plemiennych szal, ale projekt się zdegenerował korzystaniem z „owoców zwycięstwa" i ugrzązł w aferze śmieciowej, która stała się jawnym dowodem degeneracji lokalnych „układów zamkniętych", czyli swym przeciwieństwem. Dziś ruch niezależnych samorządowców się rozproszył, „bezpartyjnych" jest bez liku, każdy idzie osobno i dlatego będzie o nich też nie za głośno.

POZIOMY UPARTYJNIENIA SAMORZĄDU

„O czym więc będą te wybory?". Mamy tu kilka warstw – po pierwsze, od góry, licząc po pieniądzu, mamy rzeczone sejmiki. Te mają najwięcej środków, dość dużą swobodę w ich wydawaniu, czasami jak małe rządy decydują o kasie, częściej o inwestycjach, dla gmin, a więc są pewnego rodzaju władzą wykonawczą w regionie. Dlatego też wybory do nich są kompletnie upartyjnione, gdyż konia z rzędem temu suwerenowi, który wie, jak się nazywa i czym wyróżnia ten, na kogo głosował do sejmiku. Tak więc wybory sejmikowe to partyjna emanacja lokalnego rozkładu preferencji politycznych. Jak komuś podoba się showman marszałek, to wybierze kogoś z jego formacji; jak jest zadowolony, że Tusk dociska Kaczora, to wybierze nieznanego sobie platformersa; jak żal mu Jarosława, to postawi na jedynkę PiS. Z punktu widzenia dobra wspólnego, którym jest samorząd – jedna żałość.

Kolejnym „niższym" poziomem są powiaty. Tu sprawa kandydatów jest też upolityczniona, choć znacznie mniej niż w sejmikach. Za to kompletnie anonimowa dla wyborcy. Ten coś tam jeszcze wie o kandydatach do sejmiku czy gminy, ale powiat dla niego to twór kompletnie teoretyczny – geograficznie i kompetencyjnie. A więc znowu – włącza się busola partyjnych preferencji. Z powiatami jest też problem, że ze względu na swój ustrój mają w sumie niewiele do gadania, gdyż gros ich wydatków to tzw. wydatki twarde, gdzie powiat jest tylko bezwolnym dystrybutorem środków publicznych przeznaczonych na wyznaczone cele. Dlatego wciąż otwarta jest dyskusja co do sensowności istnienia powiatów, gdyż ich zadania mogłyby przejąć powiększone przez integracje kompetencji i pieniędzy megagminy.

W końcu mamy poziom trzeci – gminy, czyli sól ziemi czarnej polskiego samorządu. Są to organizmy „najbliżej obywatela" i ten o tym wie, gdyż to jest dla niego podstawowy punkt kontaktowy z administracją publiczną, często myloną zresztą z państwową. Dlatego identyfikacja i interesów, i kandydatów do ich reprezentowania jest wśród narodu głosującego dość wysoka i trzeba naprawdę mocno popracować, by barwy partyjne nie tyle pomogły, ile nie przeszkodziły kandydatowi. Tu też mamy do czynienia z ciągotami partyjnymi, nie tylko z powodu kasy, lecz także tego, by w radzie gminy zasiadało mocne koło wsparcia dla prezydenta miasta.

Bo czwartym, ostatnim poziomem walki samorządowej jest pozycja prezydenta. Chyba najbardziej upolityczniona. Ustawa kompetencyjna daje prezydentom dużą samodzielność w działaniu, mają oni przecież mandat bezpośredni od wyborców, nie muszą się więc za bardzo kłaniać przed radą. Profesor Regulski, współtwórca polskiego samorządu, pytany przeze mnie, dlaczego dano tak dużo władzy prezydentowi, powiedział, że miał nadzieję, iż nieskrępowana bezpośrednia wolna suwerena plus duże kompetencje prezydenta dadzą wyborcom lokalnym możliwość wybierania optymalnego kandydata, bez koniecznych konotacji partyjnych. Widać, jak bardzo się pomylił. Wybór na prezydentów miast jest dziś kolejnym medialnym dowodem na zwycięstwo jednej partii nad drugą, czasem wręcz taktyczną trampoliną do wyższych stanowisk państwowych, gdzie społeczność lokalna traktowana jest jako lewar medialny do budowania rozpoznawalności. I tak jest i teraz, czego dowodem będzie chociażby obecny prezydent Trzaskowski, który całą ostatnią kadencję udowadniał, że to stanowisko go nudzi, czego masochistyczną ofiarą stali się mieszkańcy stolicy. Wiadomo – jak powiedział ostatnio jeden publicysta: wystarczyłoby, żeby PO wystawiła na kandydata na włodarza stolicy śpiewające jajko z warszawskiego placu Siedmiu Rogów, to i tak by wygrało z kandydującym PiS-owcem.

REZULTATY

A więc odbędą się te wybory po cichu. Wytworzy się kolejny punkt trendu poparcia dla partii, tym razem ze szkodą dla samorządu. Ważne dla naszej jakości życia wybory odbędą się jako „beforek" do wyborów do Brukseli. Ot, takie pogłębione badanie społeczne dla partii. O wyborach dowiemy się właściwie po nich, kiedy to odtrąbi się kolejne zwycięstwo strony liberalnej, posługując się fałszywym dowodem wyników wyborów do sejmików i największych miast. Koalicje niepartyjne, przedstawiciele komitetów mieszkańców pójdą do swej niespektakularnej pracy w upartyjnionym środowisku dystrybuującym pieniądze w dół. I stawiam nowe maseczki przeciwko zużytym strzykawkom, że i nowa władza pójdzie drogą PiS, rozdając fanty poszczególnym gminom za polityczną uległość. Może nie będą to tekturowe czeki Morawieckiego, ale kreatywni PR-owcy Platformy coś tam na pewno wymyślą.

Profesor Regulski obraca się w grobie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 948c8be978

Efekt

Rafał Dudkiewicz

To błędy Jacka Kurskiego w TVP doprowadziły do zwycięstwa wyborczego Donalda Tuska

Nikt tak bardzo się nie przyłożył, żeby Polacy każdego dnia widzieli z waszych mediów, co zgotowaliście Polkom i Polakom. To wam udało się obudzić ludzi – powiedział Donald Tusk po wyborze na premiera przez Sejm X kadencji. – Słyszałem: do Berlina, für Deutschland! Tę płytę nagrał Jacek Kurski – wyrzucał. I dodał, zwracając się bezpośrednio do prezesa PiS: – Twój brat mówił, że nie widział takiego łajdaka jak Kurski po tym, co zrobił. Dlatego chciałem to zwycięstwo dedykować obu moim dziadkom. To wystąpienie premiera wszyscy posłowie koalicji rządowej nagrodzili gromkimi oklaskami.

Stało się dla wszystkich oczywiste, bo tego też domagał się elektorat partii tworzących koalicję, że dojdzie do zmian w mediach publicznych, które miał przeprowadzić minister kultury Bartłomiej Sienkiewicz. Cały proces rozpoczął się od uchwały Sejmu i budzących wątpliwości uchwał walnych zgromadzenia spółek medialnych, podejmowanych na podstawie przepisów Kodeksu spółek handlowych, oraz wyłączenia sygnału TVP Info w nocy z 19 na 20 grudnia 2023 r. Część ówczesnego szefostwa TVP i PAP rozpoczęła okupację budynków przy ul. Woronicza (siedziba główna TVP),

złego ekranu

FOT. JACEK ŁAGOWSKI/FORUM

na pl. Powstańców (budynek, z którego nadawano m.in. główne wydanie „Wiadomości" oraz pasmo programów informacyjnych TVP Info). Środowisko dziennikarskie związane z Tomaszem Sakiewiczem wezwało do protestów i okupacji budynków.

20 grudnia 2023 r. do mediów publicznych weszli ludzie wskazani przez ministra kultury, jego nominanci, często wspierani przez łysych osiłków, co szczególnie było widoczne przy zajmowaniu budynku Polskiej Agencji Prasowej. Tam czynny opór nowym nominantom wspieranym przez pracowników z firmy ochroniarskiej, związanej z zabezpieczaniem marszów, organizowanych przez PO, postawił wraz ze swoimi pracownikami ówczesny prezes PAP Wojciech Surmacz. Batalia przy drzwiach wejściowych trwała przez kilka dni.

W TVP i PAP bardzo szybko ze wsparciem dla protestujących pojawili się posłowie i eurodeputowani z PiS. Rozpoczęła się kilkunastodniowa wojna nerwów. 20 grudnia – po ok. dwóch godzinach rozmów z nominantami ministra Sienkiewicza – opuściła swój gabinet, podpisując rezygnację, prezes Polskiego Radia SA Agnieszka Kamińska. Pikanterii całej sprawie dodaje to, że nowych nominantów do siedziby radia wpuściła wyspecjalizowana straż, której zadaniem jest skuteczna ochrona Polskiego Radia. W gabinecie dotychczasowej prezes pojawił się Paweł Majcher, wieloletni i zaufany współpracownik ministra Sienkiewicza, który w latach 2013–2014 był rzecznikiem prasowym i szefem Gabinetu Politycznego Ministra Spraw Wewnętrznych – w okresie, kiedy Bartłomiej Sienkiewicz był szefem tego resortu.

Dla piszącego te słowa 21 grudnia, po prawie dziewięciu latach, skończyła się przygoda z Polskim Radiem 24, audycje zostały odwołane w trybie natychmiastowym, mimo że w trakcie mojej rozmowy telefonicznej z p.o. dyrektorem Grzegorzem Frątczakiem, który przez ostatnie lata pracował na antenie PR24, tenże nie wiedział, jakie audycje prowadzę i jakie tematy w nich poruszam, a cała rozmowa miała przebieg i charakter lekko groteskowy. Frątczak zapewniał, że to decyzje, które jest zmuszony podjąć, ale nie są one zależne od jego woli.

JAK W SERIALU O MAFII

Najdłużej stawiali opór, w siedzibie TVP przy pl. Powstańców i w siedzibie PAP, jej ówcześni szefowie.

Sceny, które przez te kilka dni rozgrywały się w tych dwóch budynkach, przypominały próby najść i przejęcia firm z początków lat 90. lub rosyjskie seriale kryminalne o rywalizacji mafii sołncewskiej i tambowskiej. Trudno było uwierzyć, że politycy, którzy przez osiem lat krytykowali Zjednoczoną Prawicę za nadużycia prawa i „łamanie praworządności" – ten ostatni związek frazeologiczny urósł do rangi komunału, niesiony był na sztandarach przez wszystkie partie opozycyjne wobec PiS oraz wspierane przez prominentnych urzędników KE i prominentnych przedstawicieli Parlamentu Europejskiego, którzy od czasu do czasu podejmowali rezolucje potępiające Polskę, zarzucając rządzącym autorytaryzm. Co warto zauważyć – wyrazy poparcia dla dokonujących się przejęć mediów artykułował na portalu X ambasador USA w Polsce Mark Brzezinski.

20 grudnia 2023 r. do mediów publicznych weszli ludzie wskazani przez ministra kultury

eprasa.pl 948c8be978

28 grudnia 2023 r. przymuszony gęstniejącą aurą i klinczem w TVP i PAP minister sprawiedliwości Adam Bodnar, który był pytany, na mocy jakiego prawa są przejmowane media publiczne, odpowiedział, że „trwają poszukiwania podstawy prawnej". Sąd rejestrowy nie wpisał do rejestru przedsiębiorców KRS nowych władz Telewizji Polskiej SA i Polskiego Radia SA.

W styczniu 2024 r., żeby przerwać żenujące dla nowych władz sceny z budynków TVP i PAP, minister kultury Bartłomiej Sienkiewicz postawił media publiczne w stan likwidacji. Równolegle toczył się spór pomiędzy prezydentem RP Andrzejem Dudą i premierem Donaldem Tuskiem o dofinansowanie mediów publicznych z budżetu państwa. Ten sposób finansowania mediów publicznych z budżetu państwa był stosowany przez cały okres rządów Zjednoczonej Prawicy, wywołując gorące protesty polityków PO.

Od 20 grudnia 2023 r. zaczął się także proces tworzenia głównego programu informacyjnego w telewizji publicznej, który miał zastąpić dotychczasowe „Wiadomości". Przygotowywaniem jego zajął się wieloletni dziennikach TVN Paweł Płuska, a główną jego twarzą stał się Marek Czyż, który został kilkanaście lat temu ściągnięty do TVP z Katowic przez swojego wieloletniego przyjaciela i ówczesnego szefa „Wiadomości" Kamila Durczoka (zmarłego nagle 16 listopada 2021 r.).

W tym samym czasie, kiedy trwała okupacja budynków telewizyjnych, dział IT czyścił wyszukiwarki TVP ze wszystkich zarchiwizowanych programów informacyjnych i nie tylko. Została także rozwiązana redakcja cieszącego się dużym zainteresowaniem „Tygodnika TVP", a jej redaktor naczelny Dominik Zdort i część zespołu zostali zwolnieni. Czystki nie ominęły także formatów lżejszych, które były emitowane na antenie TVP – zwolnieni zostali wszyscy prowadzący „Pytania na śniadanie" i część zespołu redakcyjnego, który je przygotowywał. Do pracy w TVP wrócili m.in. Maciej Orłoś, który miał zapewnić zwiększoną widownię „Teleexpressu", a także Katarzyna Dowbor, która wcześniej została zwolniona z Polsatu przez Edwarda Miszczaka.

Najbardziej dobitnym i wyraźnym sygnałem, że w mediach nadeszły nowe i radykalne zmiany, był wywiad, którego udzielił premier Donald Tusk w piątek 12 stycznia o godz. 20 trzem największym stacjom telewizyjnym w Polsce – TVP, TVN i Polsatowi. Wywiad był transmitowany jednocześnie na trzech antenach. Była to pierwsza taka sytuacja w Polsce po 1989 r. Wcześniej tylko zjazdy PZPR były transmitowane na obu głównych antenach telewizyjnych.

Pojawiające się już w lutym informacje na temat oglądalności programów w TVP wskazywały na to, że od emitenta publicznego odpłynęła ogromna widownia, a wprowadzone zmiany nie zmieniły na plus wizerunku TVP. Część prezenterów dotąd pracujących głównie w programach informacyjnych telewizji publicznej znalazła zatrudnienie w TV Republika, która zaczęła kopiować przekaz, który gościł wcześniej w głównym wydaniu „Wiadomości" i w TVP Info. Twarzą głównego programu informacyjnego TV Republiki stała się Danuta Holecka. Na jej antenie pojawił się także Miłosz Kłeczek. Pracę w stacji znaleźli także Michał Rachoń czy wieloletni szef programów informacyjnych Jarosław Olechowski.

CZAS ROZLICZEŃ

Portal DoRzeczy.pl 22 lutego ujawnił raport przygotowany przez byłych dziennikarzy i pracowników TVP, którzy za pośrednictwem Jacka Kurskiego mieli ten dokument dostarczyć na biurko prezesa PiS Jarosława Kaczyńskiego. Ten „tajny raport", który wyciekł do mediów, stanowi wykaz błędów obozu rządzącego w warstwie informacyjnej, realizowanej poprzez antenę TVP Info.

Raport przede wszystkim uderza w następcę Jacka Kurskiego na stanowisku prezesa TVP, czyli Mateusza Matyszkowicza, i jego najbliższego współpracownika Przemysława Herburta, który był prokurentem TVP. Jeden z fragmentów raportu, który dotyczy tego ostatniego, jest szczególnie interesujący: „Herburt wymknął się poza siedzibę spółki na miasto [mowa o wydarzeniach z 20 grudnia 2023 r. – przyp. R.D.], skąd zabrał do swego samochodu służbowego szefa bezprawnej rady nadzorczej Zemłę i nielegalnego prezesa Syguta, których przed godziną 11 przemycił do podziemnego parkingu TVP przeznaczonego wyłącznie dla zarządu i jego gości. Odbyło się to w tajemnicy i poza widokiem zajmujących budynek i broniących go przed wrogim przejęciem posłów Prawa i Sprawiedliwości. Zemła i Sygut zostali przewiezieni przez Herburta windą na 10 piętro do gabinetu prezesa TVP. Celem spotkania z Matyszkowiczem była jego kapitulacja i podpisanie protokołu przekazania Telewizji Polskiej S.A. prezesowi z nadania Tuska, którego Matyszkowicz realnie uznał". To scena, która – wydawałoby się – mogła zaistnieć tylko w głowie scenarzysty serialu lub thrillera politycznego.

Druga kwestia to sprawa udziału czynników niejawnych, czyli służb, w całym tym przedsięwzięciu przejmowania mediów publicznych. Pierwszy raz w historii Polski po 1945 r. były oficer służb specjalnych, współtwórca Urzędu Ochrony Państwa, został urzędującym ministrem kultury. Rząd Donalda Tuska, żeby zadowolić swój elektorat, potrzebował tak bardzo pilnego przejęcia mediów, że ten cel usprawiedliwiał wszystkie powzięte środki. Przemysław Herburt był następcą innej, szalenie ciekawej postaci w systemie władzy TVP w okresie prezesury Kurskiego, czyli Stanisława Bortkiewicza, człowieka, który był prawdziwą szarą eminencją w gmachu przy Woronicza i tym, który o bardzo wielu sprawach de facto decydował.

Raport nie jest wolny od treści, które sprawiają wrażenie jawnej dintojry politycznej, która jest na rękę Jackowi Kurskiemu. Chce on powrócić do aktywnej polityki i znaleźć się na listach wyborczych PiS do Parlamentu Europejskiego. Najbardziej znamienny jest ten fragment raportu: „Śmiało zatem można postawić tezę, że to nie opozycja wygrała te wybory, lecz przegrali je dla Prawa i Sprawiedliwości szkodliwi, niekompetentni i nieodpowiedzialni ludzie z Rady Mediów Narodowych pp. Czabański i Lichocka, którzy rok przed najważniejszymi wyborami zdecydowali o rozmontowaniu rozpędzonej, zwycięskiej maszyny TVP, jedynego realnego i skutecznego medium masowego przekazu, jakim dysponowała Zjednoczona Prawica – powierzając ją ludziom bez talentu, intuicji, słuchu społecznego, kwalifikacji medialnych i wyczucia politycznego".

eprasa.pl 948c8be978

Tajemnicą poliszynela jest to, że Jacek Kurski z wymienionymi w raporcie konkurował i konkuruje o wpływy u prezesa PiS. Wielokrotnie z Krzysztofem Czabańskim i Joanną Lichocką toczył zakulisowe boje. Przerzucenie odpowiedzialności na przedstawicieli Rady Mediów Narodowych za odwołanie Kurskiego z szefa TVP w 2022 r. daje mu możliwość wybielenia się ze wszystkich win i odpowiedzialności za tworzony przez wiele lat przekaz i wizerunek telewizji publicznej oraz ma go zwolnić z odpowiedzialności za przegrane przez PiS wybory. Ale czy słusznie?

„FÜR DEUTSCHLAND"

Donald Tusk wypowiadający frazę „Für Deutschland" był przez kilka lat stałym elementem wszystkich programów informacyjnych, na czele z głównym wydaniem „Wiadomości" o godz. 19.30. Pojawiał się częściej na ekranie telewizora niż urzędujący wówczas premier Mateusz Morawiecki. Tak naprawdę nikt nie zrobił więcej dla promocji Tuska niż władze ówczesnej telewizji.

Kiedy w czerwcu 2014 r. pojawiła się pierwsza taśma z restauracji Sowa & Przyjaciele, na której nagrano Bartłomieja Sienkiewicza (ówczesnego szefa MSW) w trakcie rozmowy z ówczesnym szefem NBP Markiem Belką i Sławomirem Cytryckim, jednym z dyrektorów w NBP, stało się jasne, że kończy się polityczny czas Tuska, który sprawował obowiązki premiera od 2007 r. Nawet okoliczności katastrofy z 10 kwietnia 2010 r. w Smoleńsku i później prowadzone śledztwo nie zachwiały jego pozycji politycznej tak jak taśmy, które stopniowo były ujawniane przez media. Zatrzęsły one rządem i pozycją polityczną premiera. Sondaże poparcia zaczęły gwałtownie pikować, a sam Tusk już w 2014 r. opuścił swoich politycznych kompanów, żeby wybrać posadę przewodniczącego Rady Europejskiej. Na stanowisku premiera zastąpiła go Ewa Kopacz, która nie potrafiła zarządzać sytuacją kryzysową i pogrążającym się w zapaści rządem. Cała sytuacja doprowadziła do zwycięstwa PiS w wyborach prezydenckich i parlamentarnych. Wydawało się, że Tusk i jego ugrupowanie są już politycznymi trupami. Ale to właśnie Jacek Kurski, jak można się domyślać, za zgodą Jarosława Kaczyńskiego dał mu drugie polityczne życie.

Jacek Kurski został prezesem TVP w 2016 r. Cała polityka informacyjna telewizji publicznej służyła wówczas odtrąbieniu sukcesu nowego rządu i pierwszych reform. Premier Beata Szydło miała duże poparcie społeczne oraz wsparcie medialne przede wszystkim głównych programów informacyjnych TVP. Jednak święcenie triumfu w pewnym momencie się wyczerpało, zaczęły się codzienna praca, znój rządzenia, rozwiązywanie codziennych spraw i problemów. Wtedy pojawiła się postać Donalda Tuska, który ze swoim „für Deutschland" stał się stałym elementem prawie każdego newsa, jako ucieleśnienie wszelkiego zła, ba, nawet sprawca aktualnych problemów.

Donald Tusk stał się elementem prawie każdego newsa głównych programów informacyjnych TVP. Tak rozpoczął się powolny, ale konsekwentny marsz Donalda Tuska po władzę

Tak rozpoczął się powolny, ale konsekwentny marsz Donalda Tuska po władzę. Informacja przestała mieć znaczenie, liczył się takiego rodzaju przekaz, gdzie PO lub sam Donald Tusk są głównymi sprawcami wszelkich nieszczęść lub co najmniej odpowiedzialnymi za każdy nawet bieżący problem, z którym się mierzy rząd Zjednoczonej Prawicy. Pojawiały się także po 2021 r. informacje o „torebkach Kasi Tusk za 22 tys. zł" w głównym wydaniu „Wiadomości". Przekornie można powiedzieć, że od momentu powrotu Donalda Tuska do polskiej polityki każde wypowiedziane „für Deutschland" było kolejnym głosem, który ktoś decydował się na niego oddać.

Innym niekorzystnym elementem polityki informacyjnej była jednostronność przekazu, który zdecydowanie się wzmógł po rozpoczęciu pandemii. Przekonałem się o tym osobiście boleśnie wraz z całą redakcją programu „Warto rozmawiać", gdy w kwietniu 2021 r. zostaliśmy usunięci z TVP. Potem jako wydawca programu w TVP „Kultura" doznałem siły długich rąk dyrektora do spraw korporacyjnych Stanisława Bortkiewicza za niepochlebne opinie o promowaniu disco polo przez telewizję publiczną. Oficjalnie i formalnie byłem związany z TVP, ale nie mogłem wchodzić do budynku telewizji, ponieważ moja przepustka na telefoniczne żądanie Stanisława Bortkiewicza była blokowana. Doprowadzało to do kuriozalnych sytuacji, kiedy przed wejściem do TVP jako wydawca programu musiałem przekazywać gości zaproszonych do programu innym osobom lub przez osoby trzecie podawać np. scenariusz prowadzącemu program. Z końcem 2021 r. zostałem zwolniony z TVP. Na parkingu, ponieważ już została zablokowana na stałe moja wejściowa przepustka.

Cały ten system formalnych i nieformalnych wpływów Stanisława Bortkiewicza był niekwestionowany, ale on sam dbał o dyskrecję.

Z perspektywy czasu można zobaczyć liczne błędy Jacka Kurskiego w zarządzaniu mediami publicznymi, co nie podlegało żadnej dyskusji ani krytyce. Oponenci byli szybko i zdecydowanie pacyfikowani lub marginalizowani. Rezygnacja z debaty publicznej w kwestiach polityki pandemicznej, relacji polsko-ukraińskich, unikanie krytyki rządzących, zakaz prezentacji poglądów m.in. Konfederacji spowodowały efekt kuli śnieżnej, co doprowadziło do zwycięstwa tych partii, które wspólnie nazywa się anty-PiS. Najbardziej ucierpiały i ucierpią media publiczne. Obóz rządzący ma wsparcie mediów liberalno-lewicowych, a media publiczne są dla niego tylko dodatkiem w kształtowaniu polityki informacyjnej. Wszystkie reformy w mediach, które są prowadzone od końca grudnia, pozwalają nowej ekipie rządzącej na budowanie przechyłu w stronę lewicowo-liberalną, niestety z dużym wsparciem lub biernością znaczącej części społeczeństwa, co dla wszystkich obserwujących minione osiem lat wydaje się być zrozumiałe.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 948c8be978

Sprzedawcy marzeń

FOT. ADOBE STOCK

Zuzanna Dąbrowska

MLM, czyli multi-level marketing, nie jest pracą jak każda inna. Bardziej przypomina coachingową grupę, która obiecuje wymarzone życie, ale zapomina wspomnieć o kosztach osiągnięcia celu. A te mogą być bardzo wysokie

Hej, co robisz dziś o 20? Chciałam Ci pokazać, czym się teraz zajmuję :)" – taka wiadomość od znajomego sprzed lat prawdopodobnie oznacza, że ktoś próbuje nas wciągnąć do MLM. Najczęściej chodzi o kosmetyki i perfumy, ale mogą to też być suplementy lub np. produkty z aloesu. Czym jest multi-level marketing? Marketing sieciowy opiera się na systemie, w którym sprzedawcy zarabiają nie tylko na handlu, lecz także na rekrutowaniu nowych sprzedawców. Im większą sieć sprzedających zbudują, tym większy zysk. Do werbowania wykorzystują media społecznościowe. Stąd liczne transmisje na żywo na Facebooku, Instagramie i Tik-Toku, na których (najczęściej) panie instruują, jak wykonać makijaż produktami promowanej marki, przekonują, jak wspaniale na ich zdrowie wpływa ten cudowny kolagen, lub opowiadają o tym, jak dzięki wejściu do firmy uzyskały niezależność finansową.

MLM ma dwa aspekty, które budzą wątpliwości. Pierwszy to fakt, że sprzedawane w ten sposób rzeczy mają zazwyczaj znacznie wyższą cenę niż inne z tej kategorii, dostępne w „normalnych" sklepach. Tusz do rzęs za 95 zł, płyn do demakijażu oczu za 119 zł, „cudowny zestaw do cery suchej i normalnej" za „jedyne" 490 zł. Takie ceny, tyle że produktów naprawdę ekskluzywnych marek, można znaleźć w lepszych drogeriach. W przypadku jednej z najbardziej rozpoznawalnych marek kosmetycznych działających w sektorze MLM zainteresowane klientki nie mogą się także doprosić o podanie przez konsultantkę składów kosmetyków – te rzekomo są tajemnicą firmy, do której dostęp mają jedynie pracownicy. W efekcie często kupuje się drogo kota w worku.

MORALNE WĄTPLIWOŚCI

Aspekt drugi marketingu sieciowego, który w ostatnim czasie wywołał poruszenie w mediach społecznościowych, to budząca moralne wątpliwości, kojarząca się z sekciarstwem, otoczka całego biznesu. Dopóki angażujesz się na 100 proc., dopóty jesteś w porządku. Gorzej, gdy zaczynasz dostrzegać ciemne strony tego biznesu i głośno o nich mówisz – wtedy tracisz zaufanie.

Niedawno w serwisie Tik-Tok ogromną popularność zyskało nagranie ze zjazdu dyrektorskiego jednej z firm kosmetycznych. Przez środek grupy ubranych na biało (przede wszystkim) kobiet, do dźwięków piosenki „Jestem twoją bajką", przechodzi – również cała w bieli – krajowa dyrektor sprzedaży. Widać, że jest tam najważniejsza. Uśmiecha się, macha do zgromadzonych niczym angielska królowa, buja się z wdziękiem. Ludzie wokół nagrywają ją telefonami komórkowymi z nieskrywanym zachwytem, kołysząc się w rytm jej kołysania. Następnie dyrektor wychodzi na scenę, skąd wygłasza motywujące wystąpienie w stylu najbardziej wprawionych coachów. Nagranie zarejestrowano podczas Zjazdu Obszaru Serce. „To był wspaniały czas, który przeżyłyśmy RAZEM, dotykając swoich serc i dusz. Nie sposób tego opisać słowami, dlatego przeżyjcie z Nami jeszcze raz te magiczne chwile. Jeżeli oglądając ten filmik choć przez chwilę Twoje serce zabiło mocniej, to znak, że nie może Cię zabraknąć z Nami na kolejnym niesamowitym Zjeździe" – pisała później.

W ramach MLM oferuje się nie tylko zysk czysto finansowy, lecz także – co nie mniej ważne – lepsze życie. „To nieograniczone, wspaniałe możliwości dla mnie i mojej rodziny. To uszczęśliwianie innych. To też czasem ciężka praca, ale nagroda za nią jest ogromna! […] To pokonywanie swoich słabości i stawanie się lepszym liderem. To pomaganie innym w spełnianiu ich marzeń […]. Moje prowizje są bardzo wysokie, jestem milionerką [...]. A to wszystko dzięki myśleniu na wielką skalę i systematycznej pracy osobistej i z grupą […]. Wiele osób ponosi porażkę, bo nie rozumie znaczenia ciągłego wprowadzania zmian, uczenia się i wprowadzania tego w życie. Myślę, że moją największą siłą jest wizjonerstwo, to mój pierwszy talent. Zrozumienie ciągłych zmian rynkowych bez naruszania swoich priorytetów i wartości" – przekonuje krajowa dyrektor sprzedaży, „gwiazda" nagrania z Tik-Toka.

Duża część internautów wprost wyśmiała tego rodzaju narrację. Pojawiły się głosy osób, które same kiedyś zaangażowały się w MLM i opowiadają, jak ta praca wygląda od środka. Większość firm wymaga od nowych członków zakupu startowego pakietu produktów, nazywając to „inwestycją". Początki są trudne, bo trzeba zgromadzić swoje audytorium, z którego zaledwie procent zechce coś kupić lub podjąć pracę. Na promocję produktów trzeba poświęcić dużo czasu

eprasa.pl 948c8be978

i energii, zazwyczaj nie widząc szybkich efektów.

Wątpliwości początkujących mają rozwiewać obietnice ogromnych zarobków, niezależności finansowej i realizacji marzeń. Nie bez przyczyny MLM-y potrafią wabić nowych pracowników pokazywaniem w mediach społecznościowych np. różowych mercedesów, które – jeżeli tylko dasz z siebie wszystko – kiedyś otrzymasz (a prawda jest taka, że są to auta w leasingu, którego warunki nie zawsze są korzystne).

Potencjalne nowe pracownice kusi się wizją luksusu. „To już najwyższy czas, byś usiadła i ustaliła swoje cele. Konsultantki kosmetyczne, które osiągną status dyrektor, mogą z dumą jeździć pięknymi, różowymi samochodami. Każdego roku nasza firma organizuje luksusowe wycieczki do najpiękniejszych zakątków świata, takich jak np. Jamajka! To naprawdę się dzieje, dowiedz się, jak to osiągnąć!" – tak reklamuje się jeden z największych kosmetycznych MLM-ów.

UPADKI I WZLOTY

„Pracowałam przez chwilę jako ich konsultantka, miałam okazję również być na kilku zjazdach i szkoleniach. Jeśli chodzi o kosmetyki, to część jest naprawdę w porządku, część taka sobie, ale osobiście uważam, że są zdecydowanie zbyt drogie. I to właśnie m.in. ta wysoka cena powodowała, że się po prostu zniechęciłam do tej pracy. Bo jeśli robisz któreś spotkanie z kolei i nikt nie chce nic kupić albo ewentualnie wybierze jedną rzecz (najtańszą), to się odechciewa" – to komentarz byłej konsultantki firmy.

Internautka opisuje, że wszystko jest dobrze dopóty, dopóki wykazujesz się entuzjazmem. Na wątpliwości nie ma miejsca. „Dziewczyna, która mnie wkręciła do tego biznesu, była dla mnie turbomiła, poświęcała swój czas, motywowała, chwaliła – dopóki chciałam w tym być. Jak powiedziałam, że się w tym nie odnajduję i rezygnuję, to najpierw zrobiła mi wykład, rozrysowując, ile mogłabym zarobić, wykonując ileś tam spotkań w tygodniu, a jak widziała, że mnie nie przekona, to wbiła mnie w poczucie winy, że jak mogę rezygnować z najlepszej pracy na świecie i że każda inna to przegrywanie życia" – wspomina.

„To jest też w tej firmie przykre, że jeśli twoja grupa nie będzie odpowiednio sprzedawać, to możesz z poziomu dyrektora spaść z powrotem do konsultantki. Wiele dziewczyn kilkakrotnie zaliczyło tego typu upadki. W sumie z drugiej strony podziwiam determinację niektórych z nich, że chce im się w to bawić. I też za to, że jednak da się na tym wybić i zajść daleko – nie wiem jak, ale ktoś te mercedesy odbiera. Myślę, że po prostu trzeba mieć w sobie tę żyłkę handlowca, żeby umieć tak drogie kosmetyki sprzedać [...]. Plus kiedy się wśród nich przebywa, to ma się wrażenie, że ta firma to cały ich świat. Wkrętka niesamowita" – podsumowuje, ostrzegając przed pochopnym angażowaniem się w konsulting.

Inna internautka opisuje z kolei toksyczne podejście pracownic MLM: „Rok 2010, przeprowadziłam się do Warszawy po studiach i dostałam od przypadkowej klientki zaproszenie na spotkanie w biurze [...], nie uzyskałam informacji, czego się spodziewać. Na spotkaniu panie pokazywały kosmetyki i chciały mnie pomalować. Ponieważ miałam duże problemy z cerą, nie zgodziłam się na nakładanie produktów na twarz. Jedna z pań, chyba »szefowa«, zrobiła się bardzo niemiła. Nakrzyczała na mnie, że w takim razie po co przyszłam i że z takim podejściem niczego nie osiągnę. Na zakończenie zaproponowano mi zakup kremu do rąk za ponad 30 zł, co na tamte czasy było dla mnie skrajnie wygórowaną ceną. Wyszłam zniesmaczona".

SKOK NA GŁĘBOKĄ WODĘ

Czy poprzez pracę w MLM można zarobić? Oczywiście. Wymaga to albo dobrego zaplecza finansowego, które pozwoli skupić się tylko na takiej działalności i nie zajmować inną pracą, albo ponadprzeciętnej znajomości technik sprzedażowych. Wobec multi-level marketingu formułowane są jednak zarzuty o to, że funkcjonuje w sposób podobny dla piramidy finansowej – „góra" zarabia nie poprzez realnie wypracowany przez siebie zysk, ale dzięki środkom pozyskiwanym przez „dół" (choć w przypadku MLM zyski pochodzą także z realnej sprzedaży produktów i prowizji, które twórcy spółki rezerwują dla siebie).

Dodatkowym ryzykiem jest, że MLM-y nie gwarantują konsultantom zysku. Wszystko zależy od indywidualnych wyników. To skok na głęboką wodę, który może mieć bardzo przykre i kosztowne konsekwencje.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

Nowa powieść szpiegowska byłego oficera wywiadu!

Zaginione artefakty, tajemnicze dokumenty, walka wywiadów...

WYDAWNICTWO
CZARNA OWCA

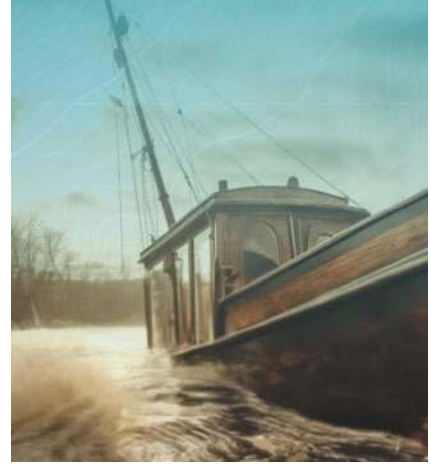

eprasa.pl 948c8be978

Fikcje i fakty

Piotr Gociek

„Fikcja amerykańska" sprawdza się jako satyra na literacki światek i skłania do refleksji nad kolonizowaniem i utrzymywaniem w poddaństwie przez kulturę. Te tematy ważne są także nad Wisłą

Jak nawigować w świecie absurdów? Poznajemy Theloniousa Ellisona w chwili, gdy prowadzi wykład z historii literatury amerykańskiego Południa. Na tablicy widnieje napis: „Flannery O'Connor »Sztuczny Murzyn« (tytuł jednego z najbardziej znanych opowiadań tej autorki). Jedna ze studentek (zresztą biała) oznajmia, że czuje się jego użyciem tak głęboko urażona, że musi opuścić salę. Thelonius zostanie zaś skłoniony do tego, by na jakiś czas opuścić uczelnię. Dla własnego dobra. Czyste szaleństwo.

Ellison jest także pisarzem, którego nowa książka leży u agenta. Leży, bo kolejnych dziewięciu wydawców ją odrzuciło. Chcą bowiem prawdziwie czarnej literatury, a nie jakichś rozważań nad Persami i Ajschylosem. A, nie wspomniałem dotąd: Ellison jest Afroamerykaninem. Czy powinniśmy to podkreślać? Otóż nie, zresztą o sam mówi, że rasa nie ma dla niego żadnego znaczenia. „Ale dla nich ma" – odpowiada agent. Czarni pisarze mają pisać czarne powieści. A precyzyjniej: takie, które utwierdzają białego czytelnika w tym, że widzą „czarne pisanie".

I rzeczywiście: wytrawny, utalentowany pisarz Thelonious Ellison pozostaje w niszy, a jego książki – choć to proza – wstawiane są w księgarniach do działu „Afro-American Studies", tymczasem pełne najbardziej wytartych banałów o czarnych biedakach z getta cieszą się ogromną popularnością. (Scena, w której niejaka Sintara Golden ku uciesze tłumu czyta fragment koszmarnej grafomanii „We's Lives in Da Ghetto", jest jedną z lepszych w filmie). W przypływie furii Ellison siada do pisania parodii takiej literatury, celowo sięgając po stereotypy, dialogi znane z filmów klasy C i starając się, by ów literacki żart okazał się najczarniejszym z czarnych. Ku jego zdumieniu (agent jest nie mniej zdziwiony) książka na pniu zostaje sprzedana za grube setki tysięcy dolarów, a pretensjonalna redaktor z dużego domu wydawniczego (rzecz jasna biała) wychwala powieść za autentyzm i wieszczy bestseller.

KTO I JAK NAS OPISUJE

Film „Fikcja amerykańska" („American Fiction", dostępny w Amazon Prime) w reżyserii Corda Jeffersona oparty jest na powieści Percivala Everetta „Erasure". Nominowany był do Oscara w pięciu kategoriach (w tym dla najlepszego filmu oraz za najlepszą rolę męską – Ellisona zagrał Jeffrey Wright). Zdobył statuetkę za najlepszy scenariusz adaptowany. Chociaż zdawać by się mogło, że to historia specyficznie amerykańska, to daje ona okazję do zastanowienia się nad kilkoma szerszymi sprawami. Kto i jak nas opisuje – to oczywiście rzecz najważniejsza. Powtarzamy czasem w Polsce, że jeśli sami nie opiszemy swojej historii, to opiszą ją inni – w sposób, który niekoniecznie musi się nam podobać. Ale przecież dotyczy to także innych problemów: politycznych, społecznych.

Profesor Ellison protestuje nie z tego powodu, że czarni piszą o problemach swojej społeczności, lecz przeciwko temu, że zamiast opisywać swoje prawdziwe życie, czynią to tak, by zaspokajać gusta czytelnicze białych. Ci zaś mają

eprasa.pl 948c8be978

Kadr z filmu „Fikcja amerykańska"
FOT. COURTESY OF ORION PICTURES INC.

własne wyobrażenia, w których jest miejsce głównie na nieletnie dziewczyny w ciąży, przemoc na ulicach getta, umięśnionych bandziorów w bandanach koczujących na rogu oraz niewinnych młodzieńców dręczonych przez białą policję. Ta pornografia emocjonalna biedy i egzotyki nie tylko powstaje w odpowiedzi na tkwiące w głowach białych stereotypy, lecz także jeszcze je wzmacnia. Szczególnie gdy reklamuje się je jako historie z życia wzięte.

Jest w „Fikcji amerykańskiej" scena bezpośredniej konfrontacji Ellisona ze wspomnianą Sinatrą Golden, autorką czarnego bestsellera uszytego dokładnie pod oczekiwania białych wydawców. Jest dumna ze swojej książki, bo ciężko pracowała, bo zrobiła porządny research i oparła się na wywiadach z prawdziwymi ludźmi. Gdy Ellison zarzuca jej powielanie wykrzywiających wizerunek czarnej społeczności fikcji, odpowiada pytaniem: „Skoro jest zawodową pisarką, to co złego jest w spełnianiu oczekiwań czytelników i wydawców?".

Sinatra Golden (Issa Rae) ma rację i nie ma racji. Pisarze piszą książki z myślą o czytelnikach, jasna sprawa. Ale gdy relacja dotyczy kolonizowanych i kolonizatorów, wyzyskiwanych i wyzyskiwaczy, podległych i hegemonów, to nic nie jest już takie oczywiste. Spójrzmy na Polskę, której literatura wciąż skuta jest okowami syndromu postkolonialnego i za najwyższe wyrazy uznania w szerokich kręgach piszących uważa się niemiecką nagrodę literacką lub przynajmniej sowite niemieckie stypendium. Gdyby poddać się w tej sytuacji logice Sinatry Golden, to polscy pisarze powinni pisać jak najwięcej książek utwierdzających niemieckich czytelników w tym, jak widzą Polskę i Polaków. Zatem: antysemitów, współsprawców Holokaustu, zbrodniarzy którzy wygnali babcię i dziadka z Heimatu na Dolnym Śląsku, Pomorzu czy Warmii i Mazurach.

A jako że kanały dystrybucji prestiżu w Polsce żyją echami zagranicznych mód literackich, to owych pisarzy powinny dopingować w tym dziele lokalne postkolonialne elity kulturalne, które jakoś żyć bez hegemona nie mogą i zawsze rozglądają się za wzorcami do papugowania. A im więcej jedni będą pisać, drudzy zaś radośnie witać w swych recenzenckich diatrybach opowieści odpowiadające na oczekiwania odbiorców, tym bardziej, oczywiście, będą stereotypy wzmacniać. W tym mechanizmie nie ma miejsca na prawdę, tylko na wiele luster ustawionych naprzeciwko siebie. Odpowiedź na pytanie, czy opisałem mechanizm hipotetycznie możliwy czy też ukazałem kawałek prawdy o polskim rynku literackim, pozostawię łaskawej wyobraźni czytelników.

Wróćmy do prof. Theloniousa Ellisona. Oprócz lekcji wolnego rynku usłyszał on od Sinatry Golden jeszcze jedną odpowiedź: Czy nie powinien mieć pretensji do tych, którzy zamawiają owe wykrzywione fikcje, a nie do tych, którzy próbują zarobić na kawałek chleba, spełniając wspomniane oczekiwania? Pozostanę wątpiącym – myślę że i do jednych, i do drugich.

SNY INNYCH LUDZI

Perypetie niedocenianego pisarza to jednak tylko część opowieści w „Fikcji amerykańskiej". Równie wiele miejsca poświęcono życiu rodzinnemu Ellisona. Nie wiem, na ile był to celowy zabieg reżysera (i jednocześnie scenarzysty), nie znam literackiego oryginału, ale jest to życie pełne banalnych klisz fabularnych i stereotypów, tyle że innego rodzaju niż „ciężarna nastolatka z getta". Jeśli matka, to dotknięta demencją, jeśli zmarły ojciec, to po latach zdemaskowany jako cudzołożnik, homofob i tyran. Jeśli gosposia, to karykatura Hattie McDaniel z „Przeminęło z wiatrem", a jej uczuciowe perypetie to chwyt z telenoweli. Zresztą niemal wszystko jest tu chwytem z telenoweli, łącznie ze stereotypowym bratem gejem i siostrą – kobietą sukcesu, którą zgodnie z regułami amerykańskiej fikcji szlag trafi jako pierwszą. Thelonious Ellison wściekły jest na tych, którzy opisując prawdziwe życie, sięgają po zgrane schematy, sam natomiast jest postacią z fabuły mocno recyklowanej.

„Fikcja amerykańska" to film, który wiele obiecuje, ale nie zawsze te obietnice spełnia

Przynoszący ciekawe pytania film trochę ugina się pod ciężarem wszystkich tych tropów, Cord Jefferson próbuje powiedzieć zbyt wiele rzeczy naraz. A gdy przychodzi pora na rozwiązania, odpowiedzi, przesilenia, umyka w metafikcję – Ellison, któremu w pewnym momencie jako fałszywemu autorowi podrabianego bestsellera oferowano wielkie pieniądza za jego ekranizację, opowiada swoją prawdziwą historię, czyli dzieje literackiego oszustwa. W dodatku nie wie, jak zakończyć fabułę. A gdy reżyser żąda konkretów, zamiast dwuznaczności zaproponuje mu puentę najbardziej stereotypową (i B-klasową), jaką można sobie wyobrazić.

„Fikcja amerykańska" to film, który wiele obiecuje, ale nie zawsze te obietnice spełnia. Jednak sprawdza się jako satyra na literacki światek i skłania do refleksji nad kolonizowaniem i utrzymywaniem w poddaństwie przez kulturę, a oba tematy ważne są także nad Wisłą. Gdybym miał dopisać do niego wyraźne przesłanie, brzmiałoby tak: jeśli nie masz do powiedzenia nic, oprócz banału, to zadbaj przynajmniej, by był to twój banał. Szkoda czasu na śnienie snów innych ludzi.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 948c8be978

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Naturalny porządek rzeczy

★★★★★☆

REŻ. SEAN CHARMATZ
„ORION I CIEMNOŚĆ" („ORION AND THE DARK")
USA 2024

dystr. Netflix

Zaskoczenie sezonu – animowany film dla małych i dużych, który jest oryginalny, zabawny i pozbawiony natrętnej indoktrynacji królującej w ostatnich produkcjach Disneya czy Netflixa. Rzekłbym nawet, że to najlepszy film Pixara nakręcony poza Pixarem. Oddajmy cześć scenarzyście – to Charlie Kaufman – oddajmy i autorce literackiego oryginału (Emma Yarlett).

Skoro Kaufman (wspomnijmy „Adaptację" czy „Być jak John Malkovich"), to nie mogło być cukierkowo. Główny bohater to przesympatyczny i łebski chłopak, ale lęki zżerają go jak Woody'ego Allena. W osobnym zeszycie notuje wszystkie rzeczy, których się boi, a przez jego głowę przelatują filmy o rychłym końcu świata (których narratorem jest Werner Herzog). W szkole prześladują go łobuzy, w domu spać nie może, bo śmiertelnie obawia się ciemności. Cóż, pewnego razu okaże się, że z personalizacją ciemności można pogadać, i że jest to całkiem miły gość, którego bardzo martwi to, że tak wielu ludzi się go obawia.

Pan Ciemność zabiera Oriona w podróż dookoła świata, zapoznając przy okazji ze swoimi kompanami: Snem, Bezsennością, Ciszą, Słodkimi Marzeniami i Tajemniczymi Dźwiękami. To właśnie ta gromadka odpowiada za wszystko, co dzieje się w naszych głowach po zmroku. Tropem Ciemności podąża zaś Światło, bo przecież zawsze przychodzą świt i nowy dzień.

„Orion i Ciemność" to opowieść, którą uznałbym za udaną (trochę w duchu „Potworów i spółki"), nawet gdyby ograniczyła się jedynie do wątku oswajania lęków dziecięcego bohatera i funkcji czysto edukacyjnej. Ale jest dużo lepiej: w pewnym momencie terapeutyczna historia Oriona zamienia się w opowieść o dzieciach i rodzicach, o potędze rodzicielskiej miłości, o tym, jak kolejne pokolenia budują szczęśliwą rodzinę poprzez dodawanie kolejnych elementów, a nie bunt i kontestację. Takie przesłanie to wielka rzadkość w świecie współczesnej obrazkowej popkultury. A na tle innych produkcji Netflixa fabuła, w której najważniejsi są mama i tata, dziadek i babcia, kobieta i mężczyzna oraz ich dziecko, to przecież niemal herezja. Cieszmy się więc filmem Seana Charmatza, bo jest czym się cieszyć. Nagród pewnie żadnych nie zdobędzie, ale moją sympatię zdobył błyskawicznie. ©℗

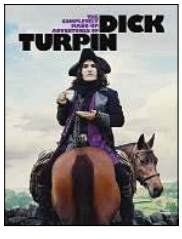

NOWE SERIALE: „WYMYŚLNE PRZYPADKI DICKA TURPINA" tv

Pastisz opowieści o słynnym zbójniku podzieli widownię. Dla jednych to czysta głupota – ja właśnie dzięki temu dobrze się bawiłem. Po pierwsze, Noel Fielding (biurowy goth z „IT Crowd") jest bezbłędny jako wegański Robin Hood (i szerzej: obsada jest pyszna). Po drugie, twórcy tej opowiastki biją na głowę twórców naszego „1670", bo bardzo lubią swoich bohaterów, a nie z nich szydzą. Nad wszystkim zaś unosi się duch Monty Pythona i „Facetów w rajtuzach" Mela Brooksa. ©℗ ***Piotr Gociek***

- ***miniseria „Wymyślne przypadki Dicka Turpina", Wielka Brytania 2024***

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- *reż. Doug Liman* ***„Road House"***, *USA 2024* prime video
- *reż. Paul King* ***„Wonka"***, *USA 2023* hbo max
- *sezon 2* ***„Rdza" („Rust")***, *USA 2024* sky SHOWTIME

eprasa.pl 948c8be978

Bunt nastolatek

KINO

W minionym stuleciu każdy szanujący się teatr wałkował rozterki Maszy, Iriny i Olgi. Dziś na topie są Ghofrane, Rahma, Eya i Tayssir, bohaterki tunezyjskiego dokumentu, który kandydował do Oscara, lecz w konfrontacji z filmem o zagładzie Mariupola był bez szans. Siostry Chikhaoui stały się sławne osiem lat temu, gdy najstarsze z nich zostały „pożarte przez wilka", czyli uciekły z domu i dołączyły do dżihadystów. O zgrozo, nie działo się to w Syrii czy Iraku, lecz w uważanej za najbardziej zeuropeizowany kraj islamski Tunezji. Cynicy uznali to za kolejny dowód, że Arabom demokracja nie jest pisana. Feministki mają problem ze zrozumieniem kobiet, zamieniających T-shirty na hidżaby i wspierających fanatyków, którzy chcą je zamknąć w kuchni. „Cztery córki" wzbudzają ambiwalentne uczucia. Ilustrują tezę, że religia to narzędzie dominacji, tradycyjna muzułmańska rodzina jest zaś wylęgarnią patologii. Tyle że prawdziwym strażnikiem patriarchatu jawi się nadopiekuńcza i toksyczna matka. Panowie są żałośni. Olfa zaś płacze, pozuje na ofiarę odwiecznej klątwy („jestem jak Rose z »Titanica«"), choć w głębi duszy wie, że popełniła wszystkie możliwe błędy wychowawcze. Może dlatego tak łatwo daje się sprowokować do rozdrapywania starych ran przed kamerą. Allah jest miłosierny, na pewno jej wybaczy. ©℗

Wiesław Chełminiak

★★★★☆☆

REŻ. KAOUTHER BEN HANIA
„CZTERY CÓRKI" („LES FILLES D'OLFA")
TUNEZJA/ FRANCJA/ NIEMCY 2023

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

MURY JERYCHA

prime video

Dziewięćdziesiąt lat temu w amerykańskich kinach królowała bajka dla dorosłych, w Polsce znana pod tytułem „Ich noce". Widzów, wtedy jeszcze prostodusznych, ujęła historia córki milionera, która dążąc do skonsumowania związku z chwackim lotnikiem, znalazła się w niechcianym towarzystwie spłukanego dziennikarza. On sądzi, że ma do czynienia z rozpieszczoną egoistką, ona ma go za skończonego gbura. Zanim dotrą z Miami do Nowego Jorku, zmienią zdanie. Na drugim planie skrzeczy rzeczywistość: w kraju wychodzącym z kryzysu szerzyło się złodziejstwo, stan dróg pozostawiał zaś sporo do życzenia. Któż by jednak zwracał uwagę na takie drobiazgi, gdy na ekranie Clark Gable, demonstrując nagi tors, groził, że zdejmie również spodnie? Cięte dialogi autorstwa Roberta Riskina, perfekcyjna reżyseria Franka Capry tudzież dobra współpraca duetu Gable/Colbert zaowocowały pięcioma Oscarami w najważniejszych kategoriach. ©℗

★★★★★☆

REŻ. FRANK CAPRA
„ICH NOCE" („IT HAPPENED ONE NIGHT")
USA

wyst. Clark Gable, Claudette Colbert, Walter Connolly

KAPRALU, DO DZIEŁA!

HBO max

Krajem ziemniaków, rzepy i buraków od siedmiu lat rządzi zakompleksiona hipochondryczka. Żadnemu ministrowi nie ufa, lecz dopuszcza do konfidencji ochroniarza. Kapral Zubak staje się szarą eminencją, kimś w rodzaju Rasputina. Pani kanclerz dosłownie je mu z ręki. Ponadto, jako orędowniczka swojskości nie boi się zadrzeć z najbliższym sojusznikiem, czyli USA. Twórcy serialu mylą tropy. Akcja rzekomo rozgrywa się w Europie Środkowej, choć realia są raczej bałkańskie. Słowianie w oczach Anglosasów zawsze byli dzikusami, szans na zmianę nie widać. Trudniej pojąć, czego w tej smętnej farsie szukają (poza łatwym zarobkiem) Stephen Frears i Kate Winslet. Może spodobało im się, że ostrze satyry kłuje wujaszka Sama, któremu dla doraźnych korzyści (surowce, tajne więzienia CIA) zdarza się współpracować z antypatycznymi reżimami? ©℗

Wiesław Chełminiak

★★☆☆☆☆

TWÓRCA: WILL TRACY
„REŻIM" („THE REGIME")
USA/WIELKA BRYTANIA 2024

wyst. Kate Winslet, Matthias Schoenaerts, Guillaume Gallienne

GRA TYGODNIA: „THE THAUMATURGE"

Gdyby nie pewne potknięcia gamplayowe i graficzne – dałbym o jedną gwiazdkę więcej. Bo gra mnie urzekła. Klimatem, kreacją bohaterów, opowieścią, sączącą się z ekranu polskością, obecnością postaci historycznych (genialny epizod z Rasputinem!). Wcielamy się w obdarzonego paranormalnymi zdolnościami Wiktora Szulskiego i przenosimy się do roku 1905. Większość akcji gry toczy się w Warszawie (w Polsce, jak stanowczo podkreśla Szulki, gdy słyszy, że czegoś takiego jak Polska nie ma na mapie). Szczerze polecam (zwłaszcza że cena jest bardzo przystępna) i liczę na kolejne części. ©℗ ***Radosław Wojtas***

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★☆☆

- ***Gatunek:*** *RPG (turowe walki)*
- ***Platforma:*** *PC, zap. PS5, XSX*
- ***Producent, dystrybutor:*** *Fool's Theory, 11 bit studios*

eprasa.pl 948c8be978

MOJA PÓŁKA

Świadectwo niemieckiej hańby

KRZYSZTOF MASŁOŃ

Autor „Dziennika lat trwogi", prowadzonego przez osiem lat od 1936 r., niemiecki pisarz i lekarz, dziennikarz i krytyk muzyczny w październiku 1944 r. został zadenuncjowany i aresztowany przez gestapo. O co oskarżono tego 60-letniego mężczyznę? Wylicza: „Nie podałem poprawnie mego stopnia wojskowego.

Odparłem, że w trakcie swego życia widziałem niejedną okropność i sprawy stopni wojskowych uważam za dyrdymały.

Ośmieszyłem się tłumaczeniem się z podatku majątkowego. Swoim pismem dowiodłem czegoś dokładnie odwrotnego, niż zamierzałem.

Zorganizowałem przed dwoma laty demonstrację kobiet protestujących przeciwko usuwaniu krucyfiksów.

Nie miałem w zwyczaju witać się pozdrowieniem »Heil Hitler«, szydziłem z niemieckiej waluty".

Gdyby władze natrafiły choćby na ślad jego dziennika, zostałby zgilotynowany. Ponieważ jego występki trudno było uznać za zbrodnie, jeszcze wtedy mu się udało: został zwolniony. Nie na długo, już w styczniu 1945 r. aresztowano go ponownie i wywieziono do obozu koncentracyjnego w Dachau, gdzie przeżył tylko miesiąc. Według jednych świadectw został zamordowany, według drugich – zmarł na dur brzuszny.

Friedrich Reck-Malleczewen, bo o nim mowa, urodził się w ojcowskim majątku pod Ełkiem. Od nazwy rodzinnej miejscowości, dzisiejszego Maleczewa, wziął drugi człon nazwiska. Po dojściu hitlerowców do władzy opuścił Monachium, gdzie mieszkał, i przyjął katolicyzm. Pozdrawiał ludzi nagle podejrzaną formułą „Gruss Gott", a w 1936 r., na jednej z pierwszych kart dziennika, uwiecznił zachowanie chłopców z Hitlerjugend, których w czasie ferii zakwaterowano w szkole na starówce w Monachium. Widział wtedy jednego z nich, „jak zerwał ze ściany ten symbol, któremu poświęcone są niemieckie katedry i sale kolumnowe rozbrzmiewające mateuszową Pasją, i wyrzucił go przez okno na ulicę.

Z okrzykiem: »Tam jest twoje miejsce, ty świński Żydzie!«".

Po Anschlussie Austrii autor dziennika rozmawia ze swoim kuzynem, „który jako generał major uczestniczy w tej politycznej kradzieży z włamaniem i nie może zrozumieć, że moje oczy nie błyszczą z zachwytu. Pytam go, czy wyobraża sobie, że tak dystyngowany człowiek jak stary Moltke, otrzymawszy rozkaz wkroczenia do Austrii, mógłby zareagować inaczej niż natychmiastowym złożeniem podania o dymisję. Okropieństwem i czymś niepojętym jest to, że ci pruscy oficerowie, noszący wielkie i słynne nazwiska, zupełnie nie czują haniebnej roli, jaką każe im się tu odgrywać […]".

We wrześniu 1939 r. otrzymuje list od kapitana lotnictwa, który właśnie wrócił z wojny w Polsce i dzieli się swoimi doświadczeniami wyniesionymi z niej, pisząc o tym, „jak postępuje się z ludźmi i narodami, które chcą być zawsze naszymi wrogami. Polacy bronili się oczywiście z walecznością godną podziwu. Mimo to zniszczyliśmy ich bez litości, z zimną krwią. Myślę, że nie czuliśmy też do nich nienawiści, przynajmniej dzisiaj, do tego zupełnie złamanego, pozbawionego formy narodu prymitywów". „Czy napisał to bandyta, przestępca, który umknął przed wymiarem sprawiedliwości? – pyta Friedrich Reck-Malleczewen. – Nie, napisał to ktoś, kto w cywilu jest dobrym i absolutnie spokojnym młodym człowiekiem o błyszczących, niebieskich oczach i zawsze chłopięco brzmiącym śmiechu i kto pochodzi z dobrej mieszczańskiej, reńskiej rodziny z określonymi tradycjami i ambicjami kulturalnymi".

„Dziennik lat trwogi" to na pewno ciekawy dokument swego czasu, ale nie przeceniałbym jego znaczenia faktograficznego. Ważniejszy jest on jako świadectwo pewnej rzadkiej w społeczeństwie niemieckim czasu III Rzeszy postawy krytycznej wobec nie tylko prowadzonej polityki, lecz także jej akceptacji przez naród. „Nigdy nie widziałem Niemiec w stanie takiej degeneracji… – wyznaje. – Nie, nawet maniery w Bawarskiej Republice Rad były wzorowe w stosunku do tego, co pozostawił nam pan Hitler". I dlatego nie stać go było na inny komentarz po zamachu dokonanym przez pułkownika Stauffenberga, jak ten: „Cokolwiek za późno, panowie, którzy stworzyliście arcyniszczyciela Niemiec, a teraz go zdradzacie, jak przedwczoraj zdradzaliście monarchię, a wczoraj republikę".

Jeśli można się w tym dramatycznym i przygnębiającym dzienniku doszukać się jakiejś nuty optymizmu, to jedynie w nadziei, pokładanej przez autora w dziedzictwie, które pozostawiło rodzeństwo Schollów, członków antyhitlerowskiej organizacji Biała Róża, skazanych i straconych w lutym 1943 r. „Czy to nie my wszyscy – pytał – będziemy kiedyś ze wstydem pielgrzymowali do ich grobów?". ©℗

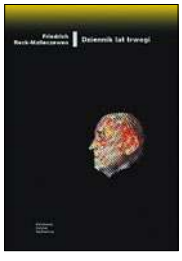

★★★★☆☆

FRIEDRICH RECK-MALLECZEWEN „DZIENNIK LAT TRWOGI. ŚWIADECTWO WEWNĘTRZNEJ EMIGRACJI"
PIW, WARSZAWA 2024

eprasa.pl 948c8be978

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Wspólnota udręki

Kto uważa, że książki powinny przynosić relaks i komfort, ten powinien trzymać się od pisarstwa Thomasa Bernharda z daleka. Dawno nie czytałem powieści, która tak bardzo wytrącałaby czytelnika ze strefy komfortu. Wczesny utwór austriackiego pisarza uszedł mej uwagi, gdy ukazał się w Polsce po raz pierwszy, teraz sięgnąłem po wznowienie. Nie żałuję, choć nie było łatwo.

Przez powojenną Austrię (region Styria) wędrują syn i ojciec. Syn jest narratorem, ojciec nauczycielem życia, lecz ponure są to lekcje. Lekarz żyje w dwóch światach: niesie pomoc chorym i cierpiącym i nigdy nie uchyla się przed spełnieniem obowiązków. Jednocześnie jego opinia o ludzkiej naturze nie mogłaby być gorsza: wszędzie widzi krzywdę, zło i okrucieństwo. Ten jedyny w swoim rodzaju dziennik ciężkich przypadków prowadzi nas przez coraz większe okropieństwa, aż w połowie książka zmienia charakter. Bohaterowie docierają bowiem do zamku księcia Saurau (on także potrzebuje pomocy wiejskiego lekarza), gdzie arystokrata zaczyna snuć własny monolog o świecie i ludziach, monolog pełen tyleż pasji, co szaleństwa. Nie oznacza to jednak, że mówi nieustannie piramidalne bzdury. Czasem łatwo się z nim zgodzić – i tu jest pułapka, bo w chwili, gdy przychodzi nam na myśl „to nie takie głupie", uświadamiamy sobie, że właśnie poddaliśmy się szaleństwu.

Ta książka nie ma prawa istnieć, ale istnieje, jej obie części wydają się zupełnie niedopasowane, jednak bardziej się dopełniają, niż różnią. W obu częściach mamy trudną relację syn – ojciec i mur obcości; zdrowi czy szaleni jednako nie są w stanie się nawzajem zrozumieć. Pozostawiona bez tytułu część pierwsza przedstawia trawiony chorobami i złem świat fizyczny, zatytułowana „Książę" część druga – równie ułomny świat ducha. Los człowieka jest przekleństwem, uczestniczy we „wspólnocie udręki" lub „wspólnocie cierpienia" – rzecze nam Bernhard ustami księcia. A zza pleców bohaterów „Zaburzenia" wygląda także niedaleka przeszłość, dziedzictwo nazizmu i jego niby porządkujących świat reguł, które także były przejawem szaleństwa i okrucieństwa bez granic. Wielkie są możliwości człowieka, bezkresne są jego marzenia – myślimy. „Wiekuista cisza tych nieskończonych przestrzeni przeraża mnie" – odpowiada Berhard mottem do „Zaburzenia", zaczerpniętym z „Myśli" Pascala. ©℗

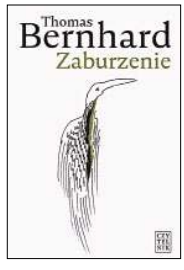

★★★★★☆

THOMAS BERNHARD „ZABURZENIE" CZYTELNIK 2024

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Ruch to zdrowie – ale dlaczego tak trudno zabrać się nam do aktywności fizycznej? Czy ewolucja uczyła nas, jak unikać zbędnego wysiłku? Dlaczego mimo to trzeba ćwiczyć? Opowieść zajmująca i pouczająca.

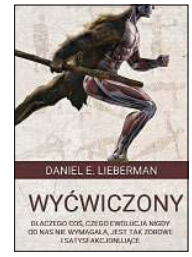

DANIEL E. LIEBERMAN „WYĆWICZONY" ZYSK I S-KA

O przełamywaniu stereotypów: są w Afryce miejsca, gdzie demokracja działa, dzieci są najedzone i kwitnie kultura. A autora (Nigeryjczyka) wychowano tak, by wcześnie wstawał do kościoła i późno kładł się w noc wyborów.

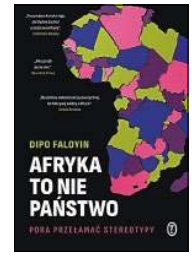

DIPO FALOYIN „AFRYKA TO NIE PAŃSTWO" WYDAWNICTWO LITERACKIE

Powtarzamy to pytanie od wieków: Czy jest inna Rosja? Zbiór naukowych artykułów o współczesnych pozasystemowych formach kultury w Rosji. Ale czy antysystemowość gwarantuje rezygnację z ambicji imperialnych?

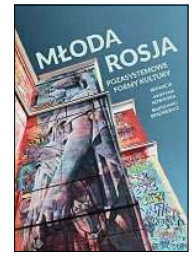

AUTORZY RÓŻNI „MŁODA ROSJA" KSIĘGARNIA AKADEMICKA

„Od wieku Oświecenia po Kodeks Napoleona", czyli jak dziedzictwo rewolucji uformowało myślenie i metody działania tych, którzy marzyli o stworzeniu nowego świata i uszczęśliwieniu człowieka wbrew jego naturze. ©℗

recenzuje Piotr Gociek

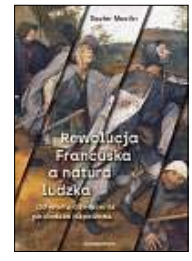

XAVIER MARTIN „REWOLUCJA FRANCUSKA A NATURA LUDZKA" ANDEGAVENUM

KOMIKS TYGODNIA: „POWRÓT MILUSIA"

Nowy album z serii „Kajko i Kokosz: Nowe przygody". Kara spada na ulubionych wojów Mirmiła; jako że pomogli Lubawie zabrać go do teściowej, będą musieli służyć przez miesiąc księciu Władowi i jego nieznośnemu synalkowi. Na szczęście podróż będzie okazją do spotkania pupila sprzed lat, czyli Milusia, który wyruszył kiedyś do Krainy Smoków, ale jakoś tam nie dotarł. ©℗

Piotr Gociek

MACIEJ KUR, SŁAWOMIR KIEŁBUS, PIOTR BEDNARCZYK „POWRÓT MILUSIA" STORY HOUSE EGMONT 2024

eprasa.pl 948c8be978

RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Dyplomy łódzkiej ASP

Tylko do końca tygodnia czynna będzie wystawa prac najlepiej zapowiadających się młodych twórców, którzy w ubiegłym roku ukończyli Akademię Sztuk Pięknych w Łodzi. Są to m.in. prace malarskie, multimedialne, grafika artystyczna i projektowa, biżuteria, ubiór i obuwie, a także realizacje z zakresu wzornictwa przemysłowego czy architektury wnętrz. W sumie – 18 dyplomów licencjackich i 21 dyplomów magisterskich.

Wystawa i towarzyszący jej konkurs dla absolwentów są jedną z ważniejszych inicjatyw Akademii Sztuk Pięknych w Łodzi. Laureatów wskazuje profesjonalne jury, ale swój wpływ na wyniki „Prime Time 2023" miała także publiczność, która odwiedziła wystawę między 16 a 28 lutego. Goście mogli bowiem głosować na najlepsze ich zdaniem prace.

Konkurs łódzkiej ASP ma ponad 20-letnią tradycję. Wcześniej funkcjonował jednak pod inną nazwą – Rocznik. ©℗

GDZIE? *Miejska Galeria Sztuki w Łodzi*
KIEDY? *do 24 marca*

FOT. JAREK DARNOWSKI

FOT. KRZYSZTOF MORCINEK/GALERIA BIELSKA BWA

PO ZADYMCE

Po ubiegłotygodniowej Bielskiej Zadymce Jazzowej została wystawa, która była kluczem do tworzenia planu tegorocznej edycji imprezy. Pokazywane są na niej okładki płyt winylowych wydanych przez legendarną wytwórnię Blue Note Records (w tym roku mija 85 lat od jej założenia). „Właśnie ta wytwórnia, jako jedna z pierwszych, komunikowała się ze swoimi odbiorcami, używając oryginalnego, nowoczesnego języka wizualnego. Jej produkty idealnie korespondowały z muzyką, którą w niej tworzono i promowano" – piszą autorzy wystawy. ©℗

GDZIE? *Galeria Bielska BWA – Willa Sixta*
KIEDY? *do 31 marca*

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

BIO muzyka

Norah Jones nazwała swoją ósmą płytę studyjną „Wizje", ponieważ wiele pomysłów muzycznych nawiedziło ją w środku nocy, kiedy jej świadomość była mglista.

Wokalistka jest nieślubną córką Raviego Shankara, hinduskiego mistrza gry na sitarze. Nie był dobrym ojcem, więc w wieku 16 lat Norah przybrała nazwisko matki, Sue Jones. Siedem lat później słynna jazzowa wytwórnia Blue Note wydała debiutancki album Norah, który niespodziewanie stał się nieprawdopodobnym przebojem. Płyta osiągnęła 27-milionowy nakład i dała młodej artystce pięć nagród Grammy. Muzyka Jones łączyła w bezpretensjonalny sposób jazz, folk, pop i country.

„Visions", jak większość płyt Norah, dzięki łagodnym rytmom i ciepłemu wokalowi spokojnie płynie przez 45 minut. Te pozbawione elektronicznych pestycydów piosenki wydają się ekologicznie czyste i jednocześnie nie zawierają newage'owego moralizatorstwa. „Nie chcę o tym rozmawiać / Chcę tylko tańczyć" – śpiewa Norah. „Visions" pulsuje delikatnie i słodko zmienia kolory w tle, choć barwy nie są w pełni nasycone. Dominują przyjemne pastele promieniujące ciepłem. Jones kroczy między soulowymi jamami, ospałymi balladami i pełnymi nadziei piosenkami pop. Nie jest to album dla wszystkich, ale nisza, którą stworzyła Amerykanka, jest wciąż atrakcyjna dla milionów słuchaczy. ©℗

★★★★★☆
NORAH JONES
„VISIONS"
BLUE NOTE

★★★★☆☆
JUDAS PRIEST
„INVICIBLE SHIELD"
EPIC

Po sześciu latach przerwy powrócili z najlepszym albumem od czasu „Painkillera". Gardło Halforda otula z czułością papieru ściernego, gitara Tiptona tnie z precyzją skalpela, a bas Hilla dudni jak młot pneumatyczny. ©℗

★★★★★★
ALICE COOPER
„BILLION DOLLAR BABIES"
RHINO

Wznowienie jednego z najlepszych albumów ery glam rocka. Grupa Alice Cooper (jako solista Alice ruszy dwa lata później) wraz z producentem Bobem Ezrinem (ten od „Wall" Floydów) stworzyła mistrzowski album horror rocka. Jako bonus – koncert z 1973 r. ©℗

eprasa.pl 948c8be978

FOT. KARINA SZYMCZUK/TVP

We własnym domu

Krzysztof Masłoń

Oglądacie serial „Będziemy mieszkać razem”? – postawiła kwestię Mańka Dzyndzel, zaprzysięgła telemaniaczka.

– Nie oglądam już niczego poza sportem, a po popisach Stocha i spółki w końcu wyłączę to pudło raz na zawsze – oświadczył Wsiowy Sceptyk. – A tobie się dziwię, że chce ci się jeszcze gapić na tę obrzydliwą rzekomą filantropię milionerów uszczęśliwiających biednych ludzi remontem walącej się chałupy, a przy okazji promujących jakieś barachło i trzepiących kasę.

– Pannie Mariannie – tu skłoniłem się w stronę żeńskiej ozdoby naszych posiedzeń w barze Pod Antenką – chodzi o coś zupełnie innego, a mianowicie o nowy serial ukazujący stosunki polsko-ukraińskie na przykładzie rodziny, która przyjęła pod swój dach uchodźców zza wschodniej granicy.

– No, i to zaraz jak tylko wybuchła wojna. Tam jest taka mała dziewczynka. I jeszcze Mikołaj Roznerski… – Mańka wyraźnie się rozmarzyła.

Sokole jasnyj, brate mij ridnyj,
Ty wysoko łetajesz,
Ty dałeko widajesz

– rozdarł nagle mordę Element Antydemokatyczny, niemiłosiernie przy tym fałszując.

– Nie „dałeko”, a szyroko – sprostował jak zwykle dokładny Pan Gienio. – Tak jest u Sienkiewicza.

– A to dumka ukraińska i gówno twojemu Sienkiewiczowi do tego – wtrącił się zza baru Złodziej Korony Polskiej. – Usunęli go zresztą z lektur i żaden z niego autorytet. Teraz nadszedł czas innych Sienkiewiczów.

Pan Gienio splunął z odrazą i polał spod stołu, nawet specjalnie się nie kryjąc. Wsiowy Sceptyk, jak na niego wyraźnie pobudzony, tokował dalej:

– Kiedyś jeden poeta krzepił obietnicą, że „będziemy znowu mieszkać w swoim domu, będziemy stąpać po swych własnych schodach”, potem drugi poeta wzywał do działania: „Jesteśmy wreszcie we własnym domu. Nie stój, nie czekaj. Co robić? Pomóż!”, a teraz przydzielono nam sublokatorów. Widzieliście w Dino te napisy po ukraińsku?

– A tobie one przeszkadzają? Gorzałę i tak wiesz, gdzie kupić, choćby napisy były po mandaryńsku.

– A horyłka ukraińska dobra – mlasnął z zachwytem Element Antydemokratyczny i zaczął wymieniać: Niemiroff, Hlibny Dar, Morosza, Ukrainian Spirit…

– Długo tak możesz? – zainteresował się Pan Gienio. – Już niech lepiej Mańka opowie o tym nowym serialu.

– W sumie on jest o tym, jak to się żyje pod cudzym dachem.

– No to już mieliśmy i „Londyńczyków”, i „Dziewczyny ze Lwowa” – Wsiowy Sceptyk zniecierpliwiony machnął ręką. – Ja wiem, że w czasie wojny to trochę inaczej…

– Bo bohaterka nie jest ze Lwowa, a z Charkowa… – Mańka Dzyndzel spłyciła problem, jak się zdaje, bo i Pan Gienio wtrącił się, mówiąc: – Tak czy siak, człowiek na obczyźnie jest obcy.

Wciąż jestem obcy
Zupełnie obcy tu – niby wróg…

– Element Antydemokratyczny wciąż roznamiętniał się wokalnie.

– O właśnie, w telewizji ladypanki zapowiedziały swój występ. Osiem lat ich ponoć nie było, tak wyliczyli – Mańka zdumiewała swą orientacją w telewizyjnej ramówce, zważywszy na czas, który spędzała na naszych twórczych nasiadówkach.

– W telewizji publicznej ich nie było – uściślił Złodziej Korony Polskiej. – Już mieliśmy Kayah, a będzie i Lady Pank, i Varius Manx, i wiele innych gwiazd. Co tydzień można je będzie zobaczyć i usłyszeć w telewizyjnej Dwójce w „Muzyce na dobry wieczór”.

– No to ja od tych gwiazd i ich zakazanych piosenek wolę już Zenka Martyniuka. Kombatanci się znaleźli – Wsiowy Sceptyk aż zatrząsnął się z oburzenia. – Wszyscy razem nadają się wyłącznie do programu „Twoja twarz brzmi znajomo”. Zanadto znajomo. Już widzę, jak w Opolu zrobią sobie w tym roku Festiwal Piosenki Prawdziwej Bis.

– To akurat jest więcej niż prawdopodobne – poparłem malkontenta, choć sam z programów rozrywkowych oglądam ostatnio tylko transmisje nadawane w TVP Parlament. Są bezkonkurencyjne.

Pan Gienio wyjął z torby kolejną butelkę przezornie nabytą w Dino i jakby nieco zgnębiony podzielił się przemyśleniem, że choć programów informacyjnych nie brakuje, to ma wrażenie niedoinformowania: – A telewizja przede wszystkim jest od tego, by pokazywać, co się dzieje.

– I to robi – gorliwie zapewnił Złodziej Korony Polskiej.

– Zwłaszcza 6 stycznia się popisała – Wsiowy Sceptyk przypomniał to, co wszyscy widzieli lub nie widzieli, w zależności od tego, czy oglądają Telewizję Republika czy nie. – A przecież aż się prosiło o specjalne wydanie „Agrobiznesu”. Zamknij się zresztą, karczmarzu, i jak chcesz lufę dla siebie, to podaj szkło, a nie siej tu rządowej propagandy.

– Nie będę pił alkoholu przyniesionego nie wiadomo skąd – odparł z godnością Złodziej Korony Polskiej. – A wam też nie radzę, bo zadzwonię po policję.

– I co? Spałują nas, potraktują gazem? – dopytywał się zaciekawiony Element Antydemokratyczny. – To tylko potraficie. Znalazła się gładkolufowa koalicja – tu pokazał wszystkim obecnym, gdzie się zgina dziób pingwina.

Oberżysta pokręcił głową z dezaprobatą, ale komórkę odłożył na skraj kontuaru. ©℗

eprasa.pl 948c8be978

FOT. ADOBE STOCK

Czy jesteśmy bliżej wojny z Rosją?

Lech Mażewski

Czy spotkanie prezydenta Joe Bidena z prezydentem Andrzejem Dudą i premierem Donaldem Tuskiem odbyło się z powodu rozmów o możliwości użycia polskiego wojska na terytorium Ukrainy? Zapytajmy jasno: Czy po tej wizycie jesteśmy bliżej wojny z Rosją na Ukrainie?

Sytuacja Ukrainy w wojnie z Rosją staje się coraz trudniejsza. Brakowi amunicji artyleryjskiej i niedoborom liczby żołnierzy zaczyna towarzyszyć dość masowe niszczenie zachodniego sprzętu. Ostatnio dowiedzieliśmy, że chodzi już nie tylko o czołgi Abrams, lecz także zestawy przeciwlotnicze Patriot czy zestawy artyleryjskie Himars; wszystko produkcji amerykańskiej. Na horyzoncie pojawia się groźba przegranej Kijowa w konflikcie z Moskwą, poprzedzona być może załamaniem ukraińskiego frontu.

Polska nie jest w stanie dostarczyć nad Dniepr dodatkowego uzbrojenia; wszystko, co było możliwe do zrobienia, uczyniono już w 2022 r. Wojsko polskie jest w dużym stopniu rozbrojone, gdyż zamówiony sprzęt amerykański czy koreański jeszcze nie nadszedł. Czy w takiej sytuacji mogłoby wchodzić w grę użycie wojska polskiego w walkach nad Dnieprem? Czy w tej sprawie odbyło się w Waszyngtonie spotkanie prezydenta Joe Bidena z prezydentem Andrzejem Dudą i premierem Donaldem Tuskiem? Oficjalnie podano, że okazją do spotkania była 25. rocznica przystąpienia Polski do NATO, ale zazwyczaj w takiej sytuacji reprezentuje nas tylko jeden z powodów. Co takiego ważnego miało stać się tym razem, że konieczna była obecność zarówno prezydenta, jak premiera?

AMERYKANIE PRZODEM

Prezydent Duda mówił przed odlotem, że w Białym Domu będzie rozmawiał o konieczności jedności Zachodu i postulował, aby państwa członkowskie NATO zobowiązały się do przeznaczania 3 proc. PKB na cele militarne. Polska już dziś czyni dużo więcej, bo wydaje na ten cel 4 proc. PKB. Ale czy rzeczywiście był to główny temat rozmów polskich polityków z przywódcą USA? Zapytajmy jasno: Czy po tej wizycie jesteśmy bliżej wojny z Rosją na Ukrainie? Przecież minister spraw zagranicznych Radosław Sikorski powiedział niedawno, że wojska niektórych państw NATO są już na Ukrainie.

Z wiadomości docierających z Waszyngtonu niewiele możemy się dowiedzieć. Poza demoliberalnymi komunałami ze spotkania prezydenta Bidena z polskimi politykami nadeszła informacja, że USA wyraziły zgodę na udzielenie Polsce pożyczki w wysokości 2 mld dol. na zakup sprzętu wojskowego i zaoferowały sprzedaż 96 śmigłowców Apache. To niewiele jak na tak nadzwyczajne wydarzenie. Takie sprawy są załatwiane na poziomie ministra obrony narodowej. Może jednak rozmawiano o czymś jeszcze, skoro premier Tusk zapowiedział nadzwyczajne spotkanie Trójkąta Weimarskiego z udziałem prezydenta Francji Emmanuela Macrona i kanclerza RFN Olafa Scholza.

Stany Zjednoczone będą starały się nie dopuścić do przegranej Ukrainy w wojnie z Rosją, bo natychmiast ich dalekowschodni sojusznicy (Japonia, Tajwan i Republika Korei) zaczęliby się zastanawiać, czy nie zamienić amerykańskiego geopolitycznego patrona na rosyjskiego sojusznika przeciwko Chinom w ramach sojuszu antyhegemonicznego. W efekcie USA zostałyby wypchnięte z Eurazji, pozostając ciągle jednym z kilku najważniejszych mocarstw w policentrycznym świecie. Czy wejście Polski do wojny z Rosją na Ukrainie mogłoby przyczynić się do utrzymania ich globalnego prymatu? Nie ma żadnych podstaw, żeby ten desperacki gest mógł to sprawić. Zmielenie kontyngentu wojska polskiego przez armię rosyjską, bo innego efektu walk nie można się spodziewać, nic by nie dało. Po dwóch latach wojny Moskwa ma znacznie lepsze wojsko niż w 2022 r., w dodatku walczące z poczuciem, że kolejne sukcesy są w zasięgu ręki. Pewniejszym sposobem na uniknięcie porażki Ukrainy byłoby zmuszenie władz tego państwa do przeprowadzenia powszechnej mobilizacji, przed czym Kijów ciągle się wzbrania. Ale i tu nie ma pewności, czy wcielenie do wojska kolejnych kilkuset tysięcy mężczyzn przyniosłoby pozytywny efekt, gdyż Rosjanie wyraźnie uzyskali inicjatywę strategiczną i będzie trudno ich tego pozbawić.

Jeśli już prezydent Biden naciskałby na polskich przywódców, żeby wyrazili zgodę na użycie wojska na Ukrainie, to trzeba było jasno mu powiedzieć, że Amerykanie przodem i dopóki nad

eprasa.pl 948c8be978

Dnieprem nie będzie liczącego się kontyngentu sił lądowych USA, dopóty i dla Polaków nie ma tam miejsca. Słowem: należałoby się zachować tak samo, jak wobec niedawnych sugestii prezydenta Macrona w sprawie możliwości podjęcia wojny z Rosją przez europejskich członków NATO. Wszyscy zainteresowani publicznie odmówili udziału w tym przedsięwzięciu. Jeśli Macron chce pójść w ślady Napoleona, to jego sprawa i nikt nie powinien mu tego bronić, ale w przeciwieństwie do 1812 r. droga Paryża na Moskwę wiodłaby przez Rumunię, a nie Polskę. I to też musi być jasne.

CZAS NA ROZMOWY

A może przedmiotem rozmów w Waszyngtonie wcale nie było wepchnięcie Polski do wojny z Rosją na Ukrainie, a jedynie chodziło o zorganizowanie rodzaju okrągłego stołu z udziałem prezydenta i premiera w celu doprowadzenia do zabezpieczenia interesów Waszyngtonu nad Wisłą? Z pewnością premier powinien się zgodzić na planowaną budowę czterokilometrowych pasów startowych w ramach Centralnego Portu Komunikacyjnego ze względu na obsługę amerykańskich samolotów transportowych; inni tego nie potrzebują. To samo odnosi się do kwestii budowy zapowiedzianych elektrowni atomowych przez firmy amerykańskie. Nie byłoby to chyba aż tak wielkie poświęcenie ze strony premiera Tuska, gdyby w efekcie udało się zaspokoić interesy USA.

Polska dla Ukrainy mogłaby zrobić zupełnie inną rzecz niż wysyłanie tam wojska. Chodziłoby o przekonanie władz w Kijowie do rozmów z Moskwą w sprawie nie tyle pokoju, bo to wydaje się niemożliwe, ile zawarcia rozejmu. Nie ma w tym nic uwłaczającego ani nie byłby to rodzaj polityki białej flagi, gdyż na razie Ukraina obroniła swoją niezależność wobec Rosji. Nie jest pewne jedynie, czy dziś Moskwa chciałaby toczyć takie rozmowy. Dopiero kolejne sukcesy militarne, np. w wyniku letniej ofensywy wojsk rosyjskich, mogłyby stworzyć dla niej odpowiednie warunki do negocjacji nie tyle z Kijowem, ile z Waszyngtonem, ponieważ nie rozmawia się ze sługą, tylko z panem.

PATRIOCI NA WOJNIE

Trudno zatem jednoznacznie odpowiedzieć na tytułowe pytanie. W rzeczywistości nie wiemy, czy jesteśmy dziś bliżej wojny z Rosją. Ale jeśli już stałaby przed nami taka perspektywa, to moglibyśmy w zamian za posłanie wojsk nad Dniepr zaproponować ogłoszenie zaciągu ochotniczego. Mimo że ci Polacy walczyliby w interesie Ukrainy, to nasze państwo powinno się zobowiązać, że będzie wypłacać świadczenia rodzinom poległych i renty inwalidom; w tych sprawach na Ukrainę nie ma co liczyć. Polska mogłaby przy okazji obsłużyć swój rzeczywisty interes, pozwalając antyrosyjskim patriotom na realizację ich marzenia walki z Moskwą. Wszystkim wyszłoby nam to tylko na dobre, będąc przy okazji dowodem, że rządzący Polską wiedzą, na czym polega trudna sztuka sprawowania władzy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

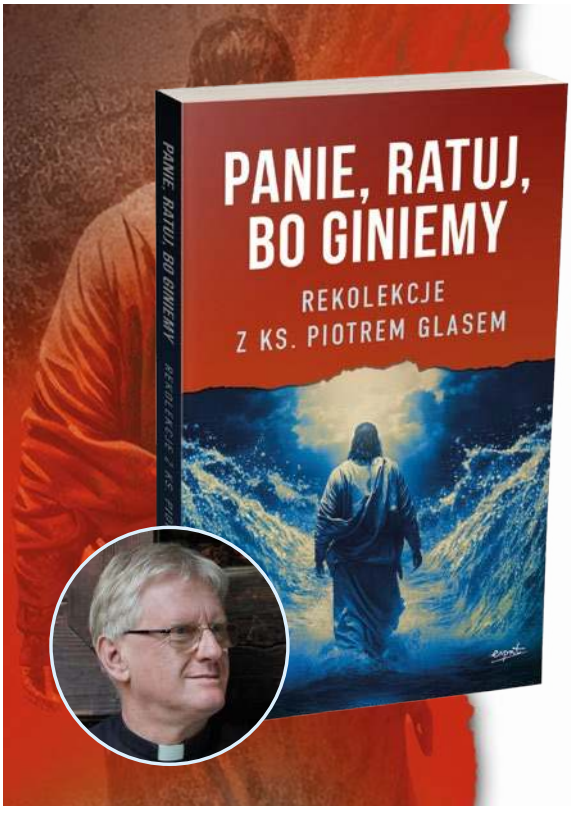

DUCHOWY PRZEWODNIK NA CZAS PRÓBY I ZNIECHĘCENIA

NAJNOWSZA KSIĄŻKA KS. PIOTRA GLASA

ODBIERZ DODATKOWY RABAT 5%
WPISZ KOD: ESPRIT5 PRZY ZAMÓWIENIU*

Zamów na www.esprit.com.pl
lub pod numerem telefonu
12 267 05 69.

*kod ważny do 31 marca

esprit

eprasa.pl 948c8be978

Emerytura „Księżnej Ciemności”

Wojciech Golonka

Zaskakująca informacja o przedwczesnej emeryturze politycznej Victorii Nuland w Departamencie Stanu USA wywołała liczne i dość antagonistyczne komentarze, przejawiające jednak wyraźne cechy wspólne

FOT. BILL CLARK/AP/EAST NEWS

Niezależnie, czy chwalono czy piętnowano jej dyplomatyczną karierę, komentatorzy jednym głosem podkreślali jej nieprzejednanie względem Rosji i bardzo głęboki osobisty wpływ na politykę Stanów Zjednoczonych w kwestii ukraińskiej. Z kolei różnice w ocenie jej dorobku nie zaskakują: podczas gdy Rosjanie w jej rezygnacji ochoczo dopatrywali się fiaska polityki USA względem Ukrainy, za którą Nuland była odpowiedzialna, jej dotychczasowy szef Antony Blinken stwierdził, że jej spuścizna pozostanie kluczowym punktem odniesienia dla amerykańskich dyplomatów w przyszłości. Otóż jakkolwiek brzmiałoby to paradoksalnie, te dwa punkty widzenia niekoniecznie muszą się wzajemnie wykluczać, co wskazuje na tragizm położenia Ukrainy.

Victoria Nuland była niewątpliwie jednym z głównych przedstawicieli frakcji „jastrzębi” w Waszyngtonie, tj. zwolenników militarnego interwencjonizmu USA na świecie, a na przestrzeni trzech dekad swej kariery urosła do rangi najbardziej wpływowych neokonserwatystów w arkanach amerykańskiej polityki. Być może wpływy jej oraz szerszego establishmentu, który skądinąd współtworzyła, były przeszacowane, zwłaszcza w ostatnich latach, kiedy Rada Bezpieczeństwa Narodowego z Jakiem Sullivanem na czele przejęła częściowo odpowiedzialność za amerykańską politykę zagraniczną. Niemniej jest prawdą, że Victoria Nuland była w swej karierze bardzo blisko, a z biegiem czasu nawet w samym sercu ośrodków decyzyjnych tejże polityki, a motywem przewodnim jej nietypowego cursus honorum był właśnie żarliwie wyznawany przez nią neokonserwatyzm.

CLINTON, BUSH, TRUMP

Nietypowość jej kariery wiąże się bowiem z dwoma czynnikami. Po pierwsze, praktycznie od samego początku Nuland pracowała na styku świata polityki i świata urzędniczego, w miejscu, gdzie urzędnik staje się odpowiedzialny za politykę, a polityk jest przede wszystkim urzędnikiem, w tym wypadku Departamentu Stanu. Swoistość ta występowała od samego początku jej kariery, którą rozpoczęła w Moskwie, tuż po zakończeniu zimnej wojny, jako „oficer polityczny” tamtejszej placówki dyplomatycznej. Po drugie, Nuland rozwijała się w tej specyficznej roli niezależnie od partii będącej aktualnie w USA u władzy, będąc beneficjentem neokonserwatyzmu łączącego ponad podziałami frakcje republikanów i demokratów w Waszyngtonie. Bardziej kojarzona z demokratami Nuland pracowała pierwotnie zarówno dla ekipy Billa Clintona, jak i George’a Busha juniora – doradzała nawet jego wiceprezydentowi Dickowi Cheneyowi, kiedy to amerykański interwencjonizm święcił triumfy w Iraku i Afganistanie, co następnie prezydent Bush, republikanin, wynagrodził jej nominacją na prestiżowe stanowisko ambasadora USA przy NATO. W dobie rządów Baracka Obamy Nuland objęła wpływową tekę asystenta sekretarza stanu do spraw Europy i Euroazji, stając się głównym amerykańskim dyplomatą na Europę w przededniu ukraińskiego Majdanu.

To właśnie wówczas usłyszał o niej świat, kiedy w świetle kamer firmowała w Kijowie amerykańskie wsparcie dla tego kluczowego, z punktu widzenia obecnej wojny, zwrotu w historii Ukrainy, który Zachód kwalifikował jako narodowe powsta-

eprasa.pl 948c8be978

nie, a Rosja – jako polityczny przewrót. Niezależnie od trafności tych punktów widzenia Nuland zadbała wówczas, aby Majdan był przede wszystkim proamerykański – wyciek jej telefonicznych instrukcji dla ambasadora USA w Kijowie świadczył o tym, że Stany Zjednoczone zamierzały bez ogródek ograć w tej rozgrywce, oprócz Rosji, także Unię Europejską, a sama Nuland wyznaczała wówczas kadry osobowe do mającego powstać nowego ukraińskiego rządu.

Wymowną cezurę w jej karierze stanowiła prezydentura Donalda Trumpa, kiedy to Nuland sama wycofała się z Departamentu Stanu celem przewodniczenia ośrodkowi na rzecz nowego amerykańskiego bezpieczeństwa. Był to think tank będący przedłużeniem współtworzonego ongiś przez jej męża Roberta Kagana (dyżurnego amerykańskiego neokonserwatysty) projektu na rzecz nowego amerykańskiego stulecia. Po zwycięstwie Joe Bidena Nuland powróciła do Departamentu Stanu, do jego ścisłej czołówki, pełniąc nawet przez część 2023 r., po odejściu na emeryturę wicesekretarz stanu Wendy Sherman, rolę zastępcy Antony'ego Blinkena. To właśnie ta okoliczność, jak twierdzi amerykańska prasa, miała zaważyć na przedwczesnej rezygnacji Nuland z Departamentu Stanu, kiedy to w lutym br., w ramach wewnętrznej rywalizacji, schedę po Sherman przejął oficjalnie Kurt Campbell – nominacja tego ostatniego, będącego architektem strategii azjatyckiej Joe Bidena, miała być zresztą znakiem, że priorytetem dla amerykańskiej polityki zagranicznej są właśnie Chiny, a nie Rosja.

PONURE REALIA

Rozbieżności w ocenie jej dokonań są interesujące. Laurka, którą wystawił jej Antony Blinken, była na pierwszy rzut oka gloryfikacją: „Ucieleśniła ona zaangażowanie prezydenta Bidena umieszczenia dyplomacji w centrum naszej polityki zagranicznej i rewitalizacji globalnego przywództwa Ameryki w kluczowym dla naszego narodu i dla świata czasie […]. Przez ostatnie trzy lata Toria [zdrobnienie od Victorii] kierowała tym Departamentem we wszelkich kwestiach, począwszy od mierzenia się z kompleksowymi kryzysami w Sahelu, na Haiti i na Bliskim Wschodzie, a na poszerzeniu i wzmocnieniu sojuszów Ameryki i sieci partnerstw w Europie i strefie Indo-Pacyfiku kończąc. Ale to jej przywództwo w kwestii Ukrainy będzie tym, które dyplomaci i studenci będą studiowali w nadchodzących latach. Jej wysiłki były nieodzowne, by stawić czoła pełnoskalowej inwazji Ukrainy przez Putina, zorganizować globalną koalicję mającą doprowadzić do jego strategicznej porażki oraz dopomóc Ukrainie pracować dla nastania dnia, kiedy to będzie w stanie stanąć o własnych nogach – demokratycznie, ekonomicznie i militarnie […]. Jesteśmy tak wdzięczni za służbę Torii i piętno, jakie wywarła na tej instytucji i na świecie".

Otóż jeśli przyjrzeć się bliżej tym słowom, kryje się w nich kilka niespodzianek. Sekretarz stanu USA podkreślił, że w zasadzie w ostatnich latach cała działalność Nuland skupiła się na zarządzaniu gorącymi dossier. Tu pojawia się pytanie właściwe wobec neokonserwatystów, skorych nawet do siania chaosu w służbie amerykańskiej hegemonii, jakimi strategią i motywami się kierowała w swej działalności. Dossier Bliskiego Wschodu dyplomatka ta pozostawia bądź co bądź w stanie wojny palestyńsko-izraelskiej o potencjale dalszego konfliktu regionalnego, a w przypadku wspominanej Haiti odejście Nuland zbiegło się akurat w czasie z faktycznym rozpadem tamtejszego państwa, ogarniętego anarchią gangów i abdykacją władzy centralnej.

Dyskusyjny przydomek Księżnej Ciemności, który nadał jej przy okazji jej rezygnacji konserwatywny brytyjski „The Spectator", z pewnością pasuje do pozostawionego przez nią dramatycznego stanu rzeczy również na Ukrainie; takie są bowiem ponure realia, niezależnie od tego, czy brzmi to obrazoburczo i czy ona za nie odpowiada. Natomiast sama skuteczność jej polityki bezwzględnego podporządkowania Ukrainy interesom USA (Nuland nie chodziło przecież o przeciągnięcie Ukrainy na samą stronę Zachodu, ponieważ Unia Europejska miała być w tym manewrze „wyje.ana", jak prostodusznie wyznała w 2014 r.), w której to Ukraińcy dostrzegali szansę ich dziejowej emancypacji względem Rosji, będzie mogła zostać oceniona dopiero post factum, ujmując także i przede wszystkim bilans strat ludzkich tej wojny o niepodległość Ukrainy, będącej jednocześnie zastępczą wojną Rosji i USA. Przy czym właśnie Blinken niechcący swą aprecjację sformułował w taki sposób, że równie dobrze w przypadku klęski to Nuland i jej „piętno" mogą posłużyć za kozła ofiarnego, a pamiętajmy, że „Skała Tarpejska blisko Kapitolu leży". Za ewentualnej prezydentury Donalda Trumpa ocenie Blinkena równie dobrze przyszły rząd USA mógłby nadać nieco barw z kategorycznego podsumowania w „The Spectator": „Nuland sprawia ogólne wrażenie niereformowalnego »jastrzębia« i rusofoba motywowanego neokonserwatywną ideologią oraz założeniami amerykańskiej wyjątkowości, który nierozważnie doprowadził do rosyjskiej interwencji na Ukrainie i jest w dużej mierze odpowiedzialny za napędzanie trwającej wojny. Ma się rozumieć, nie ma wątpliwości, że to Nuland odegrała kluczową rolę w zmianie reżimu w Kijowie 10 lat temu".

Ta jedna z najsurowszych konstatacji, którą znalazłem w zachodnich mediach, ma zaletę postawionego już przeze mnie pytania o motywy dotychczasowej polityki Victorii Nuland. Jeśli to głównie perspektywa historyczna umożliwia sformułowanie szeroko ujętej oceny danej polityki, to w tym wypadku już teraz można zadać pytanie o roztropność samego planu Nuland (a które nie jest pytaniem o słuszność sprawy), jeśli rzeczywiście był on głównie motywowany ideologią neokonserwatyzmu. Jest to jednak na razie pytanie bardziej publicystyczne, ponieważ – jak puentował z kolei „The American Conservative" – „obsada może się zmienić, scenariusz pozostaje ten sam". Administracja prezydenta Bidena nie zmieni zasadniczego kursu w kwestii ukraińskiej, z tą drobną różnicą, że ochoczo pozwala obecnie swym europejskim partnerom grać pierwsze skrzypce, jeśli chodzi o przejęcie inicjatywy konfrontacji werbalnej (na razie) z Rosją. A ponieważ nie wiemy, co przewiduje „scenariusz" na wypadek „W" w postaci możliwej klęski militarnej Ukrainy i czy przypadkiem to nie na tę okoliczność Victoria Nuland przedwcześnie zakończyła swą błyskotliwą karierę dyplomatyczną, to właśnie roztropność, a nie słuszność, a tym bardziej neokońska ideologia, musi być wyznacznikiem numer jeden naszego postępowania.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 948c8be978

Być albo nie być

Strefy czystego transportu to być albo nie być dla mieszkańców miast! – pisze w liście do naszej redakcji, w odpowiedzi na wywiad „Bękarty ekorewolucji" („DRz" nr 4/2024), dr inż. Tadeusz Kopta. Poniżej treść listu, a na kolejnych stronach odpowiedź Łukasza Warzechy

W „Do Rzeczy" nr 4/2024 ukazał się wywiad ze Sławomirem Skibą, liderem ruchu Nie Oddamy Miasta, przeciwnikiem stref czystego transportu. I dobrze, że przeciwnicy zabierają głos, przedstawiając swoje poglądy, ale należało udzielić głosu także zwolennikom stref czystego transportu (SCT). Nie jestem lewakiem, lecz konserwatystą identyfikującym się z wartościami, które przyświecają redakcji konserwatywnego czasopisma, ale jako specjalista zajmujący się od 40 lat zagrożeniami motoryzacyjnymi nie mogę milczeć, gdy czytam wywiad z przeciwnikiem strefy czystego transportu. Zagrożenia motoryzacyjne to tysiące związków chemicznych emitowanych przez samochodowe spaliny. To także problem ponadnormatywnego hałasu i wibracji, gigantycznej wypadkowości, marnowania cennej energii, niewystarczającej ilości zieleni, a przede wszystkim braku przestrzeni dla samochodu w miastach.

Dwaj naukowcy – Lewis (1977) i Mogridge (1990) – w wyniku badań sformułowali prawo o braku możliwości rozwiązania problemów komunikacyjnych miast przy pomocy samochodu. To prawo powiada, że nie ma możliwości, aby każdy mógł swobodnie korzystać w miastach z samochodu. Potwierdzili je też polscy naukowcy. Zatem ograniczenie użytkowania samochodu w miastach nie jest łamaniem praw obywatelskich i konstytucyjnych, lecz odpowiedzią na obiektywnie działające prawo fizyczne.

Trudno zrozumieć podnoszony przez przeciwników SCT zarzut nierówności wobec prawa, gdyż każdy obywatel mający prawo jazdy będzie miał prawo wjechać do strefy czystego transportu, pod warunkiem że zrobi to, jadąc pojazdem spełniającym normy czystości spalin. Przecież zakaz wjazdu rowerem czy ciągnikiem rolniczym na autostradę nie stanowi nierówności wobec prawa ani nie narusza prawa własności, jest natomiast logiczną konsekwencją założonego charakteru ruchu i warunków jego bezpieczeństwa. Podnoszone przez przeciwników rzekome łamanie praw obywatelskich musi być skonfrontowane z najważniejszym prawem, którym jest prawo do życia w czystym środowisku. Tymczasem to środowisko, zwłaszcza w miastach, jest poważnie skażone samochodowymi spalinami i hałasem.

Bękarty ekore

TLEN NA SPALINY

W miastach samochody są zagrożeniem numer jeden, gdyż emitują spaliny bezpośrednio na wysokości nosa małego dziecka, a są to emisje o dużym stężeniu. Mieszkamy, pracujemy, uczymy się i odpoczywamy przy ulicach, gdzie cały czas oddychamy spalinami. Samochody trują: tlenkami azotu, tlenkiem węgla, benzenem, rakotwórczymi i toksycznymi policyklicznymi aromatycznymi węglowodorami PAH, dioksynami, furanami, metalami ciężkimi (takimi jak arsen, ołów, kadm, miedź, chrom, rtęć, nikiel, selen, cynk), ultradrobnymi pyłami i wieloma innymi substancjami. To wszystko składa się na tysiące związków chemicznych. Do tego dochodzą emisje ze ścierania: opon, tarcz sprzęgieł, hamulców, nawierzchni, a także wtórnego pylenia. Przeciętne średnie drzewo liściaste wytwarza w ciągu godziny ok. 1,2 tys. litrów tlenu, człowiek zużywa ok. 30, a samochód 6 tys. litrów zamienia w spaliny.

> **Trzeba mieć nadzieję, że zwycięży rozsądek wynikający z wiedzy naukowej, a nie popieranie szkodliwych społecznie zachowań komunikacyjnych**

W lecie, gdy nikt nie pali w piecu, występuje groźny fotochemiczny smog typu kalifornijskiego. To właśnie w Kalifornii po raz pierwszy go odkryto i stał się powodem do wprowadzenia tam radykalnych norm czystości samochodowych spalin. W Krakowie tylko w sierpniu 2023 r. mieliśmy dziewięć dni ze smogiem fotochemicznym. To dni z piękną, upalną pogodą i trudno powiedzieć ludziom: „siedźcie w domu, bo mamy smog", gdy każdy chce popływać. Same samochody wystarczą do zatruwania Krakowa. Według norm WHO w sierpniu 2023 r. średniodobowy dopuszczalny poziom zanieczyszczenia powietrza był przekroczony przy al. Krasińskiego w przypadku: NO_2 przez 19 dni, PM2,5 przez 17 dni.

Bardzo liczne badania wskazują, że te skażenia powodują: choroby układu oddechowego, nowotwory, alergie, choroby krążenia i serca, zatrucia. Dzieci mieszkające w pobliżu ruchliwych dróg narażone są na większe ryzyko chorób układu oddechowego. Najbardziej tragiczne dane podają europejskie i światowe statystyki, gdyż rocznie ok. 100 tys. ludzi traci przedwcześnie życie w UE, a w świecie 1,2 mln

eprasa.pl 948c8be978

dla mieszkańców miast

Podłożem wszystkich tych neomarksistowskich projektów jest eliminacja własności prywatnej

Słowomir Skiba – publicysta i redaktor magazynu „Polonia Christiana", wiceprezes Instytutu im. ks. Piotra Skargi, lider ruchu Nie Oddamy Miasta.

31

FOT. JAN

z powodu samochodowych spalin. W Krakowie jest to 420 mieszkańców rocznie i tę liczbę należy traktować jako minimum, a do tego dochodzą tysiące mieszkańców zmagających się z różnymi dolegliwościami. Szwecja jest jednym z krajów o najmniej zanieczyszczonym powietrzu, a mimo to zarejestrowano tam 2850 zgonów w ciągu roku z powodu samochodowych spalin, a emisje ścierania: opon, tarcz sprzęgieł, hamulców, nawierzchni powodują 215 zgonów rocznie.

Z tego powodu od wielu lat środowiska naukowe przestrzegały i domagały się ograniczenia ruchu samochodowego w miastach. Dopiero w 2011 r. Komisja Europejska wysłuchała głosów ekspertów i w Białej Księdze europejskiej polityki transportowej zapowiedziała konieczność wyeliminowania do 2050 r. samochodów spalinowych z miast. Jeszcze wcześniej, bo przed 2011 r., Komisja Europejska zaczęła narzucać na przemysł motoryzacyjny coraz bardziej restrykcyjne normy emisji spalin. I tak w 1993 r. wprowadzono normę Euro 1/I, a następnie w kolejnych latach zaostrzano te normy, dochodząc do Euro 6/VI w 2014 r. Niestety, w Polsce nikt się tym nie przejął, a entuzjaści motoryzacji sprowadzali do Polski samochody wycofane z krajów zachodnich z powodu wprowadzania tam m.in. stref czystego transportu.

Na koniec 2022 r. w Europie było 320 SCT, w tym 172 we Włoszech, a do końca 2025 r. ma być ich w Europie 500. Od 2011 r., a nawet wcześniej, był czas, aby właściciele wymienili pojazdy niespełniające norm na samochody, które będą dopuszczone do stref czystego transportu. Zwłaszcza że w pierwszym etapie te strefy nie będą zbyt wymagające. Niestety, nie skorzystali z tego, a teraz kosztami swojego zaniechania chcą obciążyć całe społeczeństwo. Prawo własności, na które się powołują, musi być podporządkowane prawu, które wynika z badań naukowych określających normy chroniące człowieka i jego środowisko, a te normy także są coraz bardziej rygorystyczne.

W INTERESIE NAS WSZYSTKICH

Dbałość o ludzi o niższym statusie społecznym czy ekonomicznym jest ważna, ale prezentowane przez nich podejście stanowiłoby niebezpieczny precedens, daleki od deklarowanej kultury prawnej. Należy zwrócić uwagę na właścicieli, którzy od 2011 r. podejmowali działania na rzecz posiadania odpowiednich dla strefy czystego transportu pojazdów. Unieważnienie uchwały oznacza, że praworządni są na straconej pozycji. Gdzie tutaj zatem mowa o równości prawa? Unieważnienie uchwały promuje postawę negującą praworządność i sprzyjającą anarchizowaniu pozytywnych rozwiązań! Obsługa strefy czystego transportu powinna natomiast, zgodnie z art. 20 konstytucji, stać się elementem gry rynkowej, w której każdy ma możliwość działania, o ile spełnia warunki.

Zrównoważony transport nie ma nic wspólnego z jakąkolwiek ideologią, gdyż jest techniczną odpowiedzią na niemożliwość rozwiązania problemów komunikacyjnych miast przy pomocy samochodu. A protestowanie przeciwko takiej organizacji transportu jest brakiem podstawowej wiedzy z zakresu inżynierii komunikacyjnej. Przeciwnicy zrównoważonego transportu zamiast zapoznać się z tą wiedzą, brną w nieuctwo! Trzeba postawić pytanie: Czy oni mają rację, skoro środowisko naukowe lekarzy od lat pokazuje swoje tragiczne wyniki badań? Przedstawiciele także innych dziedzin nauki pokazują, jak poważnie są zagrożeni mieszkańcy miast przez samochodowe spaliny! Strefy czystego transportu to być albo nie być dla mieszkańców miast! Trzeba mieć nadzieję, że zwycięży rozsądek wynikający z wiedzy naukowej, a nie popieranie szkodliwych społecznie zachowań komunikacyjnych!

dr inż. Tadeusz Kopta, specjalista inżynierii komunikacyjnej, rzeczoznawca SITK, były biegły sądowy

eprasa.pl 948c8be978

FOT. ADOBE STOCK

Nieczyste zagrania z czystymi strefami

Łukasz Warzecha

Choć Czytelnik przekonuje (na stronie 48) do Stref Czystego Transportu, ja nie mam wątpliwości: SCT to narzędzie do pozbawienia ludzi możliwości korzystania z samochodów

Szczęśliwie nie udało się udawać, że strefy czystego transportu są w polskich miastach wprowadzane bez społecznego oporu. W Warszawie, Krakowie, we Wrocławiu całkowicie spontanicznie powstały środowiska buntujące się przeciwko temu rozwiązaniu. O ten element antysamochodowej polityki trwają batalia i spory, wiadomo już jednak, że jego wprowadzenie przy powszechnej akceptacji nie będzie możliwe.

Głosem w tej batalii jest tekst pana Tadeusza Kopty – niestety, oparty na wielu mitach, przeinaczeniach, nieporozumieniach oraz niewiedzy. Przynajmniej część z nich postaram się tutaj wskazać, zaczynając od bardziej szczegółowych, a potem przechodząc do fundamentalnych.

Przywoływani przez autora David Lewis i Martin Mogridge nie sformułowali żadnego „prawa", a jedynie twierdzenie (ang. position) – co jest czymś kompletnie innym. Nie ma ono charakteru absolutnego, powszechnego i nie zostało w żaden doświadczalny sposób potwierdzone w Polsce. Twierdzenie nie dotyczy też w żadnym razie tego, że – jak pisze pan Kopta – „nie ma możliwości, aby każdy mógł swobodnie korzystać w miastach z samochodu".

Lewis i Mogridge stwierdzili natomiast w pracach wydanych w latach 70. i 90., że poszerzanie ulic i budowa nowych nie prowadzą do rozładowania zatorów, ale je wręcz powiększają. Tłumaczyli swoje tezy tym, że nowa droga zachęca kolejne grupy kierowców do korzystania z niej. Mają to być kierowcy, którzy dotąd unikali jazdy podczas szczytu, którzy wybierali inne drogi oraz tacy, którzy korzystali wcześniej z komunikacji miejskiej.

SOCJOLOGOWIE KONTRA CODZIENNE ŻYCIE

Jak nietrudno zauważyć, prawdziwości tego twierdzenia zaprzecza nawet codzienne życie. Gdyby bowiem było ono prawdziwe, działałoby również w drugą stronę: zwężanie ulic zniechęcałoby do korzystania z aut, a więc nie powiększałoby korków. Lecz w Warszawie i innych dużych miastach widzimy – i pokazują to badania natężenia ruchu – że to nieprawda.

Lewis był Kanadyjczykiem, a Mogridge Brytyjczykiem i tam robili swoje badania, opierając się na określonych wzorcach zachowań kierowców. Nie mamy więc do czynienia z nauką ścisłą, ale z socjologią transportu. Wzorce zachowań, które mogą się sprawdzać w niektórych krajach, nie muszą wcale sprawdzać się w Polsce. I się nie sprawdzają.

Przede wszystkim zaś, przytaczając wątpliwe twierdzenie Lewisa i Mogridge'a, pan Kopta miesza zagadnienia. SCT nie mają bowiem oficjalnie służyć generalnemu „odsamochodowieniu" miast – choć wiemy, że tak jest faktycznie – ale spowodować, że poziom zanieczyszczeń będzie niższy. I do tej części uzasadnienia trzeba się głównie odnosić.

I tutaj w swoim wywodzie pan Kopta się myli. Korzystając z danych NASA oraz danych o natężeniu ruchu drogowego, organizacje pozarządowe sprzeciwiające

eprasa.pl 948c8be978

się SCT sprawdziły, jak wyglądała obecność w powietrzu dwutlenku azotu oraz pyłów zawieszonych w okresie pandemii, gdy ruch samochodowy w Warszawie zmalał o 80 proc. Rezultaty tej weryfikacji były prezentowane m.in. podczas warszawskiego Kongresu Mobilności w maju ubiegłego roku czy podczas zorganizowanych oddolnie konsultacji w sprawie SCT we Wrocławiu w czerwcu. Wbrew sianej przez zwolenników strefy propagandzie okazuje się, że zmniejszyła się zawartość wyłącznie NO_2, a i to jedynie bardzo nieznacznie, o zaledwie kilkanaście procent, co było kompletnie niewspółmierne ze zmniejszeniem się ruchu samochodowego. Wniosek jest oczywisty: problemem są emisje z ogrzewania, a nie z transportu indywidualnego. Przywołując te same źródła danych, pokazano także sytuację w miastach takich jak Londyn czy Amsterdam, gdzie od dawna działają bardzo restrykcyjne i zaawansowane SCT. Okazuje się, że poziom emisji szkodliwych substancji jest tam radykalnie wysoki – mimo istnienia stref od dawna.

Przy okazji warto zauważyć, że polskie podejście do SCT jest skrajne. W ostatnim etapie eliminowane mają być wszystkie samochody spalinowe poza spełniającymi normę Euro 6 (obecnie najnowszą), tymczasem np. w Niemczech do tamtejszych Umweltzone mogą wjeżdżać wszystkie pojazdy spełniające co najmniej normę Euro 4 (nie istnieje „wyższa" wersja Umweltplakette – naklejki na szybę – niż właśnie z czwórką), a do niektórych nawet takie z Euro 2. Przeciwnicy stref w Polsce wskazują, że ustawodawca podszedł do sprawy w absurdalny sposób. Istnieją bowiem modele pojazdów, faktycznie spełniające wyższą normę niż ta wpisana w dowodzie rejestracyjnym, jednak w chwili ich wyprodukowania ta wyższa norma po prostu formalnie nie istniała. Faktycznie zatem spełniają one kryteria, pozwalające wjeżdżać do SCT (do określonego roku), jednak z przyczyn czysto formalnych nie będą tego mogły robić.

PROBLEMY PRAWNE

Kolejnym nieporozumieniem jest stwierdzenie: „Trudno zrozumieć podnoszony przez przeciwników SCT zarzut nierówności wobec prawa, gdyż każdy obywatel mający prawo jazdy będzie miał prawo wjechać do strefy czystego transportu pod warunkiem, że zrobi to, jadąc pojazdem spełniającym normy czystości spalin. Przecież zakaz wjazdu rowerem czy ciągnikiem rolniczym na autostradę nie stanowi nierówności wobec prawa ani nie narusza prawa własności, jest natomiast logiczną konsekwencją założonego charakteru ruchu i warunków jego bezpieczeństwa".

Zarzut niekonstytucyjności i naruszenia praw obywatelskich – dobrze przeanalizowane i podbudowane argumentacją prawną w niedawnym raporcie opracowanym przez Instytut na rzecz Kultury Prawnej Ordo Iuris – dotyczy przede wszystkim osób zamieszkujących w strefie. Analitycy Ordo Iuris wskazali:

„[…] wprowadzenie stref może wywoływać uzasadnione obawy z perspektywy proporcjonalności i konieczności zastosowania tego środka do niwelowania szkodliwych substancji z atmosfery. […] wprowadzenie strefy oznacza ograniczenie gwarantowanego przez art. 52 Konstytucji prawa do swobodnego poruszania się po terytorium Rzeczypospolitej. Naruszone byłoby również prawo własności ujęte w art. 64 ustawy zasadniczej. Jego istotą jest bowiem możliwość korzystania z rzeczy zgodnie z jej głównym przeznaczeniem, np. wykorzystywanie pojazdu jako środka transportu. Wprowadzenie strefy dotknęłoby szczególnie rodziny wielodzietne, ludzi w podeszłym wieku czy osoby uboższe, które nie mogą sobie pozwolić na zakup nowszego samochodu".

Użyta przez pana Koptę analogia z zakazem wjazdu niektórych rodzajów pojazdów jest błędna. W przypadku SCT mówimy o sytuacji, w której mieszkający w SCT właściciel pojazdu zarejestrował go legalnie, pojazd jest stuprocentowo sprawny, a mimo to ów właściciel straci faktycznie prawo do dysponowania pojazdem. Nie otrzyma też w związku z tym żadnego odszkodowania, a jego pojazd straci drastycznie na wartości w związku z niespełnianiem arbitralnie narzucanych norm.

To coś zasadniczo innego niż sytuacja kierowcy, który może swoim pojazdem swobodnie dysponować, ale nie może nim wjechać np. na autostradę. Przypomina ona raczej tę, w której znaleźli się właściciele domów z legalnie wybudowanymi kominkami w momencie, gdy niektóre gminy zaczęły zakazywać korzystania z nich – również nie przewidując żadnego odszkodowania dla ich właścicieli. Niektórzy z nich postanowili skierować sprawy do sądu. Zapadły już pierwsze korzystne dla nich wyroki.

Bardzo groźne, gdy idzie o potencjalne konsekwencje, byłoby podejście prezentowane przez autora: „Podnoszone przez przeciwników rzekome łamanie praw obywatelskich musi być skonfrontowane z najważniejszym prawem, którym jest prawo do życia w czystym środowisku". Szczęśliwie polska konstytucja ani żaden inny międzynarodowy akt – ani też żaden pozaprawny katalog praw człowieka – nie mówi o „najważniejszym prawie do życia w czystym środowisku". Gdyby takie prawo istniało, oznaczałoby ono nieustające starcia sądowe zwolenników normalnego rozwoju z oszalałymi luddystami, domagającymi się zwinięcia cywilizacji. Coś takiego widzimy – szczęśliwie nie na salach sądowych, chyba że owi luddyści występują tam jako oskarżeni o działania quasi-terrorystyczne. To konsekwencja fanatycznych wyskoków członków organizacji takich jak Ostatnie Pokolenie.

MAMY PRAWO SIĘ PRZEMIESZCZAĆ

Rozwój zawsze niesie ze sobą określone koszty, również środowiskowe. Jeśli zaś zastanawiamy się już nad katalogiem podstawowych praw, tak jak wymienia je choćby polska konstytucja, to są wśród nich przede wszystkim prawo własności oraz prawo do swobodnego przemieszczania się – wyraźne ograniczane poprzez wprowadzanie stref.

Pan Kopta oznajmia, że „zrównoważony transport nie ma nic wspólnego z jakąkolwiek ideologią". Jest dokładnie odwrotnie. „Zrównoważony transport" to jedno ze stricte ideologicznych, bełkotliwych sformułowań kluczy, używanych namiętnie w antysamochodowych dokumentach Unii Europejskiej, a także w raportach wspierających taki kierunek organizacji. Inne to m.in. „zrównoważona mobilność", „aktywna mobilność", „elastyczny transport". Cel wszystkich przedsięwzięć podobnych do SCT jest jeden: zniechęcić obywateli do swobodnego korzystania z własnego, indywidualnego transportu samochodowego, a ostatecznie pozbawić ich tej możliwości.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 948c8be978

Papież Franciszek i przewodniczący Konferencji Episkopatu Niemiec Georg Bätzing FOT. VM/SHUTTERSTOCK/EAST NEWS

Triumf Lutra

Paweł Chmielewski

Kościół katolicki jako odrębna wspólnota, o własnych zasadach i doktrynie, w wielu diecezjach świata zachodniego przestaje istnieć. Granice między katolickością a protestantyzmem stają się wyłącznie jurysdykcyjne: ktoś podlega papieżowi, a ktoś nie, ale nie niesie to ze sobą żadnych zauważalnych skutków. Dotyczy to również tego, co dla Kościoła najcenniejsze – Eucharystii

Katoliccy biskupi zaczynają udzielać Komunii Świętej wszystkim, nawet jeżeli są to osoby otwarcie odrzucające katolickie dogmaty; ludziom, którzy jeszcze do niedawna chleb ze swoich nabożeństw rzucali zwierzętom. Tak zrobiono w Osnabrück w Niemczech; do tego samego szykuje się już kolejna diecezja.

Zanim przejdę do najnowszych wypadków, kilka słów wstępu o poglądach eucharystycznych protestantów; w tej kwestii panuje bowiem pewna nieświadomość. Rewolucja protestancka, oprócz wypowiadania posłuszeństwa papieżowi, grabienia kościelnych majątków i głoszenia różnych szczegółowych herezji, zwróciła się również przeciwko Eucharystii. Nie miejsce tu na drobiazgowe omówienie tego problemu, dość powiedzieć, że Luter, Zwingli, Melanchton, Kalwin i inni samozwańczy reformatorzy nie zachowali katolickiego rozumienia Najświętszego Sakramentu. Zaczęli widzieć w nim raczej symbol albo znak obecności Jezusa; nawet jeżeli mówili o realnej obecności, to mieli na myśli coś fundamentalnie odrębnego od nauki Kościoła, mówiącej o substancjalnym przeistoczeniu materii chleba i wina w Ciało i Krew Chrystusa. Te zapatrywania przeszczepili wszystkim powstałym na gruncie reformacji wspólnotom. Można dziś powiedzieć, że chrześcijaństwo dzieli się po liniach oceny Eucharystii: katolicy i prawosławni spożywają Ciało i Krew Zbawiciela, protestanci – coś, co symbolizuje Ostatnią Wieczerzę albo w jakiś sposób „odsyła" do osoby Chrystusa. Dlatego to właśnie protestanci byli już w XVI w. wielkimi promotorami udzielania Komunii Świętej na rękę, chcąc w ten sposób widzialnie zwalczyć „papistowski przesąd" o Eucharystii.

ZWIERZCHNICTWO PAPIEŻA I EUCHARYSTIA

Przez wieki Kościół katolicki stał na jasnym stanowisku: chrześcijanie, którzy są dziedzicami tradycji rewolucyjnych, powinni wrócić do jedności z Kościołem, to znaczy uznać zwierzchność papieża oraz przyjąć całość nauki katolickiej, zwłaszcza w kwestii Eucharystii. W XIX stuleciu katoliccy moderniści uważali tę postawę za relikt przeszłości i nawoływali zwierzchników w Kościele do wejścia na inną drogę. Różnice nie miałyby już odgrywać większej roli w obliczu wyznawania kilku wspólnych prawd, takich jak istnienie Boga, boskość Chrystusa (jakkolwiek rozumiana w szczegółach) czy sakramentalny charakter chrztu.

Siła oddziaływania tych poglądów wzrosła na Zachodzie radykalnie po drugiej wojnie światowej, szczególnie w Europie niemieckojęzycznej. W latach 60. częściowo uległ im papież Jan XIII, nadając Soborowi Watykańskiemu II głęboki charakter ekumeniczny i dialogiczny. W epoce posoborowej ekumenizm rozwijał się w wielu dziedzinach i obszarach. A jednak pomimo dużego zbliżenia pozostawały dwa fundamentalne problemy: zwierzchnictwo papieża i Eucharystia. W gruncie rzeczy są nierozwiązywalne; pomimo dialogicznej postawy papieży posoborowych rzeczywistość nie uległa przecież zmianie i tak samo jak w czasach Lutra zjednoczenie chrześcijan jest możliwe tylko wówczas, gdy protestanci poddadzą się papieżowi i przyjmą katolicką wiarę, czyli, mówiąc krótko, wrócą do Kościoła.

Chyba żeby Kościół katolicki zrezygnował z głoszonych przez siebie zasad; żeby wyszedł naprzeciw doktrynalnym zastrzeżeniom protestantów i stwierdził, że posłuszeństwo papieżowi i wiara w Eucharystię nie są wcale potrzebne do zbawienia, to znaczy są to rzeczy ostatecznie drugorzędne, bo to, co się liczy, to po prostu jakkolwiek pojęta deklaracja bycia uczniem Chrystusa. Byłoby to wprawdzie odrzuceniem swojej własnej nauki albo nawet jej zwyczajną zdradą, ale niewątpliwie umożliwiłoby wszystkim zainteresowanym stronom utrzy-

eprasa.pl 948c8be978

mywanie, że została osiągnięta „jedność" – wprawdzie nikt się ze sobą nie zgadza, ale niezgoda, która w XVI stuleciu prowadziła do anatem, dziś zostaje uznana za uprawnioną różnorodność.

Niemożliwe? Nie dla papieża Franciszka. Za jego pontyfikatu to właśnie się dzieje: granice katolicyzmu ulegają błyskawicznemu rozszerzeniu, ogarniając coraz to kolejne grupy ludzkie. Docelowo, jak się zdaje, proces ten ma na celu włączenie całej ludzkości do Kościoła, to znaczy przyporządkowania każdego człowieka do Kościoła na zasadzie wspólnej tożsamości, nagiego człowieczeństwa. Niestety, dzieje się to również w dziedzinie dostępu do sakramentów. Oficjalnie Franciszek nie zmienia nauczania, ale biernie patrzy na to, jak robią to inni.

W ubiegłym roku 2023 przełomowe decyzje w tym zakresie podjęli Niemcy z diecezji Osnabrück (Dolna Saksonia). To nie byle jaka diecezja: została założona pod koniec VIII w. przez samego Karola Wielkiego. Do ubiegłego roku jej ordynariuszem był bp Franz-Josef Bode, były wiceszef Konferencji Episkopatu Niemiec, wielki zwolennik reformistycznej niemieckiej „drogi synodalnej". Przeszedł na emeryturę z powodu choroby, ale zadbał o to, by po jego rezygnacji w diecezji było o czym rozmawiać. W czerwcu ogłosił dokument pt. „Wstań, jedz, bo przed tobą długa droga". Jego regulacje weszły od razu w życie w katedrze w Osnabrück, a od początku tego roku zaczęły być promowane w całej diecezji. Tekst wprowadza tak naprawdę jedną, ale niezwykle znaczącą zmianę: pozwala katolikom i ewangelikom na „gościnność eucharystyczną". Protestant uczestniczący z jakiegoś powodu we Mszy Świętej może teraz na terenie diecezji przyjąć Komunię Świętą, a katolik obecny na protestanckiej Wieczerzy – spożyć tam chleb. Nie potrzeba do tego żadnych przygotowań; w przypadku protestanta nie jest konieczna nie tylko spowiedź, lecz także nawet wiara w realną obecność Pana Jezusa. O tej wierze w przypadku wspólnoty z Osnabrück zdecydowanie nie ma mowy. Lokalny pastor Günter Baum przyznał w niedawnym wywiadzie, że jeszcze do niedawna po nabożeństwach protestanci rzucali resztki chleba gęsiom. Dopiero teraz, odkąd mają na swoich nabożeństwach katolików, zaczęli traktować chleb z większym szacunkiem. W ten sposób w Osnabrück zrealizowano od strony formalnej ostateczny i właściwy cel ekumeniczny: wszyscy ochrzczeni mogą przystępować do Komunii Świętej.

JAWNE ZAPRZECZENIE NAUCE KOŚCIOŁA

Na to, co wydarzyło się w Dolnej Saksonii, nie ma żadnej reakcji Stolicy Apostolskiej. Nie chodzi o to, by nikt o tym nie wiedział; musiał słyszeć o tym choćby nuncjusz apostolski. Wszystko wskazuje na to, że Franciszkowi… to się po prostu podoba. W 2015 r. papież odwiedził rzymski luterański kościół Christuskirche. Odpowiadał na pytania zgromadzonych. Jedno z nich dotyczyło wspólnego przystępowania do Eucharystii przez mieszane małżeństwo katolicko-protestanckie. Papież zachęcił małżonków, by robili tak, jak chcą. Trzy lata później grupa kierująca Episkopatem Niemiec chciała dopuścić takie pary do Komunii w całym kraju. Urzędnicy Watykanu – nominaci Jana Pawła II i Benedykta XVI – nie wyrazili na to zgody. Niemcy pojechali osobiście do papieża; ten zgodził się, by wprowadzili taką zgodę – byleby nie robili tego w zbyt formalny sposób. Skończyło się na wydaniu wytycznych, które wzywają do podejmowania indywidualnych „decyzji sumienia".

Biskupi zza Odry poczuli się zachęceni do wykonania dalszych kroków. Już w 2019 r. grupa teologiczna złożona z katolików i protestantów ogłosiła obszerne studium pt. „Wspólnie u Stołu Pańskiego", którego teza brzmiała: nie ma żadnych przeszkód dla pełnej „gościnności eucharystycznej". Większość biskupów z Niemiec uznała to w efekcie za ostatecznie rozstrzygnięte. Szef episkopatu bp Georg Bätzing zapowiedział, że już w maju 2021 r. taka gościnność zostanie wprowadzona w całym kraju. Miało to oznaczać przełamanie podziału chrześcijaństwa wprowadzonego przez Lutra. Te niezwykle ambitne plany znowu zablokowali „starzy" kurialiści. Uważali, że Niemcy nie mogą samodzielnie, bez udziału papieża czy nawet soboru, dekretować osiągnięcia ostatecznych celów ekumenizmu. Niemcy nie ustąpili całkowicie; zmienili taktykę. Zamiast całego kraju, diecezja po diecezji… Zaczęło się w Osnabrück; analogiczne rozwiązania chce wprowadzić wkrótce jeszcze druga diecezja, Rottenburg-Stuttgart, obejmująca część Badenii-Wirtembergii.

W tak poważnej sprawie Stolica Apostolska powinna zainterweniować. Nie chodzi przecież o incydentalne naruszanie norm, ale o oficjalne wprowadzanie przez uprawnione władze kościelne rozwiązań, które w jawny sposób przeczą nauce Kościoła. Reakcji jednak nie ma i nie sądzę, by należało się jej spodziewać. Co więcej, w przestrzeni europejskiej ruch na rzecz interkomunii rozwija się bardzo szybko. Niedawno do wprowadzenia „gościnności eucharystycznej" wezwała papieża grupa katolików i protestantów z Holandii, w tym jeden z tamtejszych biskupów. Komunii Świętej protestantom udziela się też w wielu miejscach w Szwajcarii oraz Austrii. Franciszek wykonuje niezwykłe ruchy względem anglikanów, o czym pisałem wcześniej w „Do Rzeczy". W dokumentach Synodu o synodalności – wielkiej inicjatywy dyskusyjnej papieża, która ma przeobrazić Kościół – konsekwentnie mówi się, że główną podstawą tożsamości chrześcijańskiej jest chrzest, wspólny zarówno dla katolików, jak i protestantów. Polityka totalnej inkluzji ma swoje konsekwencje, w tym sakramentalne.

Rodzi się jednak fundamentalne pytanie: Jaką wiarę wyznają katolicy, którzy sądzą, że do Komunii Świętej można przystępować bez przynależności do Kościoła katolickiego, bez spowiedzi, bez wiary w wiele dogmatów, bez wiary, że Najświętszy Sakrament jest prawdziwie Ciałem Chrystusa? Nie jest to wiara katolicka: chyba żeby faktycznie przyjąć rozszerzone rozumienie tej wiary, w którym liczy się tak naprawdę już tylko chrzest. Jeżeli tak, to po co jednak cała doktryna i wszystkie wymogi moralne?

Nie spodziewam się, powtórzę to raz jeszcze, by Franciszek zainterweniował w sprawie Osnabrück i w innych podobnych przypadkach. Mam jednak nadzieję, że zrobi to jego następca. Sytuacja, w której katoliccy biskupi budują jedność z protestantami, zrywając jednocześnie jedność z własną wiarą, jest na dłuższą metę po prostu nie do utrzymania.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest publicystą portalu PCh24.pl.

eprasa.pl 948c8be978

Rotunda PKO w Warszawie po zniszczeniu w 1979 r.
FOT. ADAM URBANEK/PAP

„Smutni panowie” na tropie wybuchu w Rotundzie

Grzegorz Majchrzak

Czterdzieści pięć lat temu doszło do jednej z najtragiczniejszych i najgłośniejszych katastrof w historii PRL, czyli wybuchu w warszawskiej Rotundzie. Ważną rolę w wyjaśnianiu jej przyczyn odegrała Służba Bezpieczeństwa, w ramach sprawy pod kryptonimem Rotunda

W czwartek 15 lutego 1979 r. – ok. godz. 12.40 – centrum Warszawy wstrząsnęła potężna eksplozja. W powietrze – jak się później okazało – w wyniku wybuchu gazu wyleciała siedziba III Oddziału Powszechnej Kasy Oszczędności Banku Państwowego (PKO BP) mieszcząca się w budynku Rotundy u zbiegu ulicy Marszałkowskiej oraz Alej Jerozolimskich.

Niezależnie od prowadzonej akcji ratowniczej i zabezpieczenia miejsca tragedii niemal natychmiast rozpoczęto również działania dochodzeniowe (prowadziła je Milicja Obywatelska) oraz operacyjne (Służba Bezpieczeństwa). W Komendzie Stołecznej Milicji Obywatelskiej „w celu ustalenia faktycznych przyczyn zaistniałego wydarzenia, jak również dla uzyskania relacji bezpośrednich świadków, a także zabezpieczenia mienia społecznego na miejscu zdarzenia” utworzono specjalną (początkowo 10-osobową, a później 15-osobową) grupę operacyjną. Na jej czele stanął naczelnik Wydziału III „A” KS MO Andrzej Szafranowski, doświadczony funkcjonariusz SB z 20-letnim stażem.

Tempo działania bezpieki w przypadku tej tragedii było wręcz imponujące, gdyż grupę te utworzono już kwadrans po wybuchu (o godz. 12.55), a pierwsze rozmowy operacyjne z naocznymi świadkami jej funkcjonariusze mieli prowadzić już niespełna godzinę po katastrofie (od godz. 13.30). W efekcie do godz. 15.10 zdążyli porozmawiać z 25 osobami

eprasa.pl 948c8be978

(pracownikami banku oraz świadkami wybuchu, pracownikami pogotowia gazowego czy Urzędu Telekomunikacyjnego Warszawa-Śródmieście). W tym gronie znalazła się m.in. klientka banku, która kiedy wchodziła do siedziby banku, miała zostać ostrzeżona przez nieznaną kobietę przed wybuchem. Rozmowy te kontynuowano oczywiście w kolejnych godzinach oraz dniach. I tak np. kilkadziesiąt minut później (o godz. 16) od naczelnik wydziału administracyjnego w Rotundzie uzyskano informację o pracach spawalniczych prowadzonych przez dwóch pracowników Rzemieślniczej Spółdzielni w Grójcu w podziemiach Rotundy w dniu wybuchu – obaj niestety zginęli. Ich personalia oraz okoliczności wykonywanych przez nich prac – tak na marginesie typowej PRL-owskiej fuchy w godzinach pracy – ustalono dzień później.

Z kolei już trzy godziny po tragedii rozpoczęto prowadzenie sprawy operacyjnego rozpracowania – pod mało zresztą wyszukanym kryptonimem – Rotunda. Powierzono ją Wydziałowi III „A-1" Komendy Stołecznej MO. Początkowo w jej ramach zakładano dwa warianty: że albo wybuch w warszawskiej Rotundzie był „działaniem zbrodniczym z winy umyślnej w zamiarze bezpośrednim", albo też, iż był nieszczęśliwym wypadkiem. W tym pierwszym przypadku przyjęto trzy opcje: motyw polityczny, maniakalny lub chęć zatarcia śladów innego przestępstwa. W tym drugim natomiast zaniedbanie obowiązków służbowych lub też po prostu tragiczne zdarzenie „bez udziału osób".

Szybko zresztą okazało się, że rzeczywiście był to po prostu nieszczęśliwy wypadek. Nie oznaczało to absolutnie zaniechania działań przez Służbę Bezpieczeństwa ani nawet całkowitego odrzucenia wersji o celowym działaniu (zamachu). Miały na to wskazywać „niepotwierdzone informacje", podczas gdy na katastrofę – wstępne opinie ekspertów. Skoncentrowano się jednak na wyjaśnianiu – jak to określano – „zagadnień telekomunikacyjnych, budownictwa, gazownictwa" oraz pracy operacyjnej wśród pracowników Rotundy. Tak na marginesie ustalenia funkcjonariuszy SB były później wykorzystywane – przynajmniej częściowo – w śledztwie prowadzonym przez Prokuraturę Wojewódzką w Warszawie.

W ramach sprawy „Rotunda" rozpracowywano osoby zatrudnione w III Oddziale PKO BP

W ramach rozpracowania poddano – o czym była mowa – „operacyjnemu rozpoznaniu" osoby zatrudnione w III Oddziale PKO BP „w celu wyjaśnienia uzyskanych informacji wskazujących na możliwość działania zbrodniczego". Badano nie tylko – co oczywiste – ich przeszłość kryminalną, lecz także ich kontakty z „grupami antysocjalistycznymi działającymi w kraju i za granicą". Bo – o czym warto przypomnieć – działaczy opozycji zaliczono do potencjalnych zamachowców… Interesowano się ponadto osobami „skłonnymi do popełniania nadużyć" spośród personelu oraz innymi „pozostającymi w bliskich kontaktach pozasłużbowych z pracownikami Rotundy". Najprawdopodobniej pracowników banku sprawdzono również pod kątem leczenia w poradniach zdrowia psychicznego w Warszawie i okolicy.

Wyjaśniano także pogłoski o rzekomych ostrzeżeniach przed wybuchem. Służba Bezpieczeństwa korzystała oczywiście z pomocy swojej agentury, w tym „doraźnej" z grona pracowników banku (tajni współpracownicy „Andrzej", „Bolesław", „Grot", „Ekspert" i „Aryk"). Miała ona zostać wykorzystana nie tylko do „zapobiegania ewentualnym próbom matactwa", lecz także „defetyzmu". Wykorzystano również tzw. technikę operacyjną – perlustrację (cenzurę) korespondencji oraz podsłuchy telefoniczne (PT) i pokojowe (PP). I tak np. podsłuchiwano naradę w Dyrekcji Okręgowej Poczty i Telekomunikacji w Warszawie z 18 lutego 1979 r., którą zorganizowano dla wyjaśnienia okoliczności migracji gazu do budynku Rotundy przez sieć telekomunikacyjną.

Na jeszcze ciekawszy i nietypowy krok zdecydowano się dzień później – otóż postanowiono założyć podsłuch na telefon alarmowy do Milicji Obywatelskiej (997)… Była to m.in. reakcja na pogróżki, że dojdzie do kolejnych wybuchów. I tak np. 16 lutego anonimowa kobieta zadzwoniła do Grand Hotelu, że za niespełna godzinę „stanie się to samo, co wczoraj z Rotundą", a tydzień później „nieznany osobnik" zatelefonował z podobną informacją do hotelu Bristol, podając nawet dokładną datę (24 lutego, godz. 18). Takich telefonów było zresztą zdecydowanie więcej. Między innymi jeden z nich wykonał nieznany mężczyzna – 17 lutego 1978 r. – do Przedsiębiorstwa Handlu Zagranicznego „Uniwersal", które zresztą mieściło się tuż obok Rotundy, i „zachrypniętym głosem" powiedział: „Opuszczajcie budynek, o 12 nastąpi wybuch".

Czasami udawało się zresztą ustalić osoby, które tego rodzaju groźby czy też pogłoski rozpowszechniały. Tak było np. w przypadku mieszkańca Pragi-Południe Hieronima Walewskiego, który wśród znajomych miał twierdzić, że „w najbliższym okresie [w powietrze – przyp. G.M.] »wyleci« jeszcze jeden budynek".

INFORMATOR „ARYK"

Można zaryzykować stwierdzenie, że w przypadku wybuchu w Rotundzie cenniejsi od techniki okazali się informatorzy Służby Bezpieczeństwa. Szczególnie przydatny i pracowity okazał się „Aryk". Poinformował on m.in. funkcjonariuszy o tym, że budynek PKO BP „nie spełniał w pełni wymogów stawianych […] tego rodzaju instytucji zatrudniającej dużą ilość pracowników i przebywających w nim interesantów", a także iż „ogólnie znane były opinie o nieodpowiedniej klimatyzacji wnętrza" oraz iż w 1977 lub 1978 r. została przeprowadzona ekspertyza, która wykazała „niedomagania w tym zakresie". Do przebudowy instalacji jednak – jak twierdził – nie doszło z powodu braku zgody na zakup urządzeń z importu.

„Aryk" nie ograniczał się bynajmniej do tego rodzaju ogólnych informacji. Donosił również na temat konkretnych pracowników banku, np. informował, że dyrektor administracyjny III Oddziału PKO BP dzień po swoim przesłuchaniu „robi wrażenie bardzo przygnębionego". Według tajnego współpracownika powodem miała być jego obawa przed postawieniem mu zarzutu niedopełnienia obowiązków, gdyż nie zawiadomił on przełożonych „o istnieniu gazu w podziemiach" banku.

eprasa.pl 948c8be978

„Aryk" donosił również, że cennym świadkiem może okazać się konserwator telefonów zatrudniony w tym oddziale, gdyż może on mieć wiedzę na temat „pochodzenia pustych kanałów telekomunikacyjnych dochodzących do podziemi Rotundy". W tym miejscu trzeba wyjaśnić, że w latach 1968–1970 w ramach przebudowy sieci telekomunikacyjnej u zbiegu Marszałkowskiej i Alej Jerozolimskich wykonano m.in. kanalizację kablową. Problem w tym, że odcinek ten został odebrany jedynie częściowo, a jego wykonania nie zgłoszono do odpowiednich instytucji i w efekcie nie było go na planach, a kontrolowany był on jedynie w przypadku awarii sieci telekomunikacyjnej. Co gorsza, otwory wlotowe tego odcinka były źle – w myśl nowych, zaostrzonych w 1976 r. przepisów wręcz niewłaściwie – zabezpieczone, co okazało się zresztą jedną z wielu przyczyn wybuchu.

Z kolei inny tajny współpracownik – „Andrzej" – informował Służbę Bezpieczeństwa o wypowiedziach warszawiaków czy też o ich rozmowach na temat wybuchu w Rotundzie. Informacje na ten temat spływały też „z terenu". I tak np. Wydział Paszportów Komendy Wojewódzkiej MO w Białymstoku informował w pierwszej połowie marca 1979 r., że główny księgowy w Wojewódzkiej Spółdzielni Pracy w tym mieście Tadeusz Ignatiew twierdzi, że jego żona pracująca na kontrakcie w Libii napisała do niego przed tragedią w Rotundzie, że „w Warszawie będzie duży wybuch".

Funkcjonariusze SB nie zapominali również o zdobywaniu, a także „zabezpieczaniu" dokumentacji związanej z wybuchem. W tym przypadku pierwszym materiałem, który trafił w ich ręce, były plany międzymiastowej i miejskiej sieci telekomunikacyjnej w pobliżu budynku III Oddziału PKO BP. Później zgromadzono również następną dokumentację dotyczącą sieci gazowej czy samego budynku Rotundy, a także inną stosowną dokumentację (m.in. wytyczne postępowania w przypadku zbliżeń i skrzyżowań kanalizacji kablowej i kabli telekomunikacyjnych z siecią gazową z 1977 r., wytyczne ministra łączności z 26 lutego 1976 r. w związku z wybuchami gazu na terenach telekomunikacyjnych sieci miejscowych i obiektów pocztowo-telekomunikacyjnych spowodowanych migracją gazu z uszkodzonej sieci gazowej do kanalizacji kablowej, a za jej pośrednictwem do budynków). Tej dokumentacji zgromadzono ogromną ilość, wręcz kilka worków! Funkcjonariusze zabezpieczyli również pieniądze odnalezione w miejscu wybuchu (177 850 zł), książeczki oszczędnościowe, dokumenty czy stemple, a także dwie butle spawalnicze używane przez zabitych spawaczy.

UMORZENIE I KŁAMSTWO

Esbecy ustalili również kilka osób, które – przynajmniej w ich ocenie – ze względu na swoje zaniedbania powinny ponieść konsekwencje za tragedię z 15 lutego 1979 r. Jednak mimo że te oceny były poparte zdobytym przez nich materiałem dowodowym, nikogo nie zdecydowano się ani oskarżyć, ani tym bardziej postawić przed sądem. I śledztwo w sprawie wybuchu w Rotundzie umorzono 31 grudnia 1979 r., stwierdzając, że był on „wynikiem całego splotu okoliczności", które rzekomo „nie zostały jednak spowodowane przez zawinione działanie lub zaniechanie konkretnych osób". Było to kłamstwo, jednak rządzącym zależało na wyciszeniu tej niewygodnej dla nich sprawy.

Funkcjonariusze SB rejestrowali także plotki na temat wybuchu w Rotundzie.
Wspierali ich koledzy z WSW

Nie bez znaczenia – a nawet niewykluczone, że wręcz decydujące – były w tym przypadku obawy, że podczas procesu mogą zostać ujawnione nie tylko zaniedbania konkretnych osób (np. kierownictwa III Oddziału PKO BP w Rotundzie), lecz także te systemowe, za które odpowiadało wiele osób, w tym również pełniących stanowiska kierownicze w państwie. Jak zresztą stwierdzano w jednym z roboczych opracowań: „Przy sprawnym, odpowiedzialnym, skoordynowanym i zgodnym z obowiązującymi przepisami działaniu którejkolwiek ze służb miejskich i kierownictwa Rotundy PKO BP, uniknięcie wypadku było bardzo prawdopodobne". Tym bardziej że z analogicznych przyczyn (migracja gazu z uszkodzonych gazociągów do obiektów niepodłączonych do sieci gazowej) do wypadku doszło już trzy lata wcześniej – 1 lutego 1976 r. w Gdańsku przy ulicy Struga zginęło 17 osób, a 10 zostało rannych oraz 12 dni później w Dworcowym Urzędzie Pocztowo-Telekomunikacyjnym w Rzeszowie jedna osoba została zabita, a kolejnych 10 rannych. I, owszem, po tych dwóch tragicznych zdarzeniach podjęto decyzję w celu uniknięcia podobnych przypadków w przyszłości. Problem w tym, że pozostały one głównie „na papierze".

Oczywiście oprócz ustalania okoliczności tragicznych wydarzeń funkcjonariusze SB rejestrowali również reakcje społeczne, komentarze i plotki związane z wybuchem w Rotundzie. W tym przypadku Służbę Bezpieczeństwa wspierali ich koledzy z Szefostwa Wojskowej Służby Wewnętrznej, którzy monitorowali to, co działo się w wojsku oraz jego otoczeniu.

KUROŃ ODETCHNĄŁ

Oczywiście wydarzenia z 15 lutego 1979 r. wzbudziły duże zainteresowanie, wywołały wiele plotek, a także spekulacji. Bacznie przyglądano się m.in. komentarzom działaczy opozycji. I tak np. Jacek Kuroń „po uzyskaniu informacji", że przyczyną tragedii był wybuch gazu, miał wręcz odetchnąć z ulgą. Z kolei jego żona Grażyna (Gaja) dzieliła się zasłyszanymi opiniami, że wybuch miał zostać spowodowany przez „jakąś rządzącą klikę w celu ukrycia nadużyć". Wśród opozycjonistów teza o celowym działaniu (rozgrywkach w gronie PRL-owskich władz) była dość popularna, podobnie zresztą jak obawa, iż wydarzenia z 15 lutego 1979 r. mogą zostać wykorzystane przez rządzących do represji wobec nich.

Zaskakująco wręcz zgodni w przypadku wybuchu w Rotundzie byli z kolei dziennikarze zachodni, którzy uznali, że przyczyną katastrofy był wybuch gazu. Jak bowiem twierdzili, „problem terroryzmu w Polsce nie istnieje". Nie wszyscy jednak Polacy podzielali ich zdanie – pojawiły się opinie, że może dojść do kolejnych tego rodzaju zdarzeń, a w niektórych środowiskach wręcz narastająca psychoza, podsycana zresztą przez głupie żarty.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest pracownikiem Biura Badań Historycznych IPN.

eprasa.pl 948c8be978

LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Głęboka agentura

Każda konspiracja ma obok osiągnięć chwalebnych również swe ciemne, mroczne strony. Przez kilkadziesiąt powojennych lat historycy i publicyści skupiali się przede wszystkim na stronie chwalebnej – wstydliwie lub też z braku wiedzy pomijając sprawy mroczne, w tym działalność wrogiej agentury głębokiej. Umiejscawiała się ona praktycznie wszędzie, co jest zrozumiałe, ale w różnym stopniu. Zależało to przede wszystkim od szczelności ochrony kontrwywiadowczej.

W strukturach Delegatury Rządu i ZWZ-AK mamy wystarczająco wiele licznych śladów, aby to zjawisko opisywać. Ale są to tylko przyczynki, pełne przypuszczeń, niedopowiedzeń, informacji powierzchownych. A szkodliwość agentury zawsze jest wyjątkowo dotkliwa i groźna.

Bardzo mało znana rzecz to penetracja struktur Polskiego Państwa Podziemnego i próby przeciwdziałania temu zjawisku, czasem kończące się spektakularną klęską. Za ognisko wpływów komuny w KG AK uznawano przede wszystkim Biuro Informacji i Propagandy. Biorąc pod uwagę powojenne kariery w Polsce Ludowej wielu jego funkcjonariuszy, można uznać, że było coś na rzeczy. Na przykład zagadkowy raport kontrwywiadu (KW) KG AK z marca 1944 r. stwierdzał wprost: „Ogniskiem, w którym skupiają się główne nici wpływów politycznych pro- i parakomunistycznych w AK jest – jak się zdaje – BiP".

Komórka ta docierała do informacji z wewnątrz wywiadu AL (czyli NKWD), informując władze zwierzchnie, że zbiera on skrzętnie „bardzo dokładne informacje o najmniejszych nawet kierownikach i komendantach grup reakcyjnych". Potwierdzone to jest licznymi meldunkami szczegółowymi, co komuniści wiedzieli o poszczególnych strukturach i osobach nimi kierujących. Niestety, ich rozpracowania osobowe (z podaniem nazwisk – w tym fikcyjnych) były bardzo dokładne. Musiały być przecież jakieś przesłanki do takich stwierdzeń, tym bardziej że równolegle ta komórka doskonale rozpracowywała również agenturę niemiecką w szeregach DR i AK.

Bardzo zagadkowy jest meldunek KW o sprawie dotkliwej porażki kontrwywiadowczej: „Znamienne jest (o ile informacje moje są ścisłe), że w swoim czasie sprawa prokomunistycznych tendencji wyżej wymienionych osób była meldowana władzom wyższym, została jednak umorzona, mimo wyraźnych zupełnie poszlak, wskazujących na bliskie kontakty tych osób z komuną". Ale prawdziwą klęską było ujawnienie zwierzchnikom (na ich kategoryczne żądanie!) dziewięciu agentów Wydziału Bezpieczeństwa Delegatury „pracujących w komunie w charakterze konfidentów". W krótkim czasie zostali oni… zlikwidowani! ©℗

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Przebacz mi, Brunhildo

Stanisław Jędryka uchodził za najlepszego w kraju specjalistę od filmów i seriali dla młodzieży i faktycznie to jego autorstwa były największe przeboje epoki PRL. Jednym z najbardziej popularnych był serial „Wakacje z duchami" (premiera 18 marca 1971 r.) kręcony na zamku w Niedzicy koło Czorsztyna. Produkcja była bardzo udana, a w pamięci widzów pozostała czołówka z przejmującą muzyką i odgłosami wydawanymi przez straszącą na zamku postać księżniczki przypadkowo zamordowanej przez męża. To właśnie jego rozpaczliwy głos wołający: „Przebacz mi, Brunhildo" wzbudzał dreszcze wśród oglądających. Określenie to weszło zresztą do języka potocznego, na podwórkach i placach zabaw można było usłyszeć podobne nawoływania, spotykał się z nimi zresztą także reżyser filmu. Gdy wiele lat po premierze trafił do szpitala, to podeszła do niego pewna pani doktor i wyszeptała: „Przebacz mi, Brunhildo", a do końca jego pobytu w placówce podobnie zwracali się do niego pielęgniarki i pacjenci.

Jędryka miał zresztą często problemy ze zdrowiem, co wpływało na jego pracę zawodową. Gdy kręcono kolejny hit, „Szaleństwo Majki Skowron", to z powodu ostrego reumatyzmu znalazł się w szpitalu w Giżycku. Pod jego nieobecność przez dwa dni nagrywano sceny na jeziorach bez udziału aktorów, po czym reżyserię przejął Kazimierz Kutz. Z powodu licznych obowiązków nie mógł on jednak poświęcić się całkowicie produkcji i przed ekipą stanęło widmo przerwania pracy. Tytułowa bohaterka, Zuzanna Antosiewicz, miała wówczas zaledwie 15 lat, dlatego nie wchodziło w rachubę dokończenie filmu rok później, gdyż młoda aktorka wyglądałaby bowiem już zupełnie inaczej. Wobec tego, pomimo protestów lekarzy, reżyser wypisał się ze szpitala na własną prośbę, dokończył serial i… już nigdy nie miał problemów z reumatyzmem.

Zuzannie Antosiewicz partnerował starszy od niej o dwa lata Marek Sikora (Ariel). Reżyser współpracował już z nim na planie „Końca wakacji" i doskonale znał jego możliwości aktorskie. Wiedział też, że pomimo młodego wieku był chłopcem bardzo sumiennym, zdarzyło się bowiem, że chory uciekł z domu, aby tylko nie opóźniać zdjęć. Jego też oczami obserwujemy wydarzenia i rodzące się uczucie pomiędzy nim a Majką rozgrywające się w urokliwych plenerach mazurskich jezior. Serial kręcono bowiem w okolicach Mikołajek, Pisza, Tałt i jeziora Łuknajno, a według Jędryki były to miejsca jeszcze „czyste, nieskażone przemysłem ani masową turystyką". I takie faktycznie wówczas były… ©℗

eprasa.pl 948c8be978

64 pola do złota

Tomasz Zbigniew Zapert

Film pt. „W szachu. Ostatnia rozgrywka" stanowi trzeci odcinek cyklu zatytułowanego „Przerwane igrzyska", ukazującego wybitnych polskich sportowców na tle obrotów koła historii

Serię zainaugurował „Tatrzański orzeł", opowieść o Stanisławie Marusarzu. Skoczku narciarskim, którego życiorys zdeterminowała druga wojna światowa. Zaangażowany w konspirację został kurierem tatrzańskim. (Najwyższą cenę za tę działalność zapłaciła jego młodsza siostra Helena, także utalentowana narciarka). Schwytany przez Niemców niebagatelne umiejętności sportowe zdyskontował, wyskakując z okna celi więziennej przy ulicy Montelupich w Krakowie. W Polsce Ludowej prześladował go Urząd Bezpieczeństwa.

W grudniu na antenie TVP zaprezentowano obraz „Halina Konopacka. Walka o złoto". Traktował on o rekordzistce świata w rzucie dyskiem, a zarazem zdobywczyni pierwszego dla Polski złotego medalu olimpijskiego (Amsterdam, 1928 r.), która zapisała się na kartach dziejów również jako kierowca jednej z ciężarówek konwoju ewakuującego we wrześniu 1939 r. nasze rezerwy złota z gmachu Banku Polskiego przy ul. Bielańskiej w Warszawie. Nad logistyką tego brawurowego i karkołomnego, lecz zakończonego powodzeniem przedsięwzięcia czuwał jej małżonek płk Ignacy Matuszewski, bliski współpracownik Józefa Piłsudskiego, po śmierci Marszałka marginalizowany jednak przez sanacyjną wierchuszkę.

NASI MISTRZOWIE

Najnowsze dzieło tandemu reżysersko-scenopisarskiego Marek Bukowski-Maciej Dancewicz przedstawia najwspanialszą dekadę polskich szachów. W latach 30. ubiegłego stulecia wywalczyliśmy złote oraz – trzykrotnie – srebrne i brązowe medale olimpijskie.

Miał w tym udział Ksawery Tartakower, który co prawda nigdy w Polsce nie mieszkał, lecz na zwycięskiej dla nas olimpiadzie w Hamburgu (1930 r.), gratulując przeciwnikowi po własnej przegranej, dodawał: „Jeszcze Polska nie zginęła". Jesienią 1939 r. usiłował wstąpić w szeregi Wojska Polskiego tworzonego we Francji przez gen. Władysława Sikorskiego. Nie przyjęto go, posądzając o sympatie… piłsudczykowskie, ponieważ „za pieniądze Becka grał w szachy na olimpiadzie w Argentynie" (!). W rezultacie zasilił Legię Cudzoziemską, a następnie został oficerem Wolnych Francuzów gen. Charles'a de Gaulle'a oraz jego tłumaczem. Swoich dni dożył w Paryżu.

Do pojedynku o światowy prymat pretendował Akiba Rubinstein, pochodzący z okolic Łomży. W 1912 r. rzucił wyzwanie championowi Emanuelowi Laskerowi, Niemcowi o żydowskich korzeniach, urodzonemu w Berlinchen (od 1945 r. Barlinek). Starcie zaplanowano na połowę

eprasa.pl 948c8be978

Kadr z filmu „W szachu. Ostatnia rozgrywka" FOT. MATERIAŁY PRASOWE

roku 1914. Jego rozegranie uniemożliwiły zamach w Sarajewie i jego konsekwencja w postaci wybuchu pierwszej wojny światowej. Po jej zakończeniu Rubinsteinowi zabrakło funduszów niezbędnych do rzucenia rękawicy dwóm kolejnym arcymistrzom: Kubańczykowi José Raúlowi Capablance oraz Rosjaninowi Aleksandrowi Alechinowi. Potem zaczął grać coraz gorzej. Obniżkę formy spowodowała postępująca choroba psychiczna – prawdopodobnie antropofobia połączona z depresją. U kresu egzystencji w Brukseli „nie mył się, nie golił, nie strzygł, nie zmieniał ubrań i uporczywie milczał".

Jedynym chrześcijaninem w gronie polskich złotych medalistów olimpijskich był Kazimierz Makarczyk. Z jego występem w Hamburgu związana jest anegdota. „Gospodarze posadzili go w jadalni przy dwuosobowym stoliku. Jego współbiesiadnikiem na śniadaniu był jakiś obcokrajowiec.

– Mahlzeit – rzekł cudzoziemiec polskiemu zawodnikowi.

– Makarczyk – podał głośno i wyraźnie swoje nazwisko nasz mistrz.

Ponieważ powtórzyło się to przy obiedzie i kolacji, więc Makarczyk zapytał kierownika polskiej ekipy, Dawida Przepiórkę:

– Co to za szachista ten Mahlzeit?

– To żaden gracz – parsknął śmiechem Przepiórka. – »Mahlzeit« znaczy po niemiecku »smacznego«!

Chcąc załagodzić nieporozumienie podczas kolejnego posiłku, gdy obcokrajowiec zasiadł do stołu, Makarczyk powiedział uprzejmie »Mahlzeit!«. Zagraniczny szachista uśmiechnął się szeroko i odpowiedział: »Makarczyk!«".

PIONKI I KRATY

Przepiórka – właściciel reprezentacyjnej stołecznej kamienicy o sześciu kondygnacjach i kilku podwórzach-studniach usytuowanej u zbiegu ulic Smolnej i Nowego Światu, a mieszczącej m.in. renomowaną restaurację Gastronomia – ostatni turniej rozegrał za… kratkami. Do aresztu przy ul. Daniłowiczowskiej trafił w styczniu 1940 r. razem z innymi warszawskimi szachistami zatrzymanymi przez gestapo z podejrzeniem o antyniemieckie knowania. Po paru dniach zwolniono „Aryjczyków", a pozostałych przetransportowano na Pawiak. Okazał się jedynie przystankiem w drodze na miejsce egzekucji w lesie palmirskim.

Niespełna rok wcześniej Przepiórka „dał symultanę, chwaląc najbardziej jej najmłodszego uczestnika i wróżąc mu wielką przyszłość". Owym wunderkindem królewskiej gry był dziewięcioletni Janusz Szpotański, czołowy szachista pierwszych dwóch dekad Polski Ludowej, lecz przede wszystkim satyryk, tłumacz i więzień polityczny.

Piątym polskim złotym medalistą w szachach został Paulin Frydman (jego wujem był pisarz Bruno Winawer). W sierpniu 1939 r. zawodnik współtworzył zespół narodowy Biało-Czerwonych na olimpiadzie w Buenos Aires. Pozostał tam do śmierci, prowadząc kawiarnię, do której systematycznie zaglądali nasi emigranci. Również ci o głośnych personaliach. Choćby Witold Gombrowicz, Kazimierz Krukowski, Jerzy Petersburski czy Jerzy Bułanow.

Z ZAMKNIĘTYMI OCZAMI

Kiedy do Argentyny dotarła informacja o rozpoczęciu drugiej wojny światowej, nasza drużyna odmówiła rywalizacji z ekipą Trzeciej Rzeszy. Organizatorzy zawodów zadecydowali, że padł w nim remis, co dawało Niemcom tytuł mistrzowski, a Polakom zaledwie drugą lokatę (uchodziliśmy za zdecydowanych faworytów imprezy). Nowy nabytek teamu, Mieczysław Najdorf, nie zdecydował się na powrót do ogarniętej pożogą ojczyzny. Pięć lat później dostał argentyńskie obywatelstwo. W stołecznym getcie zginęły jego żona i córka. Nie wsiadły z nim na statek płynący przez Atlantyk do Ameryki Południowej, gdyż miały grypę i obawiały się oceanicznej podróży…

W kraju tanga Najdorf, używający tam imienia Miguel, odnosił sukcesy zarówno na szachownicy, jak i w biznesie. Z czasem stał się właścicielem towarzystwa ubezpieczeniowego.

Jesienią 1943 r. postanowił pobić rekord świata i zagrać na „ślepo" na 40 szachownicach. Wygląda to tak: gracz siedzi w osobnym pomieszczeniu, pozbawiony nawet przyborów do notowania, popija dostarczone przez sponsora soczki, ktoś mu przynosi informacje o wykonanych przez konkurentów posunięciach, a Najdorf odpowiada przez mikrofon. Zanotował oszałamiający rezultat: 36 wygranych, 1 remis, 3 porażki. Kwartał później w São Paulo podczas ponad 23 godzin gry konkurował na 45 szachownicach na oczach kilkutysięcznej publiczności. W świat poszedł wynik: 41 punktów z 45 partii. Ostatnia z tak wielkich symultan zdarzyła się w roku 1950 r. Na 250 szachownicach odniósł 226 zwycięstw, 14 remisów i 10 porażek.

Umarł, jak prorokował, w czasie turnieju szachowego w Maladze. Przeżył 87 lat.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

„PRZERWANE IGRZYSKA – W SZACHU. OSTATNIA ROZGRYWKA", PRODUKCJA TVP
REŻYSERIA: MAREK BUKOWSKI,
SCENARIUSZ: MACIEJ DANCEWICZ
OBSADA: JAN WIECZORKOWSKI (DAWID PRZEPIÓRKA), WOJCIECH MECWALDOWSKI (AKIBA RUBINSTEIN), JACEK KNAP (KSAWERY TARTAKOWER), MACIEJ MISZCZAK (KAZIMIERZ MAKARCZYK), JĘDRZEJ HYCNAR (MIECZYSŁAW NAJDORF), DARIUSZ PIERÓG (PAULIN FRYDMAN) I INNI
PREMIERA: TVP POLONIA, 24 MARCA, GODZ. 18.10

eprasa.pl 948c8be978

Z George'em Simionem, liderem czołowej opozycyjnej Rumuńskiej Partii Jedności Narodowej (AUR)
rozmawia Jacek Przybylski

Nie chcemy królowej von der Leyen

JACEK PRZYBYLSKI: Jako lider konserwatywnej partii śledzi pan wydarzenia w Polsce. Niedawno wyraził pan nawet w mediach społecznościowych obawy w związku z atakiem „nowego polskiego rządu Donalda Tuska, wspieranego przez Manfreda Webera, na praworządność". Jak ocenia pan politykę nowego rządu?

GEORGE SIMION: Moim zdaniem Polska za rządów Donalda Tuska stanowi świetny przykład stosowania podwójnych standardów w Unii Europejskiej. Od lat mieszkańcy Polski, Rumunii czy Węgier słyszą o praworządności, o rządach prawa i potrzebie transparentności. W mojej opinii rząd Tuska łamie wszystkie zasady praworządności, pozwala policji na użycie siły wobec protestujących rolników, a także uderza w demokrację poprzez łamanie zasady podziału władzy. To, że nie przeszkadza to władzom Komisji Europejskiej, najlepiej pokazuje hipokryzję tej instytucji. To właśnie ta hipokryzja sprawia, że urzędnicy w Brukseli są tak bardzo niepopularni w różnych krajach Europy i szybciej lub później stracą władzę. Brukselskie elity nie są wybierane w wyborach powszechnych. Koncentrują się więc na tym, jak ingerować w głosowania w poszczególnych krajach, aby wygrywali ci, którzy pozwolą im pozostać przy władzy i przekształcić Unię Europejską w gigantyczną federację zwaną Stanami Zjednoczonymi Europy.

Skoro uważa pan, że to zły pomysł, to pewnie chciałby pan wyprowadzić Rumunię z Unii Europejskiej?

Nie. Jesteśmy proeuropejscy i choć rozumiemy powody, dlaczego Brytyjczycy opuścili zmierzającą ku federacji Unię Europejską, to sami absolutnie nie chcemy opuszczać Unii. Geograficznie i historycznie Rumunia jest częścią Europy i pozostanie nią w przyszłości. Nie podoba nam się jednak kierunek, w którym zmierza Unia Europejska, dlatego demokratycznymi sposobami walczymy z obecnymi elitami w Brukseli. Chcemy zachować unię narodów, unię suwerennych krajów i unię osób o różnych systemach wartości. W Rumunii mamy duże historyczne doświadczenie z dyktatorami i reżimami totalitarnymi i nie chcielibyśmy zamieniać podległości wobec tureckiego sułtana czy austriackiego króla na rządy komisarz Ursuli von der Leyen.

Polski europoseł Jacek Saryusz-Wolski już wielokrotnie ostrzegał, że elity w Brukseli chcą zmienić unijne traktaty tak, aby Francja i Niemcy łatwiej mogły narzucać swoją wolę mniejszym lub mniej potężnym krajom członkowskim UE, a zwłaszcza państwom z Europy Środkowo-Wschodniej. Nie możemy do

eprasa.pl 948c8be978

FOT. ANDREAS SOLARO/AFP/EAST NEWS

tego dopuścić. Musimy walczyć o taką Europę, w jaką wierzymy.

Czy to właśnie dzięki temu rozczarowaniu Brukselą pańskie ugrupowanie tak gwałtownie zyskuje w przedwyborczych sondażach?

Jesteśmy jedyną dużą konserwatywną partią w Rumunii. W naszym kraju, podobnie jak w większości państw w Europie, scena polityczna jest zdominowana przez ugrupowania mocno lewicowe. Taki trend sprawił, że w Niemczech nawet dawni konserwatyści z Unii Chrześcijańsko-Demokratycznej (CDU) zachowują się obecnie niczym dawni trockiści i marksiści.

Współczesna scena polityczna coraz częściej nie dzieli się już na lewicę i prawicę, ale na partie globalistyczne i suwerennistyczne, co sprawiło, że zarówno w Rumunii, jak i w innych krajach europejskich powstała luka, którą mogą wykorzystać partie konserwatywne. Ludzie widzą, że są okłamywani przez elity w Brukseli, które wymyślają np. bzdury o tym, jak to krowy zanieczyszczają powietrze i niszczą europejski klimat.

Ekomarksiści najchętniej zakazaliby nam jakiejkolwiek działalności gospodarczej. W Rumunii udało im się zniszczyć nasz przemysł i gospodarkę. Na szczęście w Polsce Prawo i Sprawiedliwość nie dopuściło do zniszczenia polskiego przemysłu i działania podjęte przez PiS są dla nas dobrym wzorem. Oczywiście PiS popełniał też błędy, ale chcemy wyciągnąć z nich wnioski. Od 2004 r., gdy pierwszy raz byłem w Polsce jeszcze jako licealista, obserwuję bowiem, jak szybko zmienia się Polska, która po transformacji ustrojowej zaczynała podobnie jak Rumunia od wielkiej prywatyzacji, ale która lepiej poradziła sobie po wejściu do Unii Europejskiej i podjęła istotne działania w celu ochrony suwerenności kluczowych sektorów gospodarki. My tymczasem zamiast korzystać z zalet wolnego rynku, staliśmy się jego ofiarami, pozwalając, aby inne kraje zaczęły de facto decydować o tym, co się dzieje w Rumunii. Polskim władzom udało się też skłonić do powrotu do kraju osoby, które wcześniej wyemigrowały do Wielkiej Brytanii, Irlandii czy innych krajów zachodnich. Tymczasem brak dobrze płatnych miejsc pracy w Rumunii sprawia, że wciąż poza granicami kraju pracuje 6–7 mln naszych obywateli, choć liczba ludności w Rumunii wynosi łącznie ok. 20 mln osób. Innymi słowy: połowa naszej populacji aktywnej zawodowo pracuje na rzecz dobrobytu Francji, Niemiec, Włoch czy Hiszpanii.

Wspomniał pan o strajkach polskich rolników, ale podobne protesty odbywają się nie tylko w Polsce, lecz także w wielu krajach Europy. Sądzi pan, że wygasną czy dojdzie do ich eskalacji?

Już teraz widzimy, że protesty te się rozszerzają. Rolnicy protestują nie tylko w Rumunii czy w Polsce, lecz także w Paryżu czy w Brukseli. Protestujący mają odwagę powiedzieć unijnym biurokratom wprost: „Skończcie z tym szaleństwem!". Zresztą rolnicy nie tylko protestują na ulicach, lecz także tworzą struktury polityczne. W Holandii już kilka miesięcy temu BBB, czyli ugrupowanie protestu rolników sprzeciwiające się klimatycznej polityce rządu Marka Ruttego, odniosło sukces w wyborach do parlamentu.

Liczy pan na podobny sukces w Rumunii?

Rząd w Bukareszcie próbuje nie dopuścić do naszej wygranej, np. w niekonstytucyjny sposób łącząc ze sobą wybory lokalne i wybory do Parlamentu Europejskiego. To dla nas niekorzystne, ponieważ jesteśmy młodą partią i nie mamy jeszcze tak rozbudowanych struktur lokalnych.

Na szczęście w Rumunii w tym roku we wrześniu odbędą się jeszcze wybory prezydenckie, a w grudniu wybory parlamentarne. Prędzej czy później ludzie wyniosą nas do władzy. Wynik wyborów w Rumunii będzie ważny również dla innych krajów Europy, jak Polska, Węgry czy Słowacja, ponieważ musimy trzymać się razem. Moje pokolenie – a więc ludzie urodzeni w latach 80. czy 90. – nigdy

eprasa.pl 948c8be978

nie wierzyło, że istnieje ryzyko, iż do władzy powrócą socjalistyczni komisarze. Niestety, w tym kierunku teraz zmierzamy.

Nie przesadza pan z tą oceną?

Nie. Podejmowane przez nich kroki są takie same. Główna różnica polega na tym, że tym razem próba przejęcia władzy nad nami nie odbywa się za pomocą bomb i czołgów, lecz za pomocą przejmowania mediów i metodami z katalogu „soft power". Zrobię, co w mojej mocy, aby powstrzymać ich w Rumunii, ale konieczna jest współpraca państw naszego regionu. Nie bez powodu już marszałek Piłsudski promował przed drugą wojną światową koncepcję Międzymorza. Geopolityczna sytuacja w Europie jest teraz bardzo podobna: obserwujemy rosnące zagrożenie ze strony Rosji oraz Niemiec, które historycznie ciągle marzą o ekspansji.

Wracając do zbliżających się wyborów: Co takiego tak bardzo irytuje Rumunów w ideologiach promowanych przez elity w Brukseli, że co najmniej jedną piątą głosów w sondażach ma pańska partia, która jasno deklaruje wiarę w Boga i przywiązanie do tradycyjnych wartości?

Ideolodzy z Brukseli próbują nam wmówić, że istotą Unii Europejskiej nie jest unia gospodarcza, lecz jakaś unia kulturowa, i że wszystkie kraje europejskie muszą umożliwić małżeństwa osobom tej samej płci, a następnie dać homoseksualistom możliwość adopcji dzieci. Jako kraj prawosławny z niepokojem obserwujemy, że Grecy już się na to zgodzili. To oznacza, że następne w kolejce są Rumunia, Węgry czy Polska.

Nie podoba nam się też sposób, w jaki unijne elity próbują ingerować w nasz system sądowniczy, przekonując, że nasza konstytucja jest mniej ważna niż przepisy ustanawiane przez organy Unii Europejskiej. Do tego dochodzą te neomarksistowskie bzdury, zgodnie z którymi nie powinniśmy ogrzewać naszych domów, a wołowinę na obiad powinniśmy zamienić na karaluchy i inne insekty.

Wierzę w Boga i wierzę, że dla Boga każdy jest jedyny i wyjątkowy. Każdy z nas ma też wolną wolę. Bóg nie chce, abyśmy wszyscy byli tacy sami, i dlatego stworzył mężczyznę oraz kobietę.

Nie każdy wierzy w Boga...

Mam nadzieję, że po wyborach będziemy mogli stworzyć w europarlamencie najpotężniejszą siłę polityczną

W takim razie może uwierzy w biologię. Kwestia płci nie jest bowiem problemem ideologicznym. To zwykła biologia. I właśnie dlatego nie możemy pozwalać edukatorom LGBT chodzić po szkołach podstawowych i wmawiać małym chłopcom i dziewczynkom, że mogą sobie wybrać taką płeć, jaką tylko chcą. To kompletny nonsens. Nie możemy więc pozwolić tym szaleńcom, aby uczyli nasze dzieci i decydowali o przyszłości naszych narodów.

Zdaje pan sobie sprawę, że propaguje pan „mowę nienawiści", za którą w niektórych europejskich krajach mógłby pan już zostać aresztowany?

Wiem. Właśnie miałem panu o tym powiedzieć. To ironia, ponieważ zmierzamy wprost w stronę kolejnego totalitaryzmu, w którym podobnie jak w czasach komunizmu wolność słowa będzie zabroniona. Nie zgadzam się na to. Będę walczyć do końca. I sądzę, że pod tym względem szczególna odpowiedzialność leży właśnie w politykach z krajów Europy Wschodniej, które już doświadczyły, jak wygląda w praktyczne „komunistyczny raj", i z tego powodu z nieufnością podchodzą do deklaracji, że rząd ogranicza naszą wolność dla naszego dobra...

I właśnie dlatego wśród czterech filarów mojej partii są: wiara chrześcijańska, tożsamość narodowa, tradycyjna rodzina tworzona przez kobietę i mężczyznę oraz wolność. Bo wolność jest ważna. Tymczasem brukselskie elity pozwalają nam być wolnymi tylko wówczas, gdy nasze poglądy zgadzają się z ich poglądami.

Za to już nie tylko pana aresztują, ale po prostu pana wymażą...

To możliwie. W Chinach, gdzie obowiązuje już system punktowy dla obywateli, straciłbym już za moje słowa tyle punktów, że pewnie nie mógłbym już nawet legalnie kupić sobie czegoś do jedzenia. Do stworzenia podobnego systemu w Europie może doprowadzić projekt stworzenia europejskiej tożsamości cyfrowej dla każdego mieszkańca UE. Mieliśmy już tego przedsmak podczas pandemii, gdy tylko posiadając odpowiedni certyfikat, mogliśmy podróżować, dostać pokój w hotelu czy pracować. System cyfrowej tożsamości również może być wykorzystany do uzyskania lepszej kontroli nad działaniami ludzi.

Europejskim wyborcom uda się ich powstrzymać? W Portugalii konserwatywna partia Chega zdobyła właśnie 19 proc. głosów i przełamała w ten sposób trwający od niemal 40 lat monopol na władzę socjalistów i socjaldemokratów.

Mam nadzieję, że ten trend będzie kontynuowany i że po zwycięskich wyborach do Parlamentu Europejskiego będziemy mogli stworzyć w europarlamencie potężną siłę polityczną, a być może nawet siłę najpotężniejszą wśród wszystkich ugrupowań w Parlamencie Europejskim. Przyleciałem do Warszawy, aby właśnie o tym porozmawiać z prezesem PiS, Jarosławem Kaczyńskim. Jestem też w bardzo dobrych relacjach z prezesem portugalskiej partii Chega, André Venturą. Mam więc nadzieję, że jako europejscy konserwatyści będziemy potrafili ze sobą współpracować i że przejmiemy władzę zarówno w Bukareszcie, jak i w Warszawie. Nie wiem, czy nam się to uda, ale musimy walczyć o swoją tożsamość i wolność bycia tym, kim się jest.

Były premier Holandii Mark Rutte ma zostać szefem NATO. Nie sądzi pan, że to najlepszy dowód na to, że pomimo rosyjskiej inwazji na Ukrainę kraje Europy Wschodniej nadal traktowane są przez kraje zachodnie jako członkowie drugiej kategorii?

Oczywiście, że jesteśmy traktowani jak obywatele drugiej kategorii. Mieszkańcy Rumunii przez niemal dwie dekady nie byli dopuszczeni do członkostwa w strefie Schengen. A Mark Rutte to osoba, która sprzeciwiała się dopuszczeniu nas do możliwości swobodnego podróżowania wewnątrz Unii. Obserwuję, jak decyzje, które zapadają na Zachodzie, są następnie narzucane mniejszym państwom. Widzę też, jak powstają koalicje partii, które nie mają ze sobą niemal nic wspólnego, ale które łączy chęć otrzymania unijnych funduszy. Te zaś są niebezpieczne, bo nie są przyznawane za darmo. A przecież nie są pieniędzmi jakiejś tam brukselskiej instytucji – to pieniądze wpłacane przez podatników pracujących w Unii Europejskiej.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 948c8be978

FOT. KEVIN MAZUR/WIREIMAGE/GETTY IMAGES

WIELKA WPADKA MADONNY

Podczas ostatniego koncertu na Kia Forum w Los Angeles w pewnym momencie Madonna wyraziła pretensję do jednego z fanów. – A ty co tu tak siedzisz?! – krzyknęła przez mikrofon. Nie podobało się jej, że w tłumie skaczących ten jeden człowiek się „nie bawi". Kiedy podeszła do krawędzi sceny, zauważyła, że skrytykowała niepełnosprawnego siedzącego na wózku inwalidzkim. – O, politycznie niepoprawne, przepraszam, cieszę się, że tu jesteś – powiedziała zawstydzona. Fani w sieci byli tym zachowaniem wzburzeni. Przedstawiciele Madonny nie wydali jednak żadnego dodatkowego komentarza po tym incydencie.

„POMOC" OD MACRONA

Prezydent Francji przedstawił założenia nowego prawa dotyczącego eutanazji. „Ani prawo, ani wolność, ale akt solidarności" – tak nazwał nowe regulacje Emmanuel Macron. To jego zdaniem możliwość „wyboru mniejszego zła", gdy śmierć jest już blisko. Jednocześnie odżegnywał się od terminu „eutanazja". Według nowych regulacji pacjent, który chce się zabić, musi być pełnoletni, mieć nieuleczalną chorobę, rokowania złe i przeżywać ból oraz cierpienie, które trudno uśmierzyć. Postulat zakończenia życia ma rozpatrywać kolegium 15 lekarzy.

POPRAWIONA KSIĘŻNA

Księżna Kate miała operację. Po niej na oficjalnym profilu księcia i księżnej Walii opublikowano fotografię Kate w otoczeniu dzieci. Internauci zaczęli zwracać uwagę na to, że zdjęcie było edytowane, co było widać w szczegółach. Po kilku godzinach największe agencje prasowe wycofały tę fotografię ze swoich stron, uznając, że mogła zostać zmanipulowana. Rodzina królewska nie skomentowała tego zamieszania.

GRETA BLOKUJE WEJŚCIE DO PRACY

Najbardziej znana aktywistka próbuje jednak o sobie przypominać. Greta Thunberg wraz z kilkudziesięcioma osobami zablokowała niedawno wejście do szwedzkiego parlamentu. Tłumaczyła, że szwedzcy politycy kłamią i udają, że robią wiele na rzecz klimatu, a w rzeczywistości dzieje się dokładnie odwrotnie.

CHIŃSKIE SZCZURY W MOSKWIE

Mieszkańcy z ulicy Kuntsewskiej w Moskwie zobaczyli przy domu tak wielkie szczury, że zrobili im zdjęcia i opublikowali je w sieci. W mieście rozpętały się poważne dyskusje. Rosyjscy biologowie uspokajają, że wielkie szczury to nic niezwykłego, tylko gryzonie z gatunku pochodzącego z Chin, a z kryjówek wygnały je bardzo niskie temperatury. ©℗ ***Łukasz Zboralski***

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Złoty coraz potężniejszy

Polska gospodarka ma w tym roku rozwijać się w tempie 2,2 proc., a w przyszłym jeszcze szybciej (3,2 proc.) – to najnowsza prognoza przedstawiona przez amerykańską agencję ratingową Fitch. I chociaż to nieco mniej optymistyczne dane niż we wcześniejszej prognozie, to i tak Polska na tle innych krajów w UE prezentuje się naprawdę nieźle.

Dobry stan polskiej gospodarki to jeden z kilku powodów niezwykłego, zwycięskiego rajdu polskiej waluty. Mocno niedowartościowany w ubiegłym roku złoty od kilku miesięcy rozpycha się łokciami na międzynarodowym rynku, dzięki czemu w ubiegłym tygodniu wobec euro stał się już najmocniejszy od czterech lat!

Zdaniem analityków walutowych marsz w górę wcale nie musi zakończyć się w okolicach 4,28 zł za jedno euro. W kolejnych miesiącach po ewentualnej korekcie gwałtownej wspinaczki tanieć mogą zarówno europejska waluta (niektórzy mówią nawet o poziomie 4,20 zł za euro), jak i dolar (jeśli przebije dołek na poziomie 3,88, to może celować nawet w 3,65 zł).

Dla wielu z nas oznacza to tańsze wakacje i niższe ceny za towary importowane, choć coraz mocniejszy złoty zapewne nie podoba się polskim eksporterom.

Oczywiście jest też wiele czynników ryzyka, od lokalnych do globalnych (rynki za czynnik ryzyka biorą np. potencjalnie niekorzystne dla Europy Środkowej decyzje, które mogą zapaść w USA w przypadku wygranej Donalda Trumpa), które sprawiają, że ze stuprocentową pewnością można tradycyjnie prognozować jedynie, że złoty albo jeszcze się umocni, albo się osłabi, albo... ©℗

eprasa.pl 948c8be978

Dzieciobójstwo wolnością konstytucyjną

Agnieszka Golańska-Bault

Francja wpisała do konstytucji prawo do aborcji. To, co miało być w zamyśle legislatorów sprzed 50 lat wyjątkiem, stało się w tym kraju prawdziwą plagą

Ludzie świętujący wpisanie prawa do aborcji do konstytucji w pobliżu wieży Eiffla, Paryż, 4 marca 2024 r.

FOT. ADNAN FARZAT/NURPHOTO/GETTY IMAGES

Sąd Najwyższy Stanów Zjednoczonych 24 czerwca 2022 r. uchylił „prawo do aborcji" (słynna sprawa Roe v. Wade z 1973 r.), które obowiązywało blisko pół wieku i traktowane było jako prawo federalne wynikające rzekomo wprost z amerykańskiej konstytucji zapewniającej wszystkim obywatelom „prawo do prywatności". Sąd przywrócił tym samym stanom legislacyjną autonomię w kwestiach ochrony życia.

Gdy w konsekwencji wyroku już w dniu jego ogłoszenia aborcja została zakazana w 13 amerykańskich stanach, liberalno-lewicowy świat doświadczył prawdziwego trzęsienia ziemi. Jednym z najbardziej wzburzonych wydawał się wówczas prezydent Francji Emmanuel Macron, który w portalu X zadeklarował: „Aborcja jest podstawowym prawem wszystkich kobiet. Musi być ono chronione. Wyrażam solidarność z kobietami, których wolność jest obecnie kwestionowana przez Sąd Najwyższy Stanów Zjednoczonych Ameryki".

Za wyrazistymi słowami poszły zdecydowane czyny. Macron uznał bowiem, że najlepszą gwarancją nienaruszalności prawa do aborcji będzie wpisanie go do francuskiej konstytucji. I plan ten przeprowadził.

ZMIANA W KONSTYTUCJI

4 marca Kongres parlamentu francuskiego (czyli połączone izby francuskiego parlamentu: Zgromadzenie Narodowe i Senat) zwołany na posiedzeniu w Wersalu, przytłaczającą większością głosów (780 za, przy zaledwie 72 przeciw i 50 wstrzymujących się), przyjął poprawkę do francuskiej konstytucji poprzez uzupełnienie jej 34. artykułu o zapis: „Ustawa określa warunki, na jakich kobieta może zrealizować zagwarantowaną jej wolność przerwania ciąży na życzenie".

Przegłosowanie ideologicznej poprawki do konstytucji promowanej przez najbardziej radykalne środowiska lewicowe we Francji dzięki gremialnemu wsparciu niemal wszystkich politycznych sił, w tym tych nominalnie prawicowych (Republikanie, Zjednoczenie Narodowe), uznać należy za polityczny i symboliczny „sukces" Macrona, który zobowiązał się „uczynić prawo kobiet do korzystania z aborcji na życzenie nieodwracalnym".

Francuskie polityczne elity, po „udanym głosowaniu" w Wersalu, wpadły w prawdziwą euforię. Premier Gabriel Attal stwierdził, że dzień 4 marca „naznaczy historię polityczną i parlamentarną kraju". Zdaniem ministra sprawiedliwości, Érica Duponda-Morettiego, Francja jako pierwszy na świecie kraj, w którym przeprowadzono konstytucjonalizację aborcji, znów staje na czele światowego postępu w dziedzinie „praw człowieka". Tak się jednak składa, że Francja ma w tej dziedzinie niechlubnego poprzednika. „Prawo swobodnego decydowania o urodzeniu swojego dziecka" zostało bowiem wpisane do konstytucji socjalistycznej Jugosławii Tity w 1974 r., ale zapis ten nie został utrzymany w konstytucjach państw powstałych po jej rozpadzie. Na szczęście, jak widać, nawet tak fatalne decyzje nie są nieodwracalne.

Pozornie nowy konstytucyjny zapis niewiele zmienia, zwłaszcza jeśli chodzi o dostęp do aborcji we Francji. Dopuszczalność aborcji na życzenie (obok tzw. aborcji ze wskazań medycznych) do 10. tygodnia życia została tam wprowadzona w 1975 r. tzw. ustawą Veil (od nazwiska ówczesnej minister zdrowia). Od tamtego czasu warunki legalnej aborcji na życzenie były wielokrotnie liberalizowane, a ostatnia poprawka, przyjęta w kontekście polityki covidowej w 2022 r., wydłużyła okres legalnego przerwania ciąży z 12 do 14 tygodni.

Aborcja nie jest we Francji prawem zagrożonym, kwestionowanym czy nawet dyskutowanym. Wręcz przeciwnie – na celowniku ustawodawcy są ci, którzy chcą otwarcie mówić o ponurej rzeczywistości zabijania nienarodzonych, np. o syndromie

eprasa.pl 948c8be978

postaborcyjnym, czy ci, którzy chcieliby informować kobiety pragnące zachować swoje dziecko o możliwych formach pomocy. Francja ma bowiem jeszcze inny powód „do dumy" – w swoim kodeksie cywilnym ma zapisane przestępstwo „utrudniania aborcji". Zniechęcanie kobiety do poddania się procedurze zagrożone jest karą 30 tys. euro lub dwoma latami pozbawienia wolności. Rzecz jasna, zachęcanie do aborcji nie jest objęte żadnymi sankcjami.

A banalizacja aborcji, która traktowana jest po prostu jak antykoncepcja zastępcza, to proces stale postępujący we francuskim społeczeństwie. Coś, co miało być w zamyśle legislatorów sprzed 50 lat wyjątkiem, stało się plagą, która trawi Francję. Jest ona bowiem jednym z niewielu europejskich krajów, gdzie liczba aborcji nieustannie rośnie, a według oficjalnych danych w roku 2022 osiągnęła rekordowy od 30 lat poziom 234 tys. aborcji. Oznacza to, że 16,2 kobiety w wieku rozrodczym od 15 do 49 lat na 1 tys. dokonało aborcji na życzenie (dla porównania: w Niemczech czy we Włoszech współczynnik ten wynosi ok. 6). Według INED (francuski instytut badań demograficznych) w 2022 r. we Francji jedna ciąża na trzy została przerwana. Według różnych danych od 30 do 40 proc. dorosłych Francuzek dokonało w swoim życiu co najmniej jednej aborcji. Liczby pokazują, że aborcja, poza wszystkimi innymi negatywnymi konsekwencjami, ma tragiczny wpływ na pogłębianie się demograficznej zapaści Francji. W tym kontekście zachęty Marine Le Pen, która zdradziła swój konserwatywny elektorat i poparła inicjatywę Macrona, nazywając głosowanie za konstytucjonalizacją aborcji „patriotycznym obowiązkiem", brzmi jak ponury żart.

TOTALITARNY ATAK

Jak zauważył w felietonie dla „Le Figaro" z 31 stycznia Grégor Puppinck, dyrektor Europejskiego Centrum Prawa i Sprawiedliwości (ECJL), celem wpisania aborcji na życzenie do francuskiej konstytucji jest nie tyle obrona tego „prawa", ile atak. Iście totalitarny atak na inne prawa i wolności, które siłą rzeczy stoją w sprzeczności z konstytucyjnie usankcjonowaną wolnością do aborcji, takie jak szacunek dla życia ludzkiego, wolność sumienia oraz wolność wypowiedzi. „Jeśli aborcja staje się prawem konstytucyjnym, to wszystkie przepisy dotyczące aborcji na życzenie i życia prenatalnego powinny być organizowane wokół tej zasady" – napisał Puppinck.

Zagrożona będzie tym samym wolność sumienia pracowników służby zdrowia, którzy dotychczas mieli prawo nie uczestniczyć w procedurach przerwania życia nienarodzonych. Zwolennicy aborcji upatrują w klauzuli sumienia główną przeszkodę w niczym nieograniczonym dostępie do niej, a skoro aborcja jest rozwiązaniem zagwarantowanym konstytucyjnie, to pracodawca będzie musiał znieść wszelkie przeszkody utrudniające w jakikolwiek sposób możliwość zabicia dziecka w łonie matki.

Trudno się łudzić, że będzie inaczej, skoro poprawka do konstytucji zaproponowana przez senatora Alaina Milona z prawicowej partii Republikanie, nadająca klauzuli sumienia w kontekście aborcji również konstytucyjną wagę, została odrzucona przez zdecydowaną większość senatorów, w tym parlamentarzystów ze Zjednoczenia Narodowego. Ginekolodzy, położne i pielęgniarki sprzeciwiający się dzieciobójczym procedurom będą mogli w najlepszym wypadku zmienić zawód lub specjalizację, ich sprzeciw będzie bowiem penalizowany, tak jak ma to dziś miejsce w przypadku farmaceutów odmawiających sprzedaży środków poronnych i antykoncepcyjnych.

CIOS W WOLNOŚĆ SŁOWA

Kolejną wolnością, już w dużej mierze ograniczoną we Francji na mocy wspomnianych powyżej przepisów, będzie wolność słowa, wolność wyrażania opinii na temat aborcji. Gdy aborcja zostaje uznana za wartość konstytucyjną, rodzaj dogmatu, staje się tym samym kwestią poza wszelką dyskusją i sprawą niepodlegającą ocenie.

„W kraju wolnym jak nasz powinno się móc dyskutować o tym, czy embrion jest osobą ludzką, a zatem czy aborcja zabija osobę czy też eliminuje kawałek ciała, powinniśmy mieć prawo myśleć, że późna aborcja jest po prostu dzieciobójstwem" – zastanawia się prof. Chantal Desol na łamach tygodnika „Journal du Dimanche". Już dziś tego rodzaju pytania czy wątpliwości są co najmniej źle widziane, a wkrótce podnoszenie argumentów przeciwko aborcji stanie się po prostu niemożliwe.

Nie da się również w dłuższej perspektywie obronić czasowego ograniczenia możliwości dokonania aborcji na życzenie. Dlaczego zupełnie arbitralnie ustalony termin 14 tygodni nie miałby zostać wydłużony do 24 tygodni, a nawet do końca ciąży? W imię czego miałoby się tak „drastycznie" ograniczać konstytucyjną, gwarantowaną wolność? Przecież już w 2021 r. przegłosowano w Zgromadzeniu Narodowym ustawę bioetyczną umożliwiającą dostęp do aborcji do ostatniego dnia ciąży, szczęśliwie zablokowaną wówczas przez Senat. Otaczające Macrona aktywistki z radykalnie lewicowej partii La France Insoumise, z Mathilde Panot na czele, z pewnością nie zmarnują okazji do zrealizowania swej progresywnej agendy.

Niestety, Francja nie zamierza chować tego „światła postępu" pod korcem. Macron już dwa lata temu, na forum Parlamentu Europejskiego, domagał się wpisania prawa do aborcji do Karty praw podstawowych Unii Europejskiej, gdyż – jak twierdzi – jest ona niezbywalnym prawem człowieka oraz jedną z wartości konstytuujących Europę. Karta ta odrzuca karę śmierci, mówi o szacunku dla każdego życia, ale nie ma w niej słowa o aborcji. Na razie…

50 lat temu sama Simone Veil deklarowała przed francuskim Zgromadzeniem Narodowym: „Mówię to z pełnym przekonaniem: aborcja musi pozostać wyjątkiem, ostatecznym wyjściem w sytuacji bez wyjścia". Doprecyzowywała, że nawet jeśli wprowadzana właśnie ustawa „już jej nie zabrania, to nie tworzy żadnego prawa do aborcji". A w odniesieniu do klauzuli sumienia zapewniała, że jest „oczywiste, iż żaden lekarz czy jego asystent nigdy nie będzie zobowiązany przeprowadzać aborcji".

Co dziś pozostało z zapewnień pani Veil? W tej i innych ideologicznych kwestiach, np. takich jak tzw. małżeństwa par jednopłciowych, Francuzi dali się już wielokrotnie oszukać rządzącym. Być może dlatego, że porzuciwszy swe chrześcijańskie korzenie, żyjąc dziesiątki lat w kłamstwie postępowego świata sprzeciwiającego się normom prawa naturalnego i klasycznej etyki, nie są już w stanie zła dostrzec ani go nazwać. Zdaniem arcybiskupa Paryża Michela Aupetita, poprzez wpisanie aborcji do konstytucji „Francja sięgnęła dna. Stała się państwem totalitarnym".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 948c8be978

Z prof. Michałem Lubiną, politologiem, podróżnikiem, badaczem stosunków międzynarodowych, specjalistą w problematyce stosunków rosyjsko-chińskich
rozmawia Tomasz D. Kolanek

Chiński imperializm i amerykański cynizm

TOMASZ D. KOLANEK: Pana najnowsza książka nosi tytuł „Chiński obwarzanek. Od Tajwanu po Tybet, czyli jak Chiny tworzą imperium". Chiny to trzecie największe państwo świata mające ponad 1,4 mld ludności i drugą gospodarkę świata. Biją kolejne rekordy, jeśli idzie o produkcję przemysłową i wydobycie surowców. Chińska Armia Ludowo-Wyzwoleńcza jest najliczniejsza na świecie. Wydaje mi się w związku z tym, że Chiny są już imperium, a nie dopiero je tworzą...

PROF. MICHAŁ LUBINA: W mojej książce skupiam się na terenach częściowo niechińskich i częściowo okołochińskich. Na przykładzie m.in. wymienionych w tytule Tajwanu czy Tybetu próbuję pokazać, jak wygląda proces budowy, a ściślej rzecz ujmując – odbudowy chińskiego imperium. Tytuły i podtytuły książek muszą być krótkie, żeby czytelnik nie zasnął już na etapie okładki. Proponowałem, aby w tytule było „odbudowują", ale zostałem w redakcji przekonany, by pójść na kompromis.

„Chiński obwarzanek" to opis procesu imperialnego w stylu chińskim, który moim zdaniem dużo lepiej widać na obrzeżach niż w centrum. W centrum mamy bowiem do czynienia z typową, odwieczną perspektywą, to znaczy: w tradycji chińskiej obrzeża były traktowane przez wieki jako terytoria drugorzędne, miejsca do ucywilizowania. Najważniejsze było i jest to, co leży „w środku". Stąd mamy do czynienia ze swego rodzaju „kręgami", które rozszerzają się właśnie z centrum. To w centrum znajduje się władza, która ustala normy i która jest pewnym modelem wyznaczającym trendy. W tradycyjnym chińskim ujęciu Chiny są państwem cywilizującym inne obszary, to jest ich „zadanie moralne". W rzeczywistości tego

eprasa.pl 948c8be978

FOT. ADOBE STOCK

typu hasła są nadbudową chińskiego imperializmu.

Jednak chyba zgodzi się pan z tym, że zawarcie w tytule słów „obwarzanek" i „imperium" to prowokacja?

To szarża publicystyczna. „Obwarzanek" to po pierwsze metafora na kresy wewnętrzne i zewnętrzne, a po drugie to parafraza słów marszałka Józefa Piłsudskiego opisującego II Rzeczpospolitą słowami: „Polska jest jak obwarzanek. Wszystko, co dobre, jest na obrzeżach, a w środku nic". W przypadku Chin, o czym już mówiłem, przez wieki było odwrotnie – to, co w środku, traktowano jako to, co najlepsze, a to, co na obrzeżach, jako drugorzędne. Ale gdybym nazwał książkę „Chińskie kresy", to byłoby to mylące, bo kresy się w Polsce kojarzą jednoznacznie. Poszedłem więc na publicystyczne skróty, bo obwarzanek dziś w Polsce kojarzy się z rubieżami dużych miast, Krakowa, Warszawy, Wrocławia, Poznania, i dlatego jest dość czytelną metaforą. A co do imperium, to nie widzę tu żadnej prowokacji, Chiny są już mocarstwem, a mocarstwo to współczesne słowo określające imperium.

W ostatnim czasie zaroiło nam się od samozwańczych ekspertów od Chin, którzy skupiają się głównie na tym, kiedy Chiny zaatakują Tajwan i wywołają trzecią wojnę światową. Moim zdaniem dużo ciekawsze tematy to kwestie Hongkongu, Makau czy Turkiestanu Wschodniego. Dlaczego Pekinowi tak bardzo zależy, aby „zjeść" te tereny?

W przypadku Hongkongu i Makau Chiny mają podobną motywację jak z Tajwanem. To są wszystko części traktowane przez Pekin jako pewne konsekwencje „100 lat państwowego upokorzenia", jak się w Chinach nazywa okres kolonialny. Te „100 lat państwowego upokorzenia" są taką traumą w dziejach Chin, ponieważ potężne Państwo Środka zostało upokorzone przez Zachód, który poodrywał mu częściowo różne obszary, a jednym z nich był Hongkong.

Jeśli idzie o Makau, to mieliśmy trochę inną sytuację. Ten zajmujący obecnie powierzchnię 33 km kw. region od XVI w. był dzierżawiony przez Portugalczyków, a dopiero w XIX w. Lizbona zdobyła go jako swoją własność.

W tradycyjnym chińskim ujęciu Chiny są państwem cywilizującym inne obszary, to jest ich „zadanie moralne"

Z kolei Tajwan najpierw zabrali Chinom Japończycy, a następnie na skutek wojny domowej i ucieczki na tę wyspę Czang Kaj-szeka i Kuomintangu doszło do „podziału Chin".

Wszystkie trzy regiony – Makau, Hongkong i Tajwan – w chińskiej mentalności łączą się z okresem „100 lat państwowego upokorzenia" i wszystkie są traktowane na emocjonalnie podobnym poziomie.

Pyta pan również o Turkiestan Wschodni nazywany też Ujgurią bądź Xinjiangiem (Sinciangiem). Zasadniczo jest to obszar wchłonięty przez Chiny stosunkowo późno, bo dopiero w XVIII w. Tak na dobrą sprawę Turkiestan przez dwa wieki był „ciałem obcym" w Chinach, ponieważ mieszkało tam niewielu Chińczyków, a co za tym idzie, była słaba kontrola centrum nad tym terytorium. Mniej więcej w połowie XX w. rozpoczyna się tam wyraźna

eprasa.pl 948c8be978

akcja sinizacyjna, przede wszystkim kolonizacyjna, w wyniku czego Chińczycy dziś już stanowią tam większość.

Sinciang zafunkcjonował w szerszej świadomości publicznej, społecznej w podobnym duchu jak Tybet, to znaczy: ponieważ bezczelnie z chińskiego punktu widzenia Ujguria zamarzyła o jakiejś autonomii i niezależności, a do tego uzyskała częściowe poparcie zagranicy, to w odpowiedzi Chińczycy zareagowali bardzo emocjonalnie, podkreślając, że nie ma o tym mowy, a potem spacyfikowali Sinciang. Ta pacyfikacja ostatecznie domknęła proces sinizacyjny Turkiestanu Wschodniego. Dla Ujgurów, podobnie jak dla Tybetańczyków, nie ma już żadnej politycznej nadziei.

O Ujgurów półgębkiem przez jakiś czas upominali się Amerykanie, chociażby nakładając sankcje na kolejne chińskie instytucje oskarżane o dokonywanie ludobójstwa na Ujgurach właśnie. Po co Amerykanie bawili się w taką symbolikę i dawanie fałszywej nadziei, skoro w chwili minimalnej próby zapominają o Ujgurach, a Chińczycy w odwecie potrafią jednorazowo wymordować więcej Ujgurów, niż zginęło osób od początku wojny między Izraelem a Palestyną?

Tutaj trzeba zwrócić uwagę na kilka kwestii. Pierwsza to cynizm: Amerykanie zaczęli coraz głośniej mówić o tym, co dzieje się w Turkiestanie Wschodnim, aby wykorzystać to w swojej antychińskiej propagandzie w trwającej między Waszyngtonem a Pekinem rywalizacji. USA potraktowały jednak Ujgurów w sposób czysto instrumentalny i nie ma co do tego wątpliwości. W „Chińskim obwarzanku" zwracam uwagę, że 20 lat temu relacje amerykańsko-chińskie były poprawne, a nawet dobre, i w związku z tym USA zgodziły się wpisać różne organizacje ujgurskie na listę terrorystów. Dwie dekady później lista została zmieniona, organizacje ujgurskie z niej wykreślono, a Amerykanie nazwali to, co się dzieje w Sinciangu, ludobójstwem. Jest to klasyczna mocarstwowa hipokryzja. Więc „cyniczna interpretacja" jest prawdziwa, ale to nie jest pełny obraz. Pamiętajmy o tym, że na Zachodzie mamy mniej lub bardziej pluralistyczne społeczeństwa i wieści, które docierały z Chin na temat prześladowań Ujgurów, poruszyły znaczne części zachodniej publiki, a zwłaszcza muzułmanów, którzy są na Zachodzie coraz bardziej wpływowi. Mieliśmy kilka głośnych protestów przeciwko temu, co Chińczycy robią Ujgurom. Te protesty doprowadziły do tego, że zachodni politycy uznali, że jednak „coś trzeba zrobić", bo czuli presję ze strony własnych wyborców.

Postanowiono więc zastosować klasyczną zachodnią zasadę, czyli „sygnalizację cnoty" – niewiele kosztuje, gdy się kogoś potępia i nakłada symboliczne sankcje, ale na opinii publicznej robi to wrażanie, że władza działa, że ma jakiś wpływ. Społeczeństwa czują się zadowolone, ponieważ myślą, że ich protesty na coś się przydały, a potem o sprawie zapominają. Samym Ujgurom to niewiele pomogło.

Żyjemy w rzeczywistości medialnej, w której prędzej czy później temat przestaje „grzać" i się o nim zapomina. Tak się stało niestety z Ujgurami, co nie zmienia jednak faktu, że Zachód jednak jakoś wstawiał się za nimi w przeciwieństwie np. do państw muzułmańskich. Świat islamski nie jest jednolity, może z wyjątkiem krytyki Zachodu – wtedy jest. Jeśli zaś chodzi o Ujgurów, to kraje muzułmańskie wolą dbać o relacje z Chinami i los Ujgurów jest im obojętny.

Sinciang jest obecnie najbardziej zinwigilowanym miejscem na świecie. Zastosowano np. algorytmy do rozpoznawania twarzy

Dlaczego Chiny w przypadku Ujgurów używają takich, a nie innych metod, które są określane jako ludobójstwo?

Gdybyśmy zaczęli wchodzić w szczegóły i badać, czy działania Pekinu wobec Ujgurów spełniają definicję ludobójstwa zaproponowaną przez Rafała Lemkina, to jestem przekonany, że byłby wielogłos, część badaczy stwierdziłaby, że w Ujgurii trwa ludobójstwo, a inni, że wcale nie. Podobnie jest zresztą w innych głośnych przypadkach represji w ostatnich latach, jak chociażby na Sri Lance czy w Birmie.

A dlaczego Chińczycy się tak zachowują? Ponieważ Ujgurzy w przeciwieństwie do Tybetańczyków walczyli nie tylko pokojowo, lecz także przemocowo, a nierzadko również terrorystycznie. To doprowadziło do sytuacji, w której Chińczycy zaczęli wdrażać z całą mocą w życie słowa Xi Jinpinga: „Nie okazujcie absolutnie żadnej litości i wzorujcie się na Amerykanach po 11 września". Ujgurzy zostali spacyfikowani w takim stopniu, o którym Amerykanie chyba nawet by nie pomarzyli.

Co ciekawe, Chińczycy wprzęgli do pacyfikacji Ujgurów tradycyjną, wyjątkowo parszywą, ale jednocześnie niezwykle pragmatyczną metodę inwigilacji: do rodzin aresztowanych partia komunistyczna wysyła swoich urzędników, aby z nimi mieszkali i ich szpiegowali. Jest to absolutnie perfidne, ale skuteczne. Druga metoda jest bardziej nowoczesna i polega na zastosowaniu do inwigilacji współczesnych technologii. Chiny są obecnie mistrzami, jeśli chodzi o inwigilację, i prawdopodobnie Sinciang jest obecnie najbardziej zinwigilowanym miejscem na świecie. Towarzysze północnokoreańscy mogą tylko pomarzyć o takiej technologii inwigilacyjnej, a Chińczycy nie dość, że ją mają, to jeszcze ją stosują. Jest to w pewien sposób niesamowite, ponieważ w Sinciangu zastosowano algorytmy do rozpoznawania twarzy, siatkówek oczu, głosu; miasta są podzielone na kwartały; praktycznie wszędzie są checkpointy etc. Jest to absolutnie Orwellowska rzeczywistość. Tak oto pożeniono totalitarną tradycję z totalitarną nowoczesnością i dzięki temu ostatecznie Chiny osiągnęły, co chciały, to znaczy spacyfikowały Ujgurów.

Dlaczego o Ujgurów nie upomnieli się Turcy, którzy tak mocno, w chwili, kiedy rozmawiamy, upominają się o los Palestyńczyków, a w przypadku Ujgurów, którzy są z nimi spokrewnieni, milczą? To samo przecież tyczy się Pakistanu – tam również „cisza i spokój"...

Świat islamu jest podzielony, a jego przywódcy nie są naiwni. Wiedzą, co można wykorzystać politycznie i propagandowo, a co im się nie opłaca. Dla świata islamskiego to, co dzieje się w Ziemi Świętej, jest dużo istotniejsze niż to, co dzieje się gdzieś na peryferiach.

Ujgurzy nigdy nie byli żadnym ważnym ludem w świecie islamu. Starożytni

eprasa.pl 948c8be978

Ujgurzy rzeczywiście mieli swój język, pismo, kulturę wysoką etc. To wszystko było na dość elitarnym poziomie, ale to były czasy przedislamskie, a potem Ujgurzy zasymilowali się do ludów tureckich i chociaż odrodzili się w XX w., to nigdy do dawnej świetności nie nawiązali. Współcześnie Ujgurzy są traktowani przez świat islamu co najwyżej jako dość ubodzy krewni.

Ponadto antyzachodnie podejście do życia jest w świecie islamu dużo silniejsze niż podejście antychińskie. Chiny są generalnie traktowane przez świat islamu jako swoisty sojusznik w niechęci do Zachodu. Co by mówić, Państwo Środka też było kolonizowane, tak jak w pewnym sensie Turcja była kolonizowana. Oczywiście nie została skolonizowana do końca, ale swoje wycierpiała i do dzisiaj ma traumę postkolonialną i w efekcie takie wydarzenie jak wojna w Ziemi Świętej ożywia te klisze antykolonialne. Natomiast Chińczycy prześladujący Ujgurów to temat niewzbudzający emocji. To jest coś odległego, dalekiego, mało kto o tym mówi, a poza tym Chiny mają neutralny, jeśli nie pozytywny, wizerunek jako państwo stawiające się Amerykanom, czyli cywilizacji Zachodu.

Jeszcze łatwiej wyjaśnić postawę Pakistanu. Jest to najbliższy kraj dla Chin w całej Azji. Nie ma bliższego. Pakistan i Chiny są oficjalnie „przyjaciółmi na każdą pogodę". Kiedyś Pakistan był dość mocno proamerykański, a w ostatnich dwóch dekadach postawił na Chiny, żeby mieć przeciwwagę dla Indii. Z tej perspektywy dla Pakistanu relacje z Chinami są absolutnie strategicznie najważniejsze, więc nie będą sobie ich psuć dla jakichś odległych muzułmańskich krewnych, z którymi nie mają nic wspólnego poza wiarą.

Rok 2008. Rządzący wówczas w Polsce politycy z koalicji PO-PSL rozdzierali szaty i sugerowali wręcz, że będą umierać za Tybet. Było to związane z organizowanymi wówczas w Chinach igrzyskami olimpijskimi...

Chiny nie były i nie są gwarantem polskiego bezpieczeństwa...

Ale w jakiś sposób są gwarantem naszej pomyślności. Chiny to ogromny rynek zbytu i równie wielki producent towarów, z których korzysta praktycznie każdy na świecie.

Gospodarczo z Chinami Polska traci. Dostajemy tzw. chińszczyznę, a nie mamy wielkich korporacji, które mogłyby robić wielkie interesy

To prawda, ale też nie przesadzajmy. Dla Europy Zachodniej Chiny na pewno są gospodarczo ważne, ale Polska ma bilans handlowy z Chinami skrajnie negatywny.

Generalnie gospodarczo z Chinami Polska traci, ponieważ dostaje to, co reszta, czyli tzw. chińszczyznę – masowe produkty z Państwa Środka raz lepszej, raz gorszej jakości – a jednocześnie nie mamy wielkich korporacji, które mogłyby robić w Chinach poważne interesy. Takie firmy mają Niemcy, Francuzi czy Brytyjczycy i dla nich wymiana gospodarcza z Chinami jest bardziej zrównoważona. Dla nas, podkreślam, ta wymiana jest negatywna. Oczywiście są pewne wyjątki, ale generalnie Chiny dla Polski nie są aż tak kluczowym partnerem.

Druga sprawa: proszę pamiętać, że „rozdzieranie szat i umieranie za Tybet" miało miejsce w 2008 r., czyli „całą wieczność" temu. W Polsce mieliśmy do czynienia wówczas z syndromem Tiananmen – Chiny kojarzyły się niemal wszystkim z masakrą własnych obywateli i łamaniem praw człowieka. Dla naszych polityków była to jednak spora egzotyka.

W roku 2008 Chiny i Tybet były dla naszych polityków elementem kompleksu „słońca Peru". Przypomnę: premier Tusk poleciał wówczas do Peru, za co został wyśmiany. To, że stał się on obiektem kpin i szyderstw, sprawiło, iż nasi rządzący przestraszyli się rozwijania relacji z państwami pozaeuropejskimi, ponieważ bali się oskarżeń, że robią to, aby urządzać sobie wycieczki. Później to się oczywiście zmieniło i już nikt nie zwracał na to uwagi, jednak w 2008 r., kiedy nasi politycy zapowiadali wyjazd do Chin na igrzyska olimpijskie, różne organizacje praw człowieka atakowały ich, że nie robią nic w sprawie Tybetu. Nasi politycy nie wiedzieli, jak się zachować, i wygadywali różne nie do końca mądre oświadczenia lub „świecili oczami". Zupełnie inną strategię zastosowali politycy zachodni, np. kanclerz Angela Merkel, która jeździła do Chin, gdzie robiła kokosowe interesy, a na końcu, jako ostatni punkt wizyty, półgębkiem napomykała o Tybecie i prawach człowieka, co oczywiście nic sytuacji tychże nie zmieniało.

Celowo przywołałem rok 2008 i kwestię Tybetu, który również był i jest cynicznie wykorzystywany przez Zachód do jakichś geopolitycznych rozgrywek...

Na pewno CIA cynicznie wykorzystała naiwność Tybetańczyków, kiedy ci jeszcze walczyli zbrojnie z Chińczykami. To jest ewidentne.

Hollywood również wykorzystywało Tybet.

Tutaj sprawa wygląda nieco inaczej. Dalajlama i jego fani zbudowali sobie na Zachodzie pewne lobby, które w pewnym momencie było niezwykle wpływowe w popkulturze. Jego działania opierały się na pewnym złudzeniu, że uda się osiągnąć jakieś konkretne cele z zachowaniem autonomii Tybetu włącznie poprzez naciski zewnętrzne na Chiny. To się jednak nie udało.

Generalnie założenie Tybetańczyków było takie, że dzięki wpływaniu przez kulturę i nie tylko na zachodnich decydentów będzie można coś ugrać z Chinami. Okazało się to błędem. Chińczycy i tak zrobili, co chcieli z Tybetem, czyli go schińszczyli.

Trzydzieści lat Tybet funkcjonował w zachodniej popkulturze, ale w końcu się znudził. Nie da się bowiem jednym tematem grać za długo. To jest niewykonalne.

A że Zachód cynicznie wykorzystywał Tybet... No cóż... Dalajlama był postacią niesamowicie medialną. Pokazywanie się z nim było korzystne dla zachodnich polityków tak jak powtarzanie pustych frazesów o „wolnym Tybecie", za które nic nikomu nie groziło. Tyle że Chiny to przeczekały i doczekały się politycznego zmierzchu tybetańskiego przywódcy.

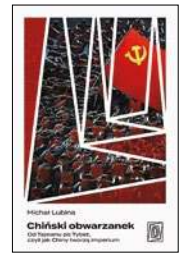

MICHAŁ LUBINA „CHIŃSKI OBWARZANEK" SZCZELINY 2023

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 948c8be978

Maciej Pieczyński

Lista „wrogów Ukrainy"

Krytykujesz politykę Kijowa? Nawet jeśli jednocześnie potępiasz Rosję, to możesz trafić na listę wrogów Ukrainy. Tworzy ją Centrum „Myrotworeć" – organizacja pozarządowa, ale kierowana przez byłego oficera SBU

Centrum „Myrotworeć" (ukr. Rozjemca) od 2014 r. tworzy i publikuje na swojej stronie internetowej dane osób, które zagrażają bezpieczeństwu narodowemu Ukrainy czy łamią prawo międzynarodowe. Nie tylko Ukraińców, lecz także obcokrajowców. Organizacja wykorzystuje metody OSINT – białego wywiadu. Czyli zbiera informacje z ogólnodostępnych źródeł i na tej podstawie tworzy swoją bazę danych. Trafiają do niej zarówno prawdziwi wrogowie Ukrainy, rosyjscy kolaboranci, prorosyjscy separatyści, zdrajcy, jak i politycy, aktywiści czy dziennikarze krytyczni wobec konkretnych działań Kijowa. I to nawet jeśli jednocześnie potępiają Rosję.

W OGNIU KRYTYKI

Obok nazwiska, zdjęcia i afiliacji „wroga" publikowane jest też krótkie uzasadnienie. W ostatnich miesiącach do bazy trafili m.in. politycy Konfederacji: Krzysztof Bosak, Grzegorz Braun czy lider protestów rolniczych Rafał Mekler. Tego ostatniego w bazie opisano jako „nazistę" i „prawdopodobnie współpracownika służb specjalnych Rosji". Z listy zniknęło nazwisko wicemarszałka Sejmu.

Na wstępie zaznaczę, że sam trafiłem na listę „Myrotworcia" w grudniu ubiegłego roku, co najlepiej świadczy o nadgorliwości jej twórców.

Nie jestem jedynym polskim dziennikarzem wziętym pod lupę przez „Myrotworcia". W 2016 r. ukraińscy hakerzy włamali się do serwerów władz samozwańczej Donieckiej Republiki Ludowej. Uzyskane w ten sposób dane w kontrowersyjny sposób wykorzystał „Myrotworeć". Opublikował nazwiska, numery telefonów i adresy e-mailowe ponad 4 tys. dziennikarzy, którzy otrzymali akredytację od DRL. Z opisu listy można było się dowiedzieć, że są to osoby, które „współpracowały z bojownikami organizacji terrorystycznych". Znaleźli się na niej zarówno rzeczywiści kremlowscy propagandyści, jak i polscy czy zachodni dziennikarze, którzy krytycznie pisali o separatystach, ale musieli zwrócić się o akredytację, by móc bezpiecznie pracować na kontrolowanych przez nich terenach. Wśród nich np. Paweł Pieniążek, którego trudno posądzać o niechęć do Ukrainy. Na liście byli też ukraińscy dziennikarze, absolutnie lojalni wobec swojego państwa.

Publikacja wywołała burzę. Ukraińscy i zagraniczni dziennikarze (w tym Paweł Pieniążek i Piotr Andrusieczko z „Gazety Wyborczej") wystosowali do władz Ukrainy list otwarty, w którym przekonywali, że akredytacja nie oznacza współpracy. Wielu spośród napiętnowanych przez „Myrotworcia" dziennikarzy dzięki akredytacji opisywało zbrodnie wojenne agresora w Don-

eprasa.pl 948c8be978

basie. Sygnatariusze listu domagali się pociągnięcia Centrum do odpowiedzialności karnej za publikację danych osobowych, a także za naciski i groźby pod adresem dziennikarzy. Nielegalny charakter działań Centrum skrytykowała też deputowana do Rady Najwyższej z Frontu Ludowego, jedna z liderek Euromajdanu, Wiktoria Siumar, co do zasady jednak broniąc samej idei piętnowania wrogów Ukrainy.

Na list otwarty pozytywnie odpowiedziała jedynie wiceminister polityki informacyjnej Tetiana Popowa. Poza nią nikt z rządu „Myrotworcia" nie potępił. Popowa zgłosiła zawiadomienie do prokuratury. Z oficjalną krytyką za publikację danych dziennikarzy oraz z żądaniem ukarania współpracowników Centrum wystąpiły MSZ Rosji, a także międzynarodowe organizacje zrzeszające dziennikarzy, Departament Stanu USA, przedstawiciel UE na Ukrainie, OBWE czy ukraiński rzecznik praw człowieka.

Miażdżąca krytyka sprawiła, że „Myrotworeć" ogłosił nawet swoją likwidację. Jednym z powodów była też obawa o to, że podczas postępowania karnego mogą wypłynąć dane współpracowników Centrum działających na terenach kontrolowanych przez separatystów. U jednych kontrowersje budziła działalność „Myrotworcia", u drugich – jego zamknięcie. Rozpoczęły się protesty w obronie Centrum, w Internecie masowo powstawały petycje w tej sprawie. Po stronie poszukiwaczy „wrogów Ukrainy" stanęły m.in. nacjonalistyczne organizacje Prawy Sektor i S-14. Domagano się dymisji kierownictwa Ministerstwa Polityki Informacyjnej.

Ostatecznie „Myrotworeć" wznowił działalność. Danych dziennikarzy usunąć nie zamierzał. Niezadowolenie Zachodu tym faktem rosło. Z żądaniem usunięcia listy wystąpiły państwa „wielkiej siódemki". Dzień później prezydent Petro Poroszenko oświadczył, że – co prawda – potępia publikację Centrum, ale nie ma narzędzi nacisku na „niezależną stronę internetową". W 2017 r. Narodowy Bank Ukrainy zarekomendował prywatnym ukraińskim bankom, aby w celu przeciwdziałania finansowaniu terroryzmu korzystały z zasobów bazy „Myrotworeć".

POLITYCZNE NARZĘDZIE

Twórcy bazy zaktualizowali listę, przepraszając tych, którzy pojawili się na niej niesłusznie, i tłumacząc się, że otrzymali ją z niepewnego źródła. Jednak na nowej liście pozostało mnóstwo nazwisk polskich i zachodnich dziennikarzy. W 2017 r. wiceszef misji ONZ do spraw praw człowieka na Ukrainie, Benjamin Moreau, stwierdził, że „Myrotworeć" narusza prawo do życia prywatnego oraz domniemanie niewinności.

Baza stała się też narzędziem w politycznej walce wewnętrznej. Trafiły do niej nazwiska Micheila Saakaszwilego czy Julii Tymoszenko. Były prezydent Gruzji i były gubernator obwodu odeskiego znalazł się na liście wrogów, gdy we wrześniu 2017 r., pomimo utraty obywatelstwa Ukrainy, nielegalnie przekroczył jej granicę i wdał się w przepychanki z pogranicznikami. Tymoszenko mu w tym towarzyszyła. Co ciekawe, otwarcie prorosyjski polityk Wiktor Medwedczuk zasłużył na miejsce na liście „Myrotworcia" dopiero w lutym 2019 r. Po dojściu do władzy Wołodymyr Zełenski kontynuował podejście poprzedników wobec tropicieli wrogów Ukrainy. Umywał ręce, przekonując, że władza nie może wpływać na niezależne organizacje. Kontrowersje tymczasem nie zniknęły. Wiceszef misji ONZ Benjamin Moreau nadal apelował do rządzących w Kijowie, aby wymogli na „Myrotworciu" zaprzestanie nielegalnych działań. W jednym z wystąpień przytoczył przykład człowieka, który został zamordowany w Mariupolu po tym, jak stanął przez sądem „w związku z konfliktem w Donbasie", a jego dane pojawiły się w bazie. W 2021 r. Parlament Europejski przyjął rezolucję wzywającą Ukrainę do zamknięcia „Myrotworcia".

Po wybuchu pełnoskalowej wojny Zachód przestał naciskać na likwidację kontrowersyjnej bazy. Ta zaś nie tylko nie przestała działać, lecz także zadziwiać. W styczniu 2024 r. za wrogów Ukrainy uznano dwoje komików, którzy żartowali z rosyjskojęzycznych Ukraińców. Skecz był częścią noworocznego występu grupy kabaretowej Kwartał 95. Grali w nim Jurij Wełykyj (jako Ukrainiec z zachodu) oraz Iryna Hatun (jako uchodźczyni z donbaskiego Skadowśka, mieszająca język ukraiński z rosyjskim). Wełykyj to po odejściu Zełenskiego największy gwiazdor Kwartału, w którym zresztą parodiuje samego prezydenta. Hatun dodatkowo trafiła na czarną listę, ponieważ występowała na Krymie po jego aneksji. Do bazy wpisany został też gwiazdor popularnego również na Ukrainie rosyjskiego serialu „Słowo pacana" Nikita Kołogriwyj. Serial nie jest antyukraiński, ale sam aktor publicznie poparł „specoperację".

KTO ZA TYM STOI?

Rozprzestrzeniane były też (prawdopodobnie przez rosyjskie służby) fejki o rzekomym wpisaniu do „Myrotworcia" prezydenta Andrzeja Dudy czy papieża Franciszka. Radykalizm twórców bazy daje kremlowskiej propagandzie pretekst do atakowania Kijowa za tworzenie „list proskrypcyjnych". Nawiasem pisząc, trzeba przyznać, że wielu prawdziwych wrogów Ukrainy – kolaborantów agresora – których działania opisał „Myrotworeć", zostało zlikwidowanych przez ukraińskie służby.

Z jednej strony Kijów ma formalnie rację, że Centrum jest organizacją pozarządową, więc rząd za nią nie odpowiada. Z drugiej strony to oczywiste, że państwo blisko z „Myrotworciem" współpracuje. Media rosyjskie i część ukraińskich od dawna twierdzą, że Centrum zarządza wieloletni doradca szefa MSW Anton Heraszczenko. Władze konsekwentnie zaprzeczają. Wiadomo natomiast, że Centrum powstało jesienią 2014 r. z inicjatywy grupy wolontariuszy, pomagających armii ukraińskiej, skupionych wokół Heorhija Tuki, który wkrótce potem został szefem administracji obwodu ługańskiego, a następnie wiceministrem do spraw terytoriów okupowanych. Oficjalnie kierownikiem Centrum jest były oficer SBU Roman Zajcew. Sama organizacja została założona w jesienią 2014 r. Naiwnością byłoby twierdzić, że dziś nie ma ona nic wspólnego z ukraińskimi służbami.

Trafienie do bazy „Myrotworcia" nie ma żadnych bezpośrednich skutków prawnych. MSW, SBU czy HUR mogą, ale nie muszą automatycznie sugerować się danymi, zebranymi przez Centrum. Wiadomo jednak, że biorą je pod uwagę. Co ciekawe, pierwszym funkcjonariuszem organów MSW, który wykorzystał w pracy operacyjnej bazę „Myrotworcia", był w 2014 r. ówczesny wiceszef kierownictwa MSW w obwodzie donieckim Ilja Kywa, który po inwazji przeszedł na stronę Rosji. W grudniu 2023 r. został zastrzelony pod Moskwą. Na rozkaz SBU.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 948c8be978

Kary za ciepło

Tomasz Cukiernik

Unijna polityka energetyczno-klimatyczna może doprowadzić do bankructw elektrociepłowni i w rezultacie do marznięcia milionów Polaków we własnych mieszkaniach

Niemal ćwierć miliarda złotych kary dostała EC Będzin Wytwarzanie sp. z o.o. z województwa śląskiego, która na czas nie rozliczyła uprawnień do emisji dwutlenku węgla. Otóż pod koniec 2023 r. Wojewódzki Inspektorat Ochrony Środowiska w Katowicach nałożył na spółkę karę administracyjną w wysokości ponad 247,8 mln zł „za niedokonanie w terminie rozliczenia uprawnień do emisji CO_2 za rok 2020". O tym, jak gigantyczna jest to kara, świadczy to, że w roku 2020, czyli tym samym, za który ją wydano, łączne przychody spółki wyniosły 150 mln zł, co oznacza, że kara wyniosła 165 proc. przychodów! – Samo to pokazuje pewną absurdalność tego systemu – skomentował w internetowej Telewizji Biznesowej Marcin Chodkowski, prezes zarządu EC Będzin SA, która to spółka jest spółką matką wobec EC Będzin Wytwarzanie, podkreślając, że tego obowiązku nałożonego przez państwo nie da się zrealizować z powodów ekonomicznych.

NIEDORZECZNY SYSTEM

Konieczność rozliczenia oraz kary za nierozliczanie wynikają z ustawy o systemie handlu uprawnieniami do emisji gazów cieplarnianych, która została wdrożona w związku z polityką energetyczno-klimatyczną Unii Europejskiej. To efekt tego, że przed laty polskie władze podpisały unijny cyrograf wprowadzający nasz kraj do niedorzecznego systemu ETS. Absurdalność sytuacji obrazowo

eprasa.pl 948c8be978

FOT. ADOBE STOCK

przedstawia w Telewizji Biznesowej prezes Chodkowski: – Państwo mówi tak: nakładam na ciebie obowiązek publicznoprawny, który jest niemożliwy do zrealizowania, a jeśli go nie zrealizujesz, to jeszcze cię obciążę karą.

No to może elektrociepłownia powinna radykalnie podnieść mieszkańcom Zagłębia Dąbrowskiego ceny ciepła i w ten sposób zaoszczędzić pieniądze na certyfikaty? Niestety, tak nie mogła zrobić, bo „rynek" ten jest regulowany. Z jednej strony unijna polityka i polskie prawo zmuszają elektrociepłownie do marnowania gigantycznych kwot na nikomu niepotrzebne uprawnienia do emisji CO_2, a z drugiej strony Urząd Regulacji Energetyki ustanawia maksymalne urzędowe taryfy za ciepło, obniżając w ten sposób przychody elektrociepłowni. Podobnie wygląda sytuacja w przypadku energii elektrycznej. Producent nie ma wpływu na cenę sprzedaży wytworzonej energii cieplnej i elektrycznej.

W 2020 r. przychody ze sprzedaży spółki EC Będzin Wytwarzanie wyniosły 150,8 mln zł, a koszty działalności 135,3 mln zł, co w normalnej gospodarce oznaczałoby całkiem niezły zysk w wysokości 15,5 mln zł. Niestety, w tym momencie wtrąciła się Bruksela ze swoim ETS i nakazała zmarnować 79,4 mln zł, których firma najzwyczajniej nie miała. Identycznie sytuacja wyglądała w kolejnych latach. W 2022 r. przychody wyniosły 321,7 mln zł, a łączne koszty działalności operacyjnej – 313,6 mln zł, co daje zysk na poziomie 8,1 mln zł. Niestety, wartość certyfikatów EUA koniecznych do rozliczenia uprawnień do emisji CO_2 za rok 2022 sięgnęła kwoty… 162,1 mln zł. Zakup certyfikatów spowodowałby deficyt w wysokości 73,8 mln zł. Dlatego spółka mogła wypełniać obowiązek umarzania certyfikatów za emisję dwutlenku węgla tylko w ograniczonym zakresie. Sytuacja jest tym bardziej kuriozalna, że koszt uprawnień do emisji CO_2, które spółka miała kupić, był znacznie wyższy niż koszt całego paliwa produkcyjnego (węgiel, biomasa, mazut). Na przykład w 2021 r. koszt paliwa wyniósł 81,5 mln zł, a koszt certyfikatów, które spółka powinna kupić – aż 184,8 mln zł. Jak przedstawiciele firmy napisali w oświadczeniu: „To jasny sygnał, że obecny sposób realizowania polityki klimatycznej przyjętej przez Unię Europejską i polski rząd stawia firmy takie jak EC Będzin Wytwarzanie przed zadaniem niemożliwym do zrealizowania i oderwanym od realiów ekonomicznych i gospodarczych pozostających poza naszą kontrolą".

Dorzucenie kary przez WIOŚ w Katowicach może spowodować problemy finansowe elektrociepłowni, a w efekcie mieszkańcy Będzina, Sosnowca i Czeladzi mogą zostać pozbawieni ciepła w swoich domach. Nie tylko oni zresztą, bo będzińska elektrociepłownia dostarcza ciepło także do szkół, szpitali i innych instytucji użyteczności publicznej. Na razie jest to decyzja organu pierwszej instancji, która nie ma charakteru ostatecznego, nie podlega wykonaniu, a zarząd EC Będzin Wytwarzanie wniósł odwołanie do organu drugiej instancji. Zdaniem prezesa Chodkowskiego istnieją poważne wątpliwości co do zgodności z konstytucją przepisów, na których oparto decyzję Wojewódzkiego Inspektoratu Ochrony Środowiska w Katowicach. Otóż w przypadku analogicznego mechanizmu ustalania wysokości kary w innej sprawie Trybunał Konstytucyjny w wyroku z 2014 r. stwierdził, że przepisy – ustalające karę w sztywno określonej wysokości bez względu na okoliczności czynu – są niezgodne z art. 64 ust. 1 i 3 w związku z art. 31 ust. 3 Konstytucji RP.

ETS TOPI FIRMY

Podobne problemy mają inne polskie elektrociepłownie zasilane paliwami kopalnymi. Na przykład elektrociepłownia w Wolbromiu dostała od Wojewódzkiego Inspektoratu Ochrony Środowiska w Krakowie karę w wysokości ponad 10 mln zł, a spółka Fameg-Energia z Radomska od Wojewódzkiego Inspektoratu Ochrony Środowiska w Łodzi – karę ponad 10,2 mln zł. Z tego samego tytułu za kolejne cztery lata ukarano także firmę Elsen SA w upadłości w Częstochowie (dawna siłownia hutnicza). Łączna wysokość kar dla Elsen za lata 2018–2021 wyniosła niemal 80 mln zł. Decyzja o wysokości kary za rok 2022 nie została jeszcze wydana. Postępowanie administracyjne jest w toku. Pogorszenie sytuacji finansowej Elsenu oraz wniosek o upadłość wynikały m.in. z konieczności kupowania uprawnień do emisji CO_2. Obowiązek ten powodował rosnące zadłużenie firmy. W 2022 r. spółka zmieniła proces produkcji ciepła z gazu na biomasę, reagując w ten sposób na rosnące ceny uprawnień, ale było już za późno, bo 5 września 2022 r. sąd gospodarczy w Częstochowie ogłosił upadłość likwidacyjną Elsenu.

– W historii istnienia rynku uprawnień do emisji (czyli od 2005 r.) nie odnotowano wyższych wzrostów cen EUA jak w latach 2021–2022. Kurs EUA wynosił w styczniu 2022 r. 80,65 euro, w styczniu 2021 r. wynosił 34,92 euro. Wzrost cen świadectw EUA w 2021 r. w stosunku do roku poprzedniego wynosił średnio 64 proc. Obciążenia z tytułu EUA spowodowały, że w spółce Elsen SA w 2021 r. wyniki z działalności były ujemne mimo wzrostu przychodów.

eprasa.pl 948c8be978

Kolejnym ważnym dla spółki obciążeniem była decyzja o nałożeniu kary przez śląski wojewódzki inspektorat ochrony środowiska za niedokonanie rozliczenia wysokości emisji za rok 2018 w wysokości 16 479 442 zł – tłumaczy Katarzyna Nijander, dyrektor do spraw finansowych firmy Elsen.

Spytałem groteskowe Ministerstwo Klimatu i Środowiska, czy szacowało koszty zakupu uprawnień do emisji CO_2 nałożone na produkcję ciepła przez elektrociepłownie i ciepłownie. Dostałem następującą odpowiedź: „Koszty zakupu uprawnień do emisji są trudne do oszacowania. Zależą one bowiem od cen uprawnień do emisji na rynku, które obecnie podlegają bardzo dużym wahaniom, a także od liczby uprawnień do emisji przyznawanych bezpłatnie na wytwarzanie ciepła (która jest powiązana z działaniami redukcyjnymi w danej instalacji)". To oznacza, że politycy wydali zgodę, by Polska weszła do EU ETS, bez zawracania sobie głowy niewiadomymi kosztami, jakie to za sobą pociągnie. Pojawiły się już nawet propozycje, by z tego tytułu mocniej drenować kieszenie podatników. – Aby zadbać o bezpieczeństwo energetyczne Polaków w ciepłownictwie systemowym, konieczne jest zwiększenie maksymalnego poziomu pomocy publicznej, określonego w zmienionych w marcu 2023 r. na niekorzyść przepisów unijnych, z poziomu 30–45 proc. kosztów kwalifikowanych obecnie do co najmniej 60 proc. Bez tej zmiany polskich przedsiębiorstw energetycznych może nie być stać na utrzymanie takiego tempa transformacji, którego wymaga od nas Unia Europejska w przepisach pakietu „Fit for 55" – mówi w rozmowie z wnp.pl Dorota Jeziorowska, dyrektorka Polskiego Towarzystwa Elektrociepłowni Zawodowych.

Według raportu Polskiego Towarzystwa Elektrociepłowni Zawodowych z 2023 r. wypełnienie wymagań unijnego pakietu „Fit for 55" będzie wymagało od Polski poniesienia nakładów, w zależności od scenariusza, na poziomie od 94 mld zł do 178 mld zł na infrastrukturę wytwórczą, od 76 mld zł do 100 mld zł na infrastrukturę przesyłową i dystrybucyjną oraz od 106 mld zł do 140 mld zł na modernizację instalacji odbiorczych. Łącznie daje to niepotrzebny astronomiczny koszt od 276 mld zł do 418 mld zł! Z kolei według Konfederacji Lewiatan koszty transformacji ciepłownictwa w Polsce do 2030 r. wyniosą 110 mld euro, a do 2050 r. – 297 mld euro.

15 MLN POLAKÓW W ZIMNIE

A możne bardziej winni są urzędnicy wojewódzkich inspektoratów ochrony środowiska? Otóż – jak wyjaśnia Wojewódzki Inspektorat Ochrony Środowiska w Katowicach – wszczęcie postępowania i nałożenie kary są obligatoryjne, a przepisy nie przewidują możliwości innego działania wojewódzkich inspektoratów. Także wysokość kary jest ściśle określona w przepisach, które nie pozostawiają w tej kwestii żadnej uznaniowości. Wysokość kary jest wyliczana poprzez pomnożenie liczby nieumorzonych uprawnień przez 100 euro (zwaloryzowane o wskaźnik HICP publikowany przez Eurostat) i przez kurs euro NBP. Spółka EC Będzin Wytwarzanie nie umorzyła za rok 2020 uprawnień do emisji w liczbie 514 571. Wysokość kary została wyliczona w następujący sposób: 514 571 uprawnień razy 105,76 euro razy 4,5539 zł, co dało kwotę 247 827 923 zł.

523 mln zł

CO NAJMNIEJ TYLE W LATACH 2018–2022 MUSIAŁABY ZMARNOWAĆ ELEKTROCIEPŁOWNIA BĘDZIN NA CO_2, GDYBY SPEŁNIŁA UNIJNE WYMOGI

Gdyby spełniła unijne wymogi, to w latach 2018–2022 elektrociepłownia Będzin musiałaby łącznie na CO_2 zmarnować ponad 523 mln zł. Zmarnowała nieco mniej, więc przyszły srogie kary finansowe. Oczywiście inne spółki energetyki cieplnej w Polsce również muszą płacić podatek o nazwie ETS. Na przykład Enea Ciepło na potrzeby Elektrociepłowni Białystok i Ciepłowni Zachód w latach 2018–2022 kupiła uprawnienia do emisji dwutlenku węgla w łącznej wysokości ponad 116,9 mln zł. Znacznie więcej na certyfikaty CO_2 wydała spółka PGNiG Termika SA, która wytwarza energię elektryczną i ciepło w sześciu swoich zakładach: Elektrociepłowni Siekierki, Elektrociepłowni Żerań, Elektrociepłowni Pruszków, Ciepłowni Kawęczyn, Ciepłowni Wola i Ciepłowni Regaty. Otóż tylko w 2022 r. spółka zapłaciła za certyfikaty 1,36 mld zł, natomiast w okresie od 2015 do końca 2022 r. musiała zmarnować na ten cel 3,16 mld zł.

Ten stworzony przez Brukselę problem dotyczy aż 15 mln Polaków (42 proc. gospodarstw domowych), którzy korzystają z ciepła systemowego, a to w prawie 70 proc. jest wytwarzane z węgla. Unijna polityka jest oderwana od rzeczywistości. Dalsze jej realizowanie grozi efektem domina i całkowitą utratą niezależności energetycznej Polski, tym bardziej że ciepłownictwo systemowe od lat ma ujemne wyniki finansowe. Alternatywa jest taka, że EC Będzin musiałaby kupować albo certyfikaty, albo węgiel, albo certyfikaty, albo płacić wynagrodzenia dla pracowników. To może lepiej nie kupować tego węgla, tylko certyfikaty, jak żąda Bruksela? A ciepło wytworzy się samo. Jak w notatce prasowej podkreśla EC Będzin SA, skutki dalszej realizacji unijnej polityki energetyczno-klimatycznej i „obciążanie polskich firm energetycznych tak istotnymi karami finansowymi za niewykonanie obowiązków niemożliwych do zrealizowania spowoduje destabilizacje rynku energetycznego w Polsce i w dalszej perspektywie może grozić upadkiem polskiego sektora energetycznego. Skutkiem tego może być nie tylko wzrost cen energii dla konsumentów, lecz także zwiększone ryzyko uzależnienia od dostaw energii z zagranicy, co z kolei może wpłynąć na bezpieczeństwo energetyczne Polski". Czy do tego dążą rządzący i Bruksela? – Jest to sytuacja, która wymaga uwagi nie tylko ze strony Grupy Kapitałowej EC Będzin SA, lecz także od decydentów politycznych. Apelujemy do rządzących o podjęcie działań mających na celu przemyślaną reformę sposobu wdrażania polityki klimatycznej, tak aby uwzględnić realia ekonomiczne i rynkowe firm sektora energetycznego, a także strategiczne znaczenie ich funkcjonowania dla niezależności energetycznej Polski – oświadczył prezes Chodkowski. Jego zdaniem sprawa jego firmy to wierzchołek góry lodowej, z którą polska energetyka się zderzy, jeżeli nie zmieni się kursu tej polityki.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 948c8be978

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Kotek zamiast tygrysa

Jeśli ktoś narzeka na jakość kapitalizmu w Polsce – na jego słabości, to niech wie, że to, na co narzeka, wcale nie jest kapitalizmem, a już na pewno nie jakąś radykalną jego wersją, lecz – przeciwnie – raczej rezultatem jego niedostatku. Czyli rezultatem wciąż zbyt małej liczby sprywatyzowanych firm, zbyt wysokiego poziomu zmonopolizowania i/lub skartelizowania poszczególnych rynków, a w rezultacie – zbyt małej konkurencji, której niedostatek zawsze skutkuje wysokimi cenami i niską jakością oferowanych towarów i usług.

Jak wskazał Leszek Balcerowicz: „Polska ma największy w Europie udział firm kontrolowanych przez państwo wśród największych 100 firm: 48.6 proc.!" I dodał, nie ograniczając się do Europy: „Przed nami Egipt – 50,6 proc., Rosja – 59,6 proc. i Arabia Saudyjska – 85,3 proc. Na drugim krańcu są USA – 0,6 proc., Australia – 2,2 proc., Holandia i Irlandia – po 2,3 proc., Hiszpania – 5 proc., Niemcy – 10,4 proc., Szwecja – 14,6 proc., Rumunia – 20,6 proc.".

Kiedy więc (i czy w ogóle?) Polska postanowi wreszcie dołączyć do tych państw, którym zazdrościmy ich sukcesów gospodarczych – bo chyba zazdrościmy ich Amerykanom, Niemcom i Irlandczykom, a nie Egipcjanom i Rosjanom? – i wreszcie powróci na ścieżkę prywatyzacji z lat 90. XX w., z której zeszła pod naciskiem prześcigających się w populizmie populistów z PiS i Platformy? Albowiem to właśnie tamtej wielkiej prywatyzacji i pilnowaniu wtedy przez państwo reguł wolnego rynku Polska zawdzięcza swój ogromny, może największy w swej historii, sukces gospodarczy, który sprawił, że w latach 1992–2019 jako jedyni w całej UE nie odnotowaliśmy ani jednego roku spadku PKB. Przez 18 lat z rzędu!

Tego samego nie da się, niestety, powiedzieć o ostatnich latach. Obecne niepowodzenia, w tym bezprecedensowy spadek udziału inwestycji w relacji do PKB, są skutkiem m.in. właśnie zarzucenia przez władze Polski dokończenia prywatyzacji, a nawet – za rządów miłośników etatyzmu z PiS, na czele z Mateuszem Morawieckim – wręcz powrotu do nacjonalizacji i renacjonalizacji, przeprowadzanych pod flagą repolonizacji. Wskutek czego państwo jest w Polsce np. właścicielem aż 49,7 proc. banków; w Europie ten udział wyższy jest jedynie na Białorusi, gdzie wynosi 65 proc.

I to właśnie głównie z tego powodu Polska przestała być tygrysem Europy, przemieniając się w coraz mniej znaczącego kotka. W kotka coraz starszego i coraz bardziej wyliniałego, rozleniwionego rozdawanym na prawo i lewo przez populistów z PiS i Platformy socjalem, na którego nikt już specjalnie nie zwraca uwagi, bo nie musi tego czynić, bo ten kotek nikomu już nie zagraża. ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

50 ambasadorów

Przy poziomie demolki państwa przez nową władzę sprawa ambasadorów wydaje się właściwie drobiazgiem, ale jednak takim nie jest. Ambasadorowie – którzy nie mogą zostać powołani ani odwołani bez zgody prezydenta (art. 133 konstytucji) – reprezentują Rzeczpospolitą na zewnątrz, a w czasach takich jak obecne stabilność i jakość tej reprezentacji mają szczególne znaczenie.

Z jakością polskich ambasadorów za poprzedniej władzy, a także za innych bywało różnie. Byli tacy przedstawiciele RP, którzy nie powinni byli na placówce spędzić nawet miesiąca. Trudno jednak uwierzyć, żeby pan minister Sikorski, zwracając się z wnioskiem o odwołanie aż 50 z nich (to ponad połowa spośród 94 placówek dyplomatycznych RP w randze ambasady), przestudiował dokładnie działalność każdej takiej osoby i po drobiazgowej analizie doszedł do wniosku, że ma na jej miejsce lepszego kandydata. Nie – to po prostu zbiorowy odwet, który nowa władza stosuje bez opamiętania na wszystkich poziomach. Docierają do mnie podobne sygnały z praktycznie każdej sfery funkcjonowania państwa, z kulturą włącznie, gdzie odwoływani są nawet ci szefowie instytucji, którzy są całkowicie apolityczni i o których działalności wyraża się z szacunkiem pan minister Sienkiewicz. W resorcie takie osoby słyszą: „To nic osobistego, cenimy pana pracę, ale – polityka".

> **To po prostu zbiorowy odwet, który nowa władza stosuje bez opamiętania**

Oczywiście odwetu można się było spodziewać – to w dużej mierze skutek sposobu, w który PiS ustawiało państwo pod siebie. Wydawało się jednak, że polityka zagraniczna to sfera – ze względu na konstytucyjne kompetencje prezydenta, a także trudną sytuację Polski – gdzie bez takich pokazówek się obejdzie. Okazuje się, że jednak nie.

Czeka nas zatem żenująca przepychanka. Pan minister będzie się zapewne starał ominąć sprzeciw pana prezydenta, odwołując ambasadorów do kraju (to może zrobić) i wyznaczając w ich miejsce chargés d'affaires (to również może uczynić). Tyle że Polska będzie po takich zabiegach wyglądać na niepoważny kraj.

Najgorsza zaś jest świadomość, że jeśli kiedyś władza wróci w ręce obozu PiS, sentymentów nie będzie i zamiast stabilizacji zaliczymy kolejny poziom na – mówiąc Bartosiakiem – drabinie eskalacyjnej. ©℗

eprasa.pl 948c8be978

SUZUKI SWACE 1.8 HYBRID

Napisać, że ta japońska hybryda jest oszczędna, to jakby nic nie napisać. Niskoemisyjne kombi apetyt na benzynę ma tak niewielki, że nie trzeba by robić całej zielonej rewolucji, aby pożegnać się z silnikami Diesla: podczas testu średnie spalenie auta ważącego 1885 kg wyniosło zaledwie 4 l/100 km, a jakby się człowiek bardzo postarał, to w zatłoczonej miejskiej dżungli można zejść nawet w okolicach 3 l/100 km. Nawet przy jeździe po autostradzie spalanie nie chciało wzrosnąć bardzie niż do ok. 7 l/100 km.

FOT. JAP

Suzuki Swace, będące udanym klonem niezwykle popularnej Toyoty Corolli w wersji kombi, ma czterocylindrowy silnik benzynowy o pojemności 1,8 l oraz silnik elektryczny. Auto w zależności od potrzeby i warunków jazdy napędzają wyłącznie motor elektryczny, spalinowy lub oba jednocześnie. Łączna moc układu hybrydowego wynosi 140 KM. W praktyce model ten wydaje się wystarczająco dynamiczny nie tylko dla skąpych taksówkarzy, lecz także dla przeciętnego zjadacza chleba. Przyspieszenie od zera do 100 km/h wynosi 9,4 s, a prędkość maksymalna to 180 km/h. Nie wygląda to może imponująco, ale przy normalnym użytkowaniu bardzo rzadko ma się wrażenie, że przydałoby się nieco więcej przyspieszenia. Wciśnięcie gazu do dechy nadal wywołuje co prawda delikatny jęk jednostki benzynowej, ale hałas w kabinie jest o wiele mniejszy niż w tym samym modelu przed liftingiem. Autem komfortowo można więc podróżować nawet wyższymi prędkościami na autostradzie.

W praktycznym rodzinnym aucie mierzącym 4655 mm długości i 1790 mm szerokości kabina jest przestronna. Nowoczesnego wyglądu dodają jej w pełni cyfrowe wskaźniki o przekątnej 12,3 cala oraz 10,5-calowy dotykowy ekran systemu multimedialnego. Brakuje także możliwości bezprzewodowej obsługi Android Auto (to jednak nie jest zbyt duży problem, bo wszystko dobrze działa po podłączeniu smartfona przy użyciu kabelka). Nie można również narzekać na pojemność bagażnika, która przy podniesionych oparciach tylnej kanapy wynosi 596 l, a po ich złożeniu rośnie do 1232 l.

Co bardzo ważne w rodzinnym kombi, Swace jest też naszpikowany technologiami zwiększającymi bezpieczeństwo kierowcy i pasażerów. Komputer pokładowy zapobiega zjeżdżaniu z pasa ruchu, monitoruje ruch poprzeczny, ostrzega przez ryzykiem kolizji i informuje o samochodach znajdujących się w martwych polach lusterek. Na pokładzie są też automatyczne światła drogowe oraz system rozpoznający znaki drogowe.

Zawieszenie jest komfortowe. Nieco bardziej precyzyjny mógłby być jednak układ kierowniczy. Przy podjeżdżaniu pod wysokie krawężniki trzeba też pamiętać, że prześwit w tym aucie nie jest zbyt wysoki i wynosi 135 mm.

Za Suzuki Swace 1.8 Hybrid w wersji Premium Plus trzeba zapłacić 128,9 tys. zł, a w testowanej wersji Elegance 142,9 tys. zł.

SMARTFON REALME 12 PRO

Fantastyczne wzornictwo, szybkie ładowanie 67 W oraz niezły główny aparat fotograficzny – to największe zalety najnowszego smartfona ze średniej półki chińskiej firmy realme.

Muszę przyznać, że ten model bardzo mocno wyróżnia się w tłumie podobnie wycenionych średniaków. Jak informują spece od marketingu realme, design testowanego modelu jest inspirowany rzemiosłem renomowanego francuskiego zegarmistrza Olliviera Savéo, doświadczonego w projektowaniu dla szwajcarskich marek zegarków najwyższej klasy. I rzeczywiście smartfon z pleckami z ekoskóry ze złotym paskiem i złotym pierścieniem z polerowaną tarczą wygląda elegancko i jakby luksusowo.

Podobać może się też zakrzywiony wyświetlacz AMOLED o wielkości 6,7 cala i częstotliwości odświeżania 120 Hz. Kolory są świetnie odwzorowane, czerń czarna i głęboka, a kąty widzenia szerokie.

Sercem ważącego 190 g urządzenia jest procesor Snapdragon 6 Gen 1 z ośmiordzeniową architekturą. Smartfon ma też wbudowane 24 GB pamięci RAM i 256 GB pamięci wewnętrznej, a także modem do obsługi sieci 5G. I chociaż na rynku w tej półce cenowej są już wydajniejsze smartfony, to i tu nie ma co narzekać: aplikacje otwierają się sprawnie, nic się nie zacina i nie rozgrzewa do czerwoności.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Realme 12 Pro jest wyposażony w główny aparat 50 MP o jasności f/1.8. Na pokładzie są również teleobiektyw (32 MP, f/2.0) i obiektyw szerokokątny (8 MP, f/2.2) oraz kamerka do selfie (16 MP, f/2.4). Zdjęcia z głównego aparatu są zaskakująco dobrej jakości, jak na średnią półkę cenową.

Plusami są także bateria o pojemności 5000 mAh oraz szybkie ładowanie SUPERVOOC 67 W, dzięki któremu od jednego do 50 proc. smartfona naładować można w niecałe 20 minut. Bez problemu działa też odblokowywanie twarzą lub za pomocą odcisku palca. Całkiem nieźle, choć niezbyt głośno, grają również głośniczki stereo.

Minusy? Odporność na kurz i zachlapania mogłaby być wyższa. Smartfon spełnia normę IP65, czyli jest pyłoszczelny i odporny na strugę wody o intensywności 12,5 l/min laną z każdej strony. Innymi słowy: powinien wytrzymać ulewny deszcz, ale do wanny lub nad basen lepiej go nie zabierać. Wada druga? Konkurencja oferuje już za podobne pieniądze wyświetlacze o wyższej jasności maksymalnej, ale ta cecha jest przydatna głównie w ostrym słońcu.

Mimo tych minusów stosunek ceny do jakości jest całkiem dobry. Realme 12 Pro dostępny jest w dwóch wersjach kolorystycznych i kosztuje w promocji 1799 zł.

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ **JACEK PRZYBYLSKI**

eprasa.pl 948c8be978

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Gołuchów rodu Leszczyńskich

JACEK KOMUDA

Zamek w Gołuchowie pod Kaliszem to piękny przykład, jak w XIX w. uratować można było renesansową rezydencję obronną, pozostawiając wiele z jej wyglądu i charakteru. W tym przypadku najciekawszym walorem budowli są odrestaurowane wnętrza pokazujące, jak wyglądały dekoracje i malowidła ścian, sufitów dawnych szlacheckich rezydencji. Widać po nich, w jakim przepychu i splendorze mieszkali dawni Polacy; trudno ich było zawstydzić.

Gołuchów, podobnie jak wiele innych zamków, powstał jako zwykła siedziba rycerska. Około 1560 r. Rafał Leszczyński, starosta radziejowski, wzniósł nad rzeczką Ciemną renesansowy dwór obronny z czterema ośmiobocznymi wieżami, które pozostają do dziś charakterystycznym elementem tej budowli. Zameczek, jak podaje Bohdan Guerquin, otoczony był fosą, na wschód od niego znajdował się podwórzec, dalej zabudowania gospodarcze. Kolejne rozbudowy rozpoczęły się w XVII w. – dokonał ich Wacław Leszczyński, kasztelan i wojewoda kaliski, który wzniósł nowe skrzydło mieszkalne z krużgankami na pierwszym piętrze. Właściciel Gołuchowa był bratem czeskim, zwolennikiem reformowanego wyznania, które przyszło do Rzeczypospolitej z Czech, a jego początki związane są jeszcze z dawnym ruchem husyckich taborytów. Wacław Leszczyński utrzymywał też w swoich dobrach zbór dopóty, dopóki w 1601 r. nie przeszedł na katolicyzm, chcąc zaskarbić sobie łaski króla Zygmunta III Wazy. Przez całe życie występował w różnych sprawach Rzeczypospolitej – był posłem na sejm i wysłannikiem do elektora, utrzymywał też własną chorągiew husarską, która kiedy umierał w 1628 r., brała udział w wojnie ze Szwecją o ujście Wisły.

RYS. MART

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Synowie Wacława – Władysław, późniejszy wojewoda łęczycki, i Andrzej, arcybiskup gnieźnieński – także wybili się w oparciu o dwór królewski. Pierwszy rozpoczął karierę dworską w 1634 r. na dworze króla Władysława, wcześniej studiował w Ingolstadt, był posłem na sejm konwokacyjny w 1648 r., poparł też kandydaturę Jana Kazimierza na tron. Brał udział w bitwie pod Beresteczkiem, w późniejszych walkach z kozakami, jednak w 1654 r. skazany został na banicję i wycofał się na Śląsk, gdzie formował oddziały do walki ze Szwedami. Jego brat Andrzej, późniejszy kanclerz wielki koronny, w 1646 r. został biskupem chełmińskim; początkowo na elekcji 1649 r. popierał kandydaturę królewicza Ferdynanda, potem Jana Kazimierza. W 1653 r. został prymasem, a potem arcybiskupem gnieźnieńskim. W czasie potopu pozostał wierny Janowi Kazimierzowi i wycofał się na Śląsk razem z uchodzącym królem, prowadził też akcję dyplomatyczną, zabiegając o pomoc dla władcy.

Chociaż Gołuchów uniknął zniszczenia przez Szwedów, to pod koniec stulecia przyszły dla niego mniej szczęśliwe czasy. W 1695 r. Leszczyńscy sprzedali rezydencję Suszkom, później właścicielami byli Górowscy, Chlebowscy, Suchorzewscy, którzy mało zajmowali się podupadającym zamkiem. W 1843 r., jak pokazują grafiki publikowane w piśmie „Przyjaciel Ludu", Gołuchów powoli stawał się malowniczą ruiną. Przed najgorszym uratowali go nowi właściciele – Działyńscy, którzy od 1872 r. rozpoczęli przebudowę zamku w duchu historyzmu. Niestety, wyburzyli stary dwór obronny, zmieniając trochę charakter budowli, wznieśli też skrzydło zachodnie z mostem. Dzisiejszy Gołuchów nie jest zatem wierną rekonstrukcją XVI-wiecznego zamku. Pomimo tego jednak budowla zachowała swój unikalny klimat. Wkrótce rozpoczęła tutaj działalność Izabela Działyńska, która przeniosła własne zbiory i stworzyła muzeum. Odtworzyła magnackie komnaty, sprowadzając arrasy, gobeliny i obrazy; wiele z ozdób i snycerki odtwarzanych było na podstawie zachowanych zabytków z Francji, jak boazerie przypominające te z pałacu w Fontainenbleau. Kolekcja znajdująca się w zamku była imponująca: grafiki, w tym ponad 100 prac Albrechta Durera, zbiór średniowiecznych relikwiarzy i medalionów, wazy greckie oraz oczywiście przedmioty związane z historią Polski.

W okresie międzywojennym na zamku mieściło się muzeum, niestety znaczną część zbiorów ukradli po 1939 r. Niemcy. Do dziś odzyskiwane są bezcenne obrazy z kolekcji, np. w zeszłym roku wróciły dwa dzieła holenderskiego malarza z XV w. – Dierica Boutsa „Mater Dolorosa" i „Ecce Homo", które zawędrowały aż do Hiszpanii. ©℗

eprasa.pl 948c8be978

ANNA POPEK Z D. CHRUZIK
I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Pasztet z fasoli

Jesteśmy na ostatniej wielkopostnej prostej. Jeszcze trochę starań i silnej woli, a zostaniemy suto nagrodzeni podczas niedzielnego śniadania. Warto więc wysilić wyobraźnię i przygotowywać ciekawe dania bezmięsne. W marcu wybrałyśmy się na post warzywno-owocowy do Czapielskiego Młyna, który zainspirował nas do spojrzenia ponownie na bogatą paletę dań jarskich. Zajadając tartą marchew czy też seler, najprzyjemniej wszak rozmawia się... o tym, co by się zjadło, gdyby nie było się na poście. Podczas posiłków przerzucamy się więc przepisami na wyśmienite dania, zachowując przy tym odrobinę taktu, i są to jednak przepisy wegetariańskie.

Przepis polecony i wielokrotnie wypróbowany przez nasze miłe sąsiadki Kasię i Dorotkę to pasztet z czarnej fasoli. Możemy zrobić pasztet z fasoli czarnej, czerwonej lub białej. Fasola biała to doskonałe źródło białka, jest idealną, bogatą w potas, żelazo, wapń i fosfor alternatywą dla mięsa. Fasola czerwona również bogata jest w białko oraz w lekkostrawną skrobię i błonnik. Fasola doskonale reguluje poziom cukru, chroni żyły i tętnice przed miażdżycą, hamuje utlenianie cholesterolu – jest to ważne, bo utleniony cholesterol zwęża naczynia krwionośne. A tego przecież nie chcemy. Zawiera też polifenole i antyoksydanty, a one się zawsze przydają. Czarna fasola, która pojawiła się Europie w XV w., hamuje apetyt, pomaga redukować masę ciała. Zawiera antocyjany, które wspomagają pracę organizmu i występują we wszystkich ciemnych warzywach, ma także kwasy tłuszczowe omega-3.

Jesteśmy zdania, że im więcej warzyw, w tym rodzimych w diecie, tym lepiej dla naszego zdrowia. Zresztą potwierdzają to zarówno badania naukowe, jak i nasze własne obserwacje, które poczyniłyśmy na grupie współkuracjuszy. Wszyscy zachwyceni, pełni energii i szczuplejsi.

Pasztet z czerwonej fasoli

• 2 puszki czerwonej fasoli • 100 g suszonych pomidorów (olej z suszonych pomidorów możemy wykorzystać do smażenia) • 50 g suszonej żurawiny • 4 łyżki suchej kaszy jaglanej • 1 główka czosnku • 1 jabłko • 1 duża cebula • 1 jajko lub 2 łyżki siemienia lnianego (opcja dla wegan) • 50 ml oliwy • 2 łyżki posiekanego rozmarynu • 1/2 łyżeczki gałki muszkatołowej • 1/2 łyżeczki pieprzu i papryki czerwonej • 1/2 łyżki soli • 1/3 szklanki nasion może być słonecznik, sezam

Kaszę jaglaną płuczemy pod bieżącą wodą, zalewamy zimną wodą i gotujemy do miękkości, ok. 20 min. Odstawiamy. Cebulę posiekać i podsmażyć na oleju razem z czosnkiem. Fasolę przepłukać na sitku, przelać bieżącą wodą. Wrzucamy do blendera razem z cebulą, czosnkiem, pomidorami, kaszą jaglaną, jajkiem lub zalanym wrzątkiem siemieniem lnianym (tak, aby napęczniał). Blendujemy kilka chwil tak, aby otrzymać jednolitą konsystencję. Dodajemy przyprawy, jeszcze ostatni raz przemieszamy łopatką. Wlewamy do keksówki wyłożonej papierem do pieczenia, można z góry posypać ziarenkami słonecznika. Pieczemy w piekarniku nagrzanym do 180 st. C przez ok. 40 min. Smacznego! ©℗

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Upiór suchy i mokry

New York Times" poświęcił ostatnio sporo miejsca tematyce pralniczej. Podoba mi się, że poważna gazeta, z której linią ideologiczną nie zawsze się zgadzam, potrafi pisać o rzeczach codziennych – o jedzeniu, mieszkaniu, zwyczajach i domowych kłopotach. Zawsze jest to poważnie potraktowane. Niekiedy aż za bardzo, ale tym razem w tekście o tym, jak prać, obeszło się bez wypowiedzi naukowców ze Stanfordu. Natomiast ucieszyło mnie, że uprawiana przeze mnie od dawna propaganda nieprania w pralni chemicznej znalazła w „Timesie" nieoczekiwane poparcie oraz prawie naukowe uzasadnienie.

Ilekroć wiosną odnoszę zimowe okrycia do pralni i rzucam okiem na to, co tam czeka na wieszakach na odbiór, dziwi mnie, po co ludzie oddają do prania na sucho dżinsy, swetry, a nawet bluzki i koszule. Odebrać to potem przesycone zapachem chemii i nosić na gołe ciało – nigdy! Ale przyjaciółki, które próbowałam przekonać, że wełna, a nawet kaszmir świetnie znoszą pranie w pralce, pod warunkiem że nie podda się ich obróbce w temperaturze 90 czy choćby 60 st. C – nie dały się przekonać. Nadal wolą chemię. A przecież dzisiaj wszystkie pralki mają program prania wełny. Amerykańska gazeta każe prać w pralce wełnę, kaszmir, jedwab, puchowe kurtki. Próbowałam i udało się.

Na drodze rozwoju technologii pralniczych nawet za mojego życia przeszliśmy długą drogę. Inna rzecz, że życie też niekrótkie. Kiedy byłam mała, przychodziła do nas pani Stefcia, która cotygodniowy upiór wykonywała przy pomocy balii, tary, gorących mydlin i krochmalu. Potem rodzice kupili pralkę Franię. Trochę to ułatwiało życie, ale i tak wodę trzeba było grzać i wlewać ręcznie do pralki. Pierwszy cud techniki, czyli pralkę Polar, zapamiętałam z drugiej połowy lat 70., kiedy pan Bojańczyk na zmianę z kolegą stał po nią przez dwa dni w kolejce w sklepie AGD. Kosztowała 10 tys. (pensja ówczesna: 3 tys.) i służyła prawie 15 lat.

Parę dni temu zadzwoniła przyjaciółka, jaką pralkę polecam, bo ona szuka. Powiedziałam, że polecam moją, która bez zarzutu pracuje 11 lat, ale okazało się, że nie trafiłam na amatorkę. Ona miała temat już zresearchowany. Wszystkie modele zbadane z ich zaletami, wadami oraz przełożeniem ceny na wartość. Okazało się, że marka, którą posiadam, rzeczywiście słynie z niezawodności, ale nie ma najnowszego gadżetu, czyli programu z gorącą parą wieńczącą program. Ten gadżecik, który sprawia, że ubrania wychodzą jak nowe mają wszystkie pralki wyłonione przez koleżankę w jej rankingu konsumenckim.

Jednak zabrakło w nim domowych pralnic na sucho. Zapewne technika wkrótce nadrobi ten brak ku zadowoleniu klientów. ©℗

eprasa.pl 948c8be978

JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Asystenci emocji

Żyjemy w rozemocjonowanych czasach. Kultura popularna, ale gorzej, bo i informacja, nasycone są emocjami. Te wyparły już rozum oraz refleksję i staliśmy się stadem reagującym, nie zaś myślącym. A takich to można zagnać, gdzie się chce, w dodatku za pomocą kilku tricków na krzyż.

Polityka to dzisiaj czyste emocje, a jak chcesz pogadać na zdrowy rozsądek, to rozhisteryzowane plemiona przezwą cię symetrystą i obłożą ostracyzmem. W dodatku nawet tym, którzy mają aspiracje do minimum wiedzy, świat medialny proponuje tzw. infotainment, czyli mieszanie rozrywki i informacji. Ta zaś mieszanka w przypadkach ekstremalnych korzysta z doświadczeń psychologii, która mówi, że informacja podana w emocjonalnym kontekście zapada bardziej w pamięć, niosąc ze sobą konotacje i utrwalając je poprzez zamianę rozumienia na suflowowaną emocjami ocenę.

Od dawna obserwuję w mediach społecznościowych filmiki stanowiące miks krótkich kawałków z rzeczywistości przeplatanych wizualnym narratorem. Co jeden urywek to wracamy do tego niemego opowiadacza, który między filmikami robi… miny. Najpierw myślałem, że to po to, by nie był to tylko montaż różnych kawałków i dodanie jakiegoś człowieka, niby-autora. Potem zorientowałem się, że tu chodzi o coś innego. O asystę, nakierowanie widza na pożądane emocje. Miny pokazują, czy dany filmik ma być odczytany jako śmieszny albo straszny. Ostatnio natrafiłem na takie prowadzenie za rączkę wprost, bo zamiast mimicznych asystentów pojawiła się już narracja głosowa z offu: „This is funny". Czyli opowiadacz opowiada widzowi, jak ma reagować, gdyby ten miał jakieś wątpliwości.

Przechodzimy pewien etap ewolucji w komunikacji. Już nie wystarczą emocjonalne konteksty, jesteśmy prowadzeni nie tylko w kierunku „co mamy myśleć", lecz także „co odczuwać". Przypomina to jedno z opowiadań Lema, gdzie bohater znalazłszy się na zamordystycznej planecie, zorientował się, że przestrzeń publiczna nasycona jest „szeptaczami" podpowiadającymi pożądane przez władze reakcje emocjonalne typu: „A teraz wasze członki ogarnia szczęsne drżenie".

To jest okropne – niech już tam i będzie, że jesteśmy rozemocjonowaną cywilizacją, że to manipulacyjne i odstręczające od rozumu w kierunku zbiorowych odruchów Pawłowa. Ale żeby nam aż musiano podpowiadać emocje, to oznacza, że, po pierwsze, utraciliśmy te spontaniczne, a więc autentyczne, a po drugie, już nie w myśleniu, ale odczuwaniu potrzebujemy troskliwej asysty. Na pytanie: „Asysty kogo?" musimy sami sobie odpowiedzieć. ©℗

JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

Turów i Wielki Reset

Sąd Administracyjny w Warszawie 13 marca uchylił decyzję środowiskową zezwalającą na wydobycie węgla w kopalni Turów.

O zaprzestanie wydobycia wniosła „strona społeczna", którą stanowią Fundacja Frank Bold, Greenpace Polska i władze niemieckiego miasta Żytawy (Zittau). „Wyrok WSA potwierdza to, co od lat podnoszą organizacje społeczne w sprawie Turowa – kopalnia szkodzi środowisku i ludziom" – mówi Agnieszka Stupkiewicz, prawniczka Frank Bold. Innego zdania jest premier Czech Petr Fiala. W kontekście sporu czesko-polskiego zakończonego w 2022 r. ugodą, stwierdził: „Istnieje szereg gwarancji, że kopalnia nie zaszkodzi interesom Republiki Czeskiej i interesom naszych obywateli". Strona społeczna utrzymuje, że Turów szkodzi, natomiast kopalnie koncernu LEAG po niemieckiej stronie już szkodliwe nie są.

Szczytem perwersji jest ustawienie sporu tak, że po złej stronie jest kopalnia – spółka Skarbu Państwa PGE, a z drugiej – społeczeństwo. Układ sił wygląda nieco inaczej. Najbardziej poszkodowani będą mieszkańcy po polskiej stronie, czyli właśnie społeczeństwo. Kilka tysięcy ludzi straci pracę, wzrosną ceny energii. Drugą stroną sporu, nazwaną „społeczną", są władze administracji RFN oraz Greenpace Polska, w której zarządzie są sami Austriacy.

Najciekawszą organizacją jest Fundacja Frank Bold. Jej prawnicy działają w globalnej sieci organizacji walczących ze zmianami klimatu i finansowani są przez podmioty, które redystrybuują fundusze z innych źródeł. Wśród darczyńców jest Open Society Foundations, jest też Fundacja Batorego, która nie wiadomo, dlaczego rozdziela środki publiczne pochodzące z Funduszy Norweskich. Partnerem prawników z Frank Bold jest European Climate Foundation, finansowana m.in. przez Bloomberg Philantropies, Rockefeller Brother Found, Fundację Growald (w zarządzie jest także rodzina Rockefellerów) oraz przez Fundację Arkadia, w której radzie zasiadał zmarły kilka dni temu lord Rothschild. Wśród darczyńców ECF jest także Robert Bosch Stiftung, fundacja firmy, która rozkwit odnotowała w latach drugiej wojny dzięki zamówieniom zbrojeniowym, a przede wszystkim dzięki niewolniczej pracy Polaków wywiezionych na roboty.

Fundacja Frank Bold wśród partnerów wymienia też European Climate Initiative. Tu już nikt nie bawi się w kamuflaż. ECI jest instrumentem finansowym niemieckiego Federalnego Ministerstwa Gospodarki i Działań Klimatycznych. Podsumowując: przeciw Polsce występuje tzw. strona społeczna, którą reprezentują polscy prawnicy w imieniu niemieckiej administracji i globalnych funduszy zrzeszonych w World Economic Forum. ©℗

eprasa.pl 948c8be978

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Minister nie nadąża

Jako wieloletni obserwator polityki zdradzę państwu, że zdarzają się przypadki, kiedy politycy mówią to, co sami myślą, a nawet wymyślą. Stop. To rzadkość, ale jednak. Stop. Najczęściej przekazy dnia ustalają im wyspecjalizowane agencje, a odbiorca ma wrażenie, że a skąd. Stop. Oto spektakularny przypadek z platformy X, gdy dwóch polityków wykłada się koncertowo na scenie. Stop. Donald Tusk, Platforma Obywatelska: „Taktyczne głosowanie części zwolenników Koalicji Obywatelskiej na Trzecią Drogę pozwoliło nam odsunąć PiS od władzy. W tych wyborach jedynym kryterium będą nasze własne przekonania". Stop. Robert Biedroń, Lewica: „Taktyczne głosowanie części zwolenników Lewicy na Trzecią Drogę pozwoliło nam odsunąć PiS od władzy. W tych wyborach jedynym kryterium będą nasze własne przekonania". Stop. Poziom zjednoczenia PO z Lewicą zaszedł tak daleko, że mają jednego PR-owca, który mówi im, co mają mówić. Stop. Ale nie to jest ważne; ważne jest to, że za stwierdzeniem „taktyczne głosowanie na Trzecią Drogę" kryje się podskórny komunikat: „to wydmuszka". Stop. Rytualne ubijanie koalicjanta przez koalicjantów? Zdarzały się takie przypadki. Stop. Będziemy obserwować.

„Popatrz, jak wszystko się zmienia, coś jest, a później tego nie ma" – śpiewał pewien Polak, a dokładnie Sydney. Stop. Się zmienia byłemu komendantowi głównemu policji Jarosławowi Szymczykowi, ps. Bum. Stop. Po zdetonowaniu przez Szymczyka granatnika w komendzie Mariusz Kamiński zadziwił świat i okolice stwierdzeniem, że detonant jest pokrzywdzonym w sprawie, i to oficjalnie, i to przez prokuraturę. Stop. Ludzkość pomyślała: A co to za fikołek logiczny, że gość, który o mało nie pozabijał policjantów i narobił konkretnych zniszczeń, zamiast sprawcą jest pokrzywdzonym? Stop. Po zmianie władzy okazało się jednak, że nowa prokuratura, jakby normalniejsza, wszczęła śledztwo w sprawie nielegalnie posiadanej broni i odpalenia jej w komendzie. Stop. Niczego nie przesądzamy, zagrożenie do ośmiu lat więzienia.

Żona byłego ministra PiS, Marianna Schreiber, znalazła się w krótkotrwałej, acz głębokiej rozpaczy, gdyż policja zawinęła Gohę Magical do więzienia za niezapłacenie grzywny. Stop. Już tłumaczę, Marianna walczy w lekko patologicznych turniejach, w których za jedną walkę zarabia się tyle, ile normalny człowiek przez kilka lat. Stop. No i Marianna miała walczyć z Gohą, która karierę zrobiła jako czynna alkoholiczka (serio), ale Gohę przed samą walką zawinęli na 45 dni. Stop. Poza tym Łukasz Schreiber chce się rozwieść z Marianną, bo nie nadąża za żoną, nie nadąża... ©℗

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

SPODE ŁBA

Nauczyciele zawiedli

Bardzo ciekawe dyskusje toczą się właśnie w irlandzkiej i brytyjskiej prasie. Dotyczą one przeprowadzonego niedawno referendum konstytucyjnego, w którym Irlandczycy zdecydowanie odrzucili nową, proponowaną przez wszystkie główne partie sceny politycznej, definicję rodziny. W referendum tym aż 67,7 proc. głosujących zagłosowało przeciwko zmianom, opowiadając się za pozostawieniem w konstytucji dotychczasowej, tradycyjnej wykładni, opisującej rodzinę jako związek oparty na małżeństwie. Podobny los spotkał drugą proponowaną w referendum zmianę, dotyczącą wsparcia udzielanego przez państwo kobietom opiekującym się rodziną i gospodarstwem domowym. Propozycję, by zastąpić kobiety ogólnikowymi „członkami rodziny", odrzuciło aż 73,9 proc. głosujących. Co ciekawe, w żadnym dotychczasowym referendum w historii Irlandii tak wielka część obywateli nie zagłosowała na „nie", odrzucając propozycje rządzących.

Większość dziennikarzy sprawia wrażenie zaskoczonych przebiegiem wydarzeń. Do głosowania na „tak" zachęcały wszystkie siły irlandzkiej sceny politycznej, z wyjątkiem niewielkiej partii Aountu, mającej w parlamencie tylko jednego posła. Kampania nawołująca do poparcia rządowych propozycji koncentrowała się na konieczności podążania za nieuchronnym i dobroczynnym dla wszystkich postępem. Mówiono też o dostosowaniu się do „europejskich wartości" i usunięciu z konstytucji śladów „patriarchalnej opresji". Wygląda na to, że Irlandczycy zdecydowali się pokazać swoim elitom środkowy palec i w marszu ku świetlanej przyszłości nie uczestniczyć. Dziennikarze już dziś się zastanawiają, czy referendum będzie można powtórzyć. Obecny rząd raczej nie zdecyduje się na tak jawne zlekceważenie głosu obywateli, więc dyskusja o powtórzeniu referendum odbędzie się zapewne po najbliższych wyborach.

Najbardziej zdumiewająca jest jednak reakcja irlandzkiej klasy politycznej na wolę swoich, było nie było, wyborców. Premier Irlandii oświadczył, że „byliśmy odpowiedzialni za przekonanie większości ludzi do głosowania na »tak« i najwyraźniej nie sprostaliśmy temu zadaniu". Inni politycy kajają się w wywiadach prasowych, że społeczeństwa nie udało się jeszcze odpowiednio wychować. W dawnych, demokratycznych czasach zadaniem polityków było reprezentowanie swoich wyborców. We wprowadzanej właśnie „demokracji liberalnej" politycy obywateli wychowują, ucząc ich właściwych poglądów i postaw. Kto formułuje program takiego nauczania i kogo przeprasza „grono pedagogiczne" Irlandii, nie jest jeszcze do końca jasne. ©℗

eprasa.pl 948c8be978

GRZEGORZ KUCHARCZYK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Republika aborcyjna

Profesor Xavier Martin w książce „Rewolucja Francuska a natura ludzka" opublikowanej niedawno przez Instytut Andegavenum cytuje „życzenia", które Wolter wystosował w 1773 r. do pary swoich znajomych oczekujących narodzin dziecka. Autor „Traktatu o tolerancji" pisał do rodziców „małej maszynki niedokładnie jeszcze zmontowanej, którą dwie maszyny wyprodukowały, nie wiedząc dokładnie, co robią", gratulując im z powodu pojawienia się „embriona duszy nieśmiertelnej, która zagnieździła się między odbytnicą a pęcherzem moczowym pani d'Hornoy [matki dziecka]".

Dążący ze wszystkich sił do „wymazania niegodziwości" (czytaj: chrześcijaństwa) Wolter, obok innych oświeceniowych publicystów o zacięciu filozoficznym (na wyrost nazywanych filozofami), słusznie jest zaliczany do intelektualnych ojców rewolucji francuskiej. Dzieckiem rewolucji była (i jest) republika. Od swojego ogłoszenia w 1792 r. określana jako „jedna i niepodzielna". Po uchwaleniu w 1905 r. prawa o tzw. rozdziale Kościoła od państwa rangę konstytucyjną zyskało określenie państwa francuskiego jako republiki „jednej, niepodzielnej i laickiej". Niedawno na mocy decyzji francuskich parlamentarzystów rangę konstytucyjną zyskało we Francji tzw. prawo do aborcji. Od 2024 r. republika francuska jest więc nie tylko laicka, jedna i niepodzielna, lecz także aborcyjna.

Intelektualni spadkobiercy Woltera wyciągnęli ostateczne wnioski ze sposobu myślenia o „małej maszynce między odbytnicą a pęcherzem moczowym", który niemal 250 lat temu zaproponował autor „Kandyda". W 1975 r. zalegalizowano we Francji zabijanie nienarodzonych dzieci. Od 2024 r. możliwość ich uśmiercania jest konstytucyjnym prawem Francuzek. Uchwalili to ci, wobec których ich matki nie zechciały skorzystać z „dobrodziejstwa" aborcji. Mają za sobą już tyle trymestrów, że mogą dekretować prawo do zabijania najmłodszych i najsłabszych obywateli republiki. Jak mawiał Ronald Reagan: „Najgłośniej za aborcją krzyczą ci, którzy jej uniknęli".

Jak mawiał prezydent Ronald Reagan:
„Najgłośniej za aborcją krzyczą ci, którzy jej uniknęli"

Izraelski historyk Jacob Talmon napisał kilkadziesiąt lat temu książkę pt. „Źródła totalitarnej demokracji". Opisał w niej pierwsze lata funkcjonowania republiki francuskiej pod rządami jakobinów, którzy w ślad za swoim mistrzem Janem Jakubem Rousseau, pospołu z „obywatelką Gilotyną" zamierzali ustanowić we Francji nieznające litości „rządy cnoty". Uzupełnili rewolucyjną triadę o jedno uściślenie. „Wolność, równość, braterstwo albo śmierć". Tak miała odtąd (tj. od 1792 r.) brzmieć dewiza rewolucji. Boleśnie przekonała się o jej funkcjonowaniu Wandea, poddana w latach 1793–1794 ludobójczej eksterminacji.

Do konstytucyjnego zapisu o laickości droga wiodła już nie przez ludobójstwo, ale przez deptanie podstawowych praw obywatelskich. Na przykład prawa katolickich rodziców do kształcenia swoich dzieci zgodnie z wyznawanym przez siebie światopoglądem. Na przykład prawa oficerów armii francuskiej do swobodnego praktykowania swojej wiary bez bycia narażonym na systematyczną inwigilację, prowadzącą ostatecznie do złamania kariery (tego dotyczyła „afera fiszkowa", która wybuchła we Francji na początku XX w.).

Konstytucyjność aborcji nie tylko oznacza nadanie najwyższej rangi zabijaniu najsłabszych ludzi, lecz także jest to wyrok śmierci na wolność lekarzy oraz innego personelu medycznego odmówienia uczestniczenia w śmiercionośnym „zabiegu", który teraz stał się konstytucyjną normą. Klauzula sumienia – adieu. Życie i wolność Francuzów od początku były w niskiej cenie u twórców pierwszej wersji „totalitarnej demokracji". W jej nowej postaci jest podobnie.

W 2016 r. na wniosek socjalistów francuski parlament uchwalił „prawo o równości i obywatelstwie" (ach, te eufemizmy, tak ulubione przez wszystkich promotorów ludobójstwa!). Penalizowało ono „umyślne wprowadzenie kobiet w błąd, ażeby odwieść je od aborcji". W tym samym roku francuska Rada Stanu – najwyższa instancja we francuskim orzecznictwie administracyjnym – ostatecznie zakazała eksponowania w miejscach publicznych (np. w metrze) reklamy społecznej przedstawiającej uśmiechnięte dzieci cierpiące na zespół Downa. Reklama została zakazana, ponieważ „naruszała spokój sumienia kobiet, które legalnie dokonały innych osobistych wyborów". Spokój sumienia… Jak na wielkim cmentarzysku. ©℗

eprasa.pl 948c8be978

POST

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

W roku 1884 amerykańscy biskupi w Baltimore wydali dekret o tym, jak ma pościć katolik w Wielkim Poście:

– Śniadanie: kawa lub herbata plus 60 gramów chleba bez masła;

– Obiad: jeden pełen posiłek bez ograniczeń;

– Kolacja: 220 gramów dowolnego jedzenia bez mięsa.

(Kolację wolno zamienić miejscami z obiadem, jeżeli ktoś woli pełen posiłek wieczorem, a nie w południe).

***

Dziś są czasy ogólnego rozmiękczenia i wygodnictwa, więc po co ludzi męczyć postem? O postach nie uczą już nawet na medycynie, a środowisko lekarskie wyśmiewa „kolegów szarlatanów" zalecających post jako lekarstwo. Stare księgi dotyczące postów są traktowane jak banialuki.

W wielu zakonach (nie tylko katolickich) oraz w wielu kulturach świata, teraz i w przeszłości, w wielu religiach i rytach istnieją posty – mądrość dziejów i historii oceniana współcześnie jako „głupoty".

Gdy Jezus wyszedł pościć na pustynię, nie ustanowił żadnej nowej tradycji, a jedynie wypełnił tradycję starą, znaną; praktykowaną przez wieki.

Okresy głodu, niejedzenia czy postu z wyboru albo wynikające z pewnych tradycji i rytuałów są częścią natury i kultury. Natura człowieka nie zmienia się przez tysiąclecia. Kultura się zmienia, pewne kultury wymierają, cywilizacje giną, obyczaje znikają, pojawiają się inne, ale fizjologia i natura Homo sapiens pozostają bez zmian.

Post stosowało wielu mistrzów przed ważnym zadaniem, stosowali go samuraje, stosowali mędrcy w Indiach, post znany jest w Afryce i w Amazonii, gdzie się go stosuje przed każdym ważnym polowaniem – opróżniasz brzuch i opróżniasz rozum z szumów, a potem lekki idziesz tropić zwierzynę.

***

Homo sapiens to drapieżnik – mamy kły, mamy oczy z przodu głowy (do lepszej oceny odległości pomiędzy nami a ofiarą, którą chcemy dogonić, upolować). Drapieżnik głodny poluje, a nażarty usypia.

Mamy więc teraz cywilizację uśpionych drapieżników. Pizza + Netflix = uśpienie. Piweńko + karkówka = uśpienie. I ono trwa tyle, ile czasu mamy dostęp do pizzy, karkówki, piweńka, czyli w obecnej epoce jest to uśpienie permanentne. Jest dobrze. Drapieżny lew leży syty na gałęzi, gdy pożarł antylopę. Leży i nawet mu się rozmnażać nie chce.

Dlaczego Indianie amazońscy poszczą przed polowaniem? Bo gdy drapieżnik jest lekko niedojedzony (nie wycieńczony, ale po prostu niedojedzony), to mu się wyostrzają zmysły – wzrok staje się ostrzejszy, refleks szybszy, słuch robi się czuły, a mięśnie bardziej zrywne i umysł bardziej światły. Studenci przed egzaminem, zamiast się uczyć do białego rana, gdy do głowy już nic nie wchodzi, mogliby zastosować kilkudniowy post i przypomni im się wszystko. Tak działa nasza fizjologia.

To, co opisałem, to MECHANIKA działania ludzkiego organizmu. Każdy to ma. Jednak post zniknął ze współczesnej kultury, pojawiły się diety, a dieta i post nie mają ze sobą nic wspólnego, pomimo pozorów.

***

Prawdziwy post łączy się zawsze z wyciszeniem – jeżeli ktoś ma pod ręką pustynię, to wychodzi pościć na pustyni; jeżeli ma celę mnicha, to zamyka się w celi i nakłada na siebie ślub milczenia. Wyciszenie to nie jest nowa technika New Age, lecz mechanizm fizjologiczny – fachowo „deprywacja sensoryczna", czyli redukowanie bodźców. Jeżeli na co dzień nakręcają cię komórka, szybkie filmy, głośna muzyka lub tytoń, to gdybyś chciał pościć, to razem z jedzeniem (lub jakąś jego wybraną częścią) odstaw też te inne rzeczy, które cię nakręcają, a więc komórkę, fejsa, filmy, muzykę… W Wielkim Poście zdrowo jest zastosować zasadę ZERO SIECI.

I nie ma nic złego w tym, że będziesz sobie „pomagał wytrwać", czyli zaczniesz pić ziółka typu detox, a zamiast pogaduszek ze znajomymi złapiesz się monotonnego Różańca; zamiast filmu sięgniesz po książkę „cichą" w treści. Lub po prostu nie będziesz robić nic.

***

U mnie w Wielkim Poście, poza innymi rzeczami, istnieje też Godzina Ciszy. Jest to cisza kompletna, nawet zegary zatrzymuję, aby nie tykały. Siedzę i… i… NIC.

Słuchajcie ciszy…
Usłyszycie Mądrość.
Odnajdziecie spokój.
Właściwy dystans do spraw, ludzi i przedmiotów.
Znajdziecie czas, którego Wam brakowało.
Słuchajcie ciszy.
I mówcie ciszej.
Ciii…
Sza!

***

Panie WC, a co mi Pan tu prawisz na temat postu, gdy Wielki Post się zaraz skończy? Nie można było wcześniej?

Można było. Ale to władza kościelna powinna zajmować się takimi rzeczami. A teraz mnie w końcu wnerwił Episkopat za działania miałkie lub żadne w sprawach kardynalnych. Jakieś nic niewarte oświadczenia, zamiast stanowczego nauczania. Sprawa religii w szkołach – miałkie oświadczenia i zero ofensywy; w sprawie rugowania z podręczników takich rzeczy jak Chrzest Polski – jakieś słowa „zaniepokojenia" zamiast twardego nauczania, a w sprawie tego, że „katolik" Duda podpisuje dokument zezwalający na tabletkę do zabijania dzieci, powinna być ekskomunika. Podobnie „katolik" Tusk powinien dostać urzędową ekskomunikę za to, że wdraża coś takiego: „Za odmowę wykonania aborcji lekarzowi grozić będzie odpowiedzialność prawna, a szpital straci prawo do dotacji z NFZ. Nikt nie może się powoływać na klauzulę sumienia".

Ekskomunika oficjalna, z góry, dekretowana, jest ważna, bo to JASNY sygnał dla księży niższego szczebla, żeby takim facetom jak Duda i Tusk nie dawać Komunii Świętej.

A dobry dekret w sprawie tego, jak katolik powinien pościć w Wielkim Poście, byłby działaniem ożywczym. „Powinien" nie znaczy od razu „musi", ale pokazuje kierunek. Pasterze Kościoła mają być pasterzami, a nie administratorami. ©℗

eprasa.pl 948c8be978

Uwaga: nowe ceny na rok 2024

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

PÓŁROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA DO RZECZY

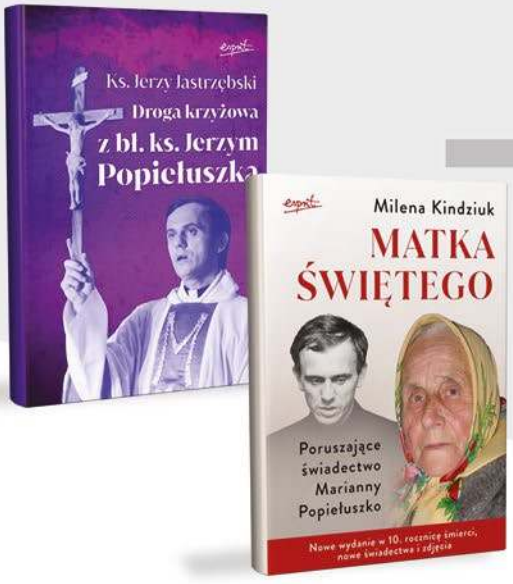

W PREZENCIE

KSIĄŻKI

KS. JERZY JASTRZĘBSKI: „DROGA KRZYŻOWA Z BŁ. KS. JERZYM POPIEŁUSZKĄ",
MILENA KINDZIUK: „MATKA ŚWIĘTEGO"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~532 ZŁ~~

236,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 296 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania
| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 948c8be978

Uwaga: nowe ceny na rok 2024

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY" I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"

W PREZENCIE

KSIĄŻKI

TEKSTY Z DODATKÓW SPECJALNYCH TYGODNIKA „DO RZECZY": „PRAWNA OBRONA PRZED POLONOFOBIĄ" + „PRAWNA OBRONA WOLNOŚCI SUMIENIA I IDEOLOGIA LGBT"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~711 ZŁ~~

249,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 462 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 948c8be978